

KASS MORGAN

POWROT

NA

ZIEMIĘ

Trzecia część cyklu **MISJA 100**

BUKOWY LAS

GLASS

zaciśnięta powieki, by przerwać ciąg wspomnień uparcie podsuwanych jej przez umysł: matka bez słowa osuwa się na podłogę, podczas gdy Glass jęczy i zachłystuje się ze strachu.

WELLS

przez kilka poprzednich tygodni pełnił w obozie funkcję przywódcy. Nie zabiegał o nią, ale o przyjęciu tej roli zdecydowało jego oficerskie szkolenie i wieloletnia fascynacja Ziemią.

CLARKE

w ciemności przyglądała się miejscu lądowania wytężonym wzrokiem. Czekwała, aż zachowania wyuczone podczas szkolenia medycznego przejmą kontrolę nad jej umysłem, wypierając z niego panikę.

BELLAMY

wiedział, że kiedy tylko dym z płonących lądowników się rozwieje, a kolonistom przestanie dzwonić w uszach, jeden z nowo przybyłych rozpozna go jako chłopaka, który kilka tygodni wcześniej na pokładzie startowym wziął kanclerza jako zakładnika.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1. Glass

Rozdział 2. Wells

Rozdział 3. Clarke

Rozdział 4. Wells

Rozdział 5. Glass

Rozdział 6. Bellamy

Rozdział 7. Wells

Rozdział 8. Clarke

Rozdział 9. Glass

Rozdział 10. Clarke

Rozdział 11. Wells

Rozdział 12. Clarke

Rozdział 13. Bellamy

Rozdział 14. Wells

Rozdział 15. Glass

Rozdział 16. Bellamy

Rozdział 17. Glass

Rozdział 18. Clarke

Rozdział 19. Wells

Rozdział 20. Glass

Rozdział 21. Wells

Rozdział 22. Clarke

Rozdział 23. Bellamy

Rozdział 24. Glass

Rozdział 25. Wells

Rozdział 26. Bellamy

Rozdział 27. Wells

Rozdział 28. Bellamy

Rozdział 29. Glass

Rozdział 30. Clarke

Podziękowania

Okładka

KASS MORGAN

**POWRÓT
NA
ZIEMIĘ**

Trzecia część cyklu **MISJA 100**

przełożył
Maciej Studencki

BUKOWY  LAS

Joelle Hobeice, której wyobraźnia sprawia, że historie ożywają, a szalone marzenia stają się rzeczywistością, oraz Annie Stone, znakomitej redaktorce

ROZDZIAŁ 1

Glass

Dłonie Glass lepiły się od krwi matki. Nie od razu zdała sobie z tego sprawę. Wydawało się jej, jakby poruszała się w gęstej mgle, ręce należały do kogoś innego, a krwawe plamy były częścią koszmaru. W końcu uświadomiła sobie, że to jej własne dłonie i że krew jest prawdziwa.

Czuła, jak prawa dłoń klei się do podłokietnika. Ktoś ścisnął ją za lewą dłoń. Luke, rzecz jasna. Odciągnął Glass od ciała matki, posadził na fotelu i przez cały czas trzymał tak mocno, jakby chciał wycisnąć pulsujący ból z jej ciała.

Glass próbowała skupić się na ciepłe jego dłoni, sile, z jaką ją ścisnął, nie puszczając nawet wówczas, gdy lądownik zaczął się trząść i gwałtownie podskakiwać. Ten, kto wyznaczył trajektorię lotu na Ziemię, najwyraźniej nie troszczył się o wygodę pasażerów.

Kilka chwil wcześniej Glass z matką siedziały obok siebie, gotowe na spotkanie z nowym światem. Teraz jednak Sonja nie żyła, zastrzelona przez obłąkanego z przerażenia strażnika, który chciał w ten sposób zapewnić sobie miejsce w ostatnim statku opuszczającym umierającą Kolonię. Glass zacisnęła powieki, by przerwać ciąg wspomnień uparcie podsuwanych jej przez umysł: matka bez słowa osuwa się na podłogę, podczas gdy Glass jęczy i zachłystuje się ze strachu. Klęka przy niej, niezdolna zatamować krwotoku, a potem kładzie jej głowę na swoich kolanach i stara się powstrzymać płacz, żeby powiedzieć Sonji, jak bardzo ją kocha. Patrzy, jak ciemna plama na sukience matki powoli rośnie, w miarę jak z kobiety uchodzi życie. Widzi, jak mięśnie jej twarzy wiotczeją, a w uszach ma jeszcze ostatnie słowa matki: „Jestem z ciebie taka dumna”.

Nie mogła powstrzymać napływu wspomnień, tak samo jak nie potrafiła zmienić rzeczywistości. Sonja nie żyła, a Glass i Luke lecieli przez pustkę wiekowym statkiem, który w każdej chwili mógł się roztrzaskać na Ziemi.

Lądownik zatrząsnął się z ogłuszającym grzechotem. Glass nie zwracała na to uwagi. Poczwała, że metalowe klamry upręży wpijają się w żebra, kiedy jej ciało bezwładnie poddało się ruchom statku, lecz ból po śmierci matki zagłuszał wszystkie inne odczucia.

Zawsze wyobrażała sobie smutek jako ciężar – to znaczy wtedy, kiedy w ogóle o tym myślała. Niegdyś Glass nie poświęcała wiele czasu na zastanawianie się nad cierpieniem innych ludzi. To się jednak zmieniło, kiedy zmarła matka jej najlepszego przyjaciela Wellsa, który od tamtej pory poruszał się zgarbiony, jakby przytłaczało go niewidzialne brzemień. Teraz Glass czuła się inaczej – wydrążona, pusta w środku, tak jakby ktoś pozbawił ją wszelkich emocji. Zdawała sobie sprawę z tego, że żyje, tylko dzięki uspokajającemu uściskowi Luke’a.

Ze wszystkich stron naciskali na nią inni pasażerowie. Wszystkie fotele były zajęte. Mężczyźni,

kobiety i dzieci zajmowali każdy skrawek wolnej przestrzeni w kabinie. Podtrzymywali się nawzajem, żeby nie stracić równowagi, chociaż i tak nikt by nie upadł – cicho łkający ludzie byli słóczeni zbyt ciasno, tworząc zbitą masę ciał. Jedni szeptali imiona bliskich pozostawionych w Kolonii, inni potrząsali dziko głowami, nie mogąc się pogodzić z tym, że porzucili ukochanych na pastwę losu.

Jedyną osobą, która nie poddała się panice, był siedzący po prawej stronie Glass wicekanclerz Rhodes. Patrzył obojętnie przed siebie, nie zważając na zrozpaczone twarze pozostałych pasażerów. Glass poczuła, jak oburzenie przez chwilę bierze górę nad cierpieniem. Kanclerz Jaha, ojciec Wellsa, zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by pocieszyć ludzi na pokładzie... to znaczy, gdyby w ogóle zgodził się odlecieć ostatnim lądownikiem. Dziewczynie nie wypadało jednak manifestować oburzenia. Znalazła się tutaj tylko dlatego, że Rhodes zabrał ją i Sonję ze sobą, kiedy siłą torował sobie drogę na statek.

Potężne szarpnięcie wcisnęło Glass w fotel, gdy lądownik znów zaczął zataczać się na boki, następnie przechylił pod kątem niemal czterdziestu pięciu stopni, a potem powrócił do pionu jednym wywracającym trzewia skokiem. Poprzez krzyki przerażenia przebił się dziecięcy płacz, a po chwili kilku ludzi wrzasnęło ze strachu jeszcze głośniejszym, bo metalowa konstrukcja statku zaczęła się giąć, jakby złapana olbrzymią dłonią zaciskającą się w pięść. W kabinie rozległ się wysoki, mechaniczny pisk. Wwiercał się w uszy pasażerów, zagłuszając płacze i krzyki.

Glass ścisnęła oparcie, a drugą ręką złapała dłoń Luke'a, przeczuwając, że zaraz ogarnie ją atak paniki. Nic podobnego się jednak nie wydarzyło. Wiedziała, że powinna się bać, lecz wydarzenia ostatnich kilku dni sprawiły, że teraz czuła tylko odrętwienie. Widziała przecież, co się działo, gdy w Kolonii zaczęło brakować tlenu. Szaleńczo ryzykowała, wychodząc wbrew wszelkim procedurom w próżnię, by dotrzeć z „Waldena” na „Feniksa”, gdzie jeszcze dało się oddychać. Wszystkie te wyczyny okazały się warte zachodu, kiedy razem z matką i Lukiem dostała się na pokład lądownika. W tym momencie jednak już jej nie obchodziło, czy dotrze cało na Ziemię. Lepiej byłoby zakończyć męczarnie tu i teraz, niż budzić się co rano ze świadomością, że matka nie żyje.

Zerknęła w bok i zobaczyła, że Luke patrzy prosto przed siebie. Jego twarz zastygła w grymasie determinacji. Czy próbował w ten sposób dodać jej odwagi? A może jego strażniczy trening obejmował również naukę zachowania spokoju w sytuacji zagrożenia? Czy po wszystkim, co przeszedł za sprawą Glass, czekał go marny koniec? Nie zasłużył sobie na to. Czy uciekli przed pewną śmiercią w Kolonii tylko po to, by zginąć na pokładzie lądownika? Powrót na Ziemię planowano najwcześniej za sto lat: naukowcy przewidywali, że dopiero wówczas promieniowanie zmaleje do poziomu bezpiecznego dla ludzi. Ta przedwczesna ekspedycja była niczym innym, jak rozpaczliwą ucieczką w nieznaną.

Glass spojrzała w małe okienka umieszczone w burcie statku. Za każdym z nich kłębił się ciemny dym. Ledwie zdążyła pomyśleć, że wygląda to dziwnie, ale pięknie, gdy okna pękły i rozprysły się, rozsiewając po całej kabinie odłamki gorącego szkła i metalu. Przez rozbite szyby do środka kabiny wdarły się płomienie. Pasażerowie stojący najbliżej okien próbowali umknąć przed ogniem, ale w zatłoczonym wnętrzu lądownika nie było dość miejsca. Mimo to starali się odsunąć, napierając na ludzi w dalszych szeregach. Glass poczuła ostry zapach rozgrzanego metalu, a po chwili jeszcze inny swąd, który przyprawił ją o mdłości. Z rosnącą grozą zdała sobie sprawę, że to smród przypalonego ciała.

Walcząc z rosnącym przyspieszeniem, odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Luke'a. Na chwilę

zapomniała o łkaniu i płaczu pasażerów oraz ostatnich słowach matki. Widziała tylko twarz Luke'a, jego doskonały profil i mocno zarysowaną szczękę, te same, które wspominała co noc podczas wszystkich strasznych miesięcy spędzonych w Odosobnieniu, gdy czekała na osiemnaste urodziny – i zarazem wyrok śmierci.

Do rzeczywistości przywrócił ją jęk rozdzieranego metalu, który zawibrował jej w uszach i szczęce. Poczła towarzyszące mu drgania nawet w brzuchu. Zaciśnęła zęby i patrzyła bezsilnie, jak dach kabiny odrywa się i odlatuje niczym strzęp materiału.

Zmusiła się, by znów popatrzeć na Luke'a, który zamknął oczy, lecz trzymał jej dłoń jeszcze mocniej.

– Kocham cię – powiedziała, lecz słowa zagłuszył wrzask przerażonych ludzi.

I nagle lądownik z potwornym trzaskiem wbił się w ziemię, a wokół Glass zapadła ciemność.

Usłyszała dobiegający gdzieś z daleka niski, gardłowy jęk. Ten, kto go wydał, najwyraźniej potwornie cierpiał. Spróbowała otworzyć oczy, lecz nawet tak nieznaczny wysiłek przyprawił ją o zawroty głowy. Poddała się i pozwoliła, by znów ogarnęła ją ciemność. Minęło kilka chwil... a może to było kilka godzin? Znów spróbowała wrócić do rzeczywistości. Przez jedną błogą sekundę nie zdawała sobie sprawy, gdzie właściwie się znajduje. Czuła tylko mieszankę dziwnych zapachów atakujących jej nos. Nie wiedziała, że można czuć ich tyle naraz! Było wśród nich coś, co kojarzyło się z solarnymi plantacjami – jej ulubionym miejscem spotkań z Lukiem – ale tysiąc razy mocniejsze. Coś pachniało słodko, jednak nie tak jak cukier czy perfumy. Ten aromat był głębszy i bogatszy. Przy każdym wdechu odczuwała w głowie kompletny zamęt, gdy próbowała zidentyfikować źródła poszczególnych zapachów. Coś korzennego? Metalicznego. Wówczas dotarła do niej woń, która momentalnie przywróciła równowagę. Krew.

Glass zamruła i otworzyła szeroko oczy. Otaczała ją przestrzeń tak rozległa, że dziewczyna nie mogła dojrzeć ścian, a przezroczysty, wypełniony gwiazdami sufit wydawał się wisieć wiele kilometrów nad nią. Powoli wszystkie elementy układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca, a Glass poczuła wszechogarniający podziw. Patrzyła na niebo, prawdziwe ziemskie niebo – więc żyła! Jej zachwyt trwał jednak zaledwie kilka chwil, zanim umysł przeszyła nagła myśl, a ciało ogarnęła fala panicznego strachu. Gdzie jest Luke? Natychmiast usiadła wyprostowana, ignorując mdłości i ból, które kazały jej się z powrotem położyć.

– Luke! – krzyknęła, kręcąc głową we wszystkie strony i błagając w duchu, by w tłumie nieznanomych cieni pojawiła się jego sylwetka. – Luke!!!

Jej krzyk zagłuszony został jednak przez chór wzmagających się jęków i wrzasków. „Dlaczego ktoś nie włączy światła?”, pomyślała mętnie, zanim dotarło do niej, gdzie się właściwie znajduje. Blask gwiazd był zbyt stłumiony, a księżyc odbijał tylko tyle światła, że Glass ledwie rozpoznawała wśród jęczących postaci współpasażerów lądownika. Koszmar! Nie tak miała wyglądać Ziemia. To nie było miejsce, dla którego warto by umrzeć. Znów zawołała Luke'a, bezskutecznie.

Musiła wstać, lecz nie mogła. Czyżby mózg przestał zawiadywać mięśniami? Całe ciało dziewczyny było nienaturalnie bezwładne, jakby do kończyn przywiązano niewidzialne ciężarki. Czy była to kwestia większej grawitacji, czy też kontuzji, z której nie zdawała sobie dotąd sprawy? Przesunęła dłonią po łydce i aż się wzdrygnęła. Jej nogi były mokre! Czyżby od krwi? Spojrzała w dół, obawiając się najgorszego. Nogawki spodni były porwane, a skóra pod nimi nieźle podrapana, ale nie zauważyła żadnych poważnych ran. Położyła dłoń na podłodze, nie, na ziemi,

poprawiła się w myślach, i zatkało ją. Siedziała w wodzie – wodzie, której powierzchnia sięgała tak daleko, że ledwie dało się dostrzec niewyraźne cienie drzew na przeciwnym brzegu. Glass mrugnęła, by odzyskać ostrość widzenia. Na razie to, co widziała, miało dla niej niewiele sensu, ale mimo usilnych prób obraz pozostał taki sam. Pamięć gładko wypowiedziała słowo: jezioro. Siedziała na jednym z jego końców, na brzegu ziemskiego jeziora. Ten fakt wydał się jej równie nierealny jak ślady zniszczenia otaczające ją ze wszystkich stron. Odwróciła się i zobaczyła potworny widok: poszarpane ciała leżące bezwładnie, poranionych ludzi, płaczących i wzywających pomocy, oraz zniekształcone, dymiące szczątki kilku łodowników, które rozbiły się kilka metrów od siebie, a teraz straszyły rozłupanymi kadłubami. Koloniści wbiegali do tłących się wraków i wynurzali się z nieruchomym brzemieniem ciał na ramionach.

Kto wyniósł ją z łodownika? Luke? A jeśli tak, to gdzie teraz był?

Glass zdołała się podnieść, ale nogi się pod nią uginały. Wyprostowała kolana, żeby znów nie osunąć się do wody, i rozpostarła ramiona, by utrzymać równowagę. Stała w lodowatej wodzie i czuła, jak chłód pełźnie w górę po nogach. Odetchnęła głębiej i rozjaśniło się jej w głowie, mimo że kolana się trzęsły. Zrobiła kilka chwiejnych kroków i potknęła się o kamień ukryty pod powierzchnią.

Spojrzała w dół i głośno wciągnęła powietrze. Światło księżyca wystarczyło, by dostrzec, że woda jest intensywnie różowa. Czy to skażenia i promieniotwórczość po kataklizmie sprawiły, że jeziora zmieniły kolor? A może na Ziemi istniały miejsca, gdzie woda tak właśnie wyglądała – z całkowicie naturalnych przyczyn? Nigdy nie uważała na lekcjach ziemskiej geografii, a teraz z każdą chwilą coraz bardziej tego żałowała. W tym momencie leżący w pobliżu człowiek wrzasnął rozpaczliwie. Jego ciało było nienaturalnie wygięte. Glass nagle zrozumiała bolesną prawdę: nie chodziło o efekty promieniowania – wodę jeziora zabarwiła ludzka krew.

Zadrżała i zrobiła kilka chwiejnych kroków w kierunku kobiety wołającej o pomoc. Tamta leżała bezwładnie przy brzegu, zanurzona do pasa w wodzie, przybierającej wokół niej barwę coraz intensywniejszej czerwieni. Glass schyliła się i wzięła ją za rękę.

– Nie martw się, wyjdiesz z tego – powiedziała, mając nadzieję, że zabrzmiało to krzepiąco.

Oczy kobiety rozszerzyły się ze strachu i z cierpienia.

– Widziałas Thomasa? – wydyszała.

– Thomasa? – powtórzyła Glass, rozglądając się naokoło.

W ciemności było widać tylko niewyraźne zarysy ciał i wraki łodowników. Musiała znaleźć Luke'a. Przerzała ją myśl, że być może leży teraz gdzieś w pobliżu, ranny i samotny.

– Mojego syna, Thomasa – powiedziała kobieta, mocniej ściskając dłoń Glass. – Byliśmy w różnych łodownikach. Moja sąsiadka... – przerwała i westchnęła z udręką. – Obiecała, że się nim zaopiekuje,

– Znajdziemy go – powiedziała Glass, krzywiąc się, gdy paznokcie tamtej wbiły się w jej skórę.

Miała nadzieję, że pierwsze zdanie wypowiedziane przez nią na Ziemi nie okaże się kłamstwem. Wróciła myślą do sceny chaosu na statku: tłum zdyszanych ludzi wypełniających pokład startowy, rozpaczliwie próbujących dostać się do kabiny łodownika opuszczającego umierającą Kolonię. Szalejący rodzice, których dzieci gdzieś zaginęły. Otumanione maluchy o ustach sinych z braku tlenu, szukające swoich rodzin, z którymi prawdopodobnie nigdy się już nie zobaczą.

Glass zdołała się uwolnić dopiero wówczas, gdy kobieta krzyknęła z bólu i puściła jej dłoń.

– Poszukam go – powiedziała drżącym głosem i zaczęła się powoli wycofywać. – Na pewno go

znajdziemy.

Niewiele brakowało, żeby zatrzymało ją poczucie winy, zmusiła się jednak, by iść dalej. Nie mogła zrobić nic, by ulżyć cierpieniu tamtej kobiety. Nie była lekarzem tak jak Clarke. Nie czuła się także swobodnie w towarzystwie, tak jak Wells czy Luke – oni zawsze potrafili powiedzieć to, co w danym momencie najwłaściwsze. Na tej planecie był tylko jeden człowiek, który mógł pomóc, a ona musiała go znaleźć, zanim będzie za późno.

– Przykro mi – szepnęła Glass, zwracając się do kobiety, której twarz ściągnięta była z bólu. – Wrócę po ciebie. Muszę odnaleźć mojego... kogoś.

Kobieta skinęła głową. Miała zamknięte oczy i zaciśnięte zęby, a spod powiek płynęły jej łzy.

Glass zmusiła się, żeby odwrócić wzrok od jej twarzy, i poszła dalej. Zmrużyła oczy, próbując dojrzeć, co dzieje się na brzegu jeziora. Ciemność, zawroty głowy, dym i wstrząs towarzyszący powrotowi na Ziemię nie ułatwiały jej zadania. Statki z Kolonii wylądowały nad jeziorem, zamieniając się w dymiące wraki. W oddali widniała zamglona linia drzew, lecz Glass była zbyt zajęta tym, co w pobliżu, by popatrzeć na nie uważniej. Cóż znaczyły drzewa, a nawet kwiaty, jeżeli nie było przy niej Luke'a, który mógłby je podziwiać wraz z nią?

Idąc, przyglądała się rozbitkom w nadziei, że wypatrzy wśród nich swojego mężczyznę. Starszy człowiek z twarzą ukrytą w dłoniach siedział na wielkim kawale metalu wydartym z poszycia lądownika. Zakrwawiony młody chłopak stał samotnie kilka metrów od płataniny sypiących iskrami kabli. Obojętny na niebezpieczeństwo, gapił się tępo w niebo, jakby szukając sposobu, by wrócić do Kolonii.

Wszędzie leżały poskręcane, martwe ciała. Ludzie z rozchyłonymi ustami, z których – zdawałoby się – przed chwilą uleciały słowa pożegnań. Ludzie, którzy nigdy nie zobaczą błękitnego nieba, chociaż poświęcili wszystko dla tego widoku. Byłoby lepiej, gdyby zostali tam, w górze, i wydali ostatnie tchnienie wśród najbliższych, zamiast umierać samotnie tutaj.

Stąpając wciąż jeszcze niepewnie, Glass powlokła się w kierunku najbliższych postaci, modląc się żarliwie, by żadna z pozbawionych życia twarzy nie okazała się obliczem Luke'a z mocno zarysowanym podbródkiem, wąskim nosem i kręconymi blond włosami. Spojrzała na pierwsze ciało i odetchnęła. To nie on. Obawiając się najgorszego, popatrzyła na następne zwłoki. A potem na kolejne. Za każdym razem, kiedy przewracała martwe ciała na plecy lub spychała z nich ciężkie fragmenty wraków, wstrzymywała oddech. A gdy przekonywała się, że zakrwawiona twarz należy do kogoś nieznanego, czuła ulgę i utwierdzała się w przekonaniu, że Luke wciąż żyje.

– Dobrze się czujesz?

Zaskoczona, odwróciła głowę w kierunku, z którego dobiegał głos. Mężczyzna z wielką raną nad lewym okiem patrzył na nią, jakby lekko zdziwiony.

– Tak, wszystko w porządku – odparła automatycznie.

– Na pewno? Wstrząs potrafi robić z człowiekiem dziwne rzeczy.

– Dziękuję, naprawdę czuję się świetnie. Szukam tylko... – urwała.

Nie potrafiła ująć w słowa wszystkich przepełniających ją uczuć, zwłaszcza paniki i nadziei.

– Dobrze. – Mężczyzna skinął głową. – Sprawdziłem już ten teren, ale jeżeli znajdziesz kogoś żywego, kogo przeoczyłem, krzyknij. Przenosimy rannych w tamto miejsce – wskazał gdzieś w ciemność.

Glass ledwie mogła rozróżnić postacie pochylone nad nieruchomymi kształtami na ziemi.

– Tam w wodzie jest jakaś kobieta, chyba ranna.

– Okej, zaraz do niej podejdziemy.

Dał znak komuś, kogo Glass nie widziała, po czym ruszył chwiejnym truchtem. Poczła dziwną chęć, by krzyknąć za nim, że lepiej najpierw poszukać zaginionego Thomasa. Była pewna, że kobieta wolałaby się raczej wykrwawić w wodzie, niż wieść na Ziemi bezsensowne życie bez jedynej osoby, na której jej zależało. Mężczyzna zniknął już jednak w ciemnościach.

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, by iść dalej, ale stopy odmówiły jej posłuszeństwa. Jeżeli Luke wyszedł z lądowania bez szwanku, czy nie szukałby jej teraz? Jeśli zaś nie usłyszała jeszcze w ciemności jego niskiego głosu wołającego ją po imieniu, to czy oznaczało to, że leży gdzieś, ranny zbyt ciężko, by się poruszyć? Albo nawet...

Glass spróbowała przezwyciężyć ponure myśli, ale przypominało to walkę z cieniem. Nie potrafiła zmusić się do optymizmu. Byłoby niewyobrażalnym okrucieństwem, gdyby straciła Luke'a zaledwie kilka godzin po jego odzyskaniu. Nie potrafiłaby tego znieść – przecież dopiero co była świadkiem śmierci matki. O, nie! Tłumiąc łkanie, wspięła się na palce i rozejrzała wokoło. Robiło się coraz jaśniej. Część rozbitków wykorzystwała płonące fragmenty wraków, by zapalić zaimprovizowane pochodnie, ale ich nierówne, raz rozbłyskujące, a raz przygasające światło niewiele pomagało. Dziewczyna widziała teraz wszędzie zniekształcone ciała i przerażone twarze wyłaniające się z cieni.

Drzewa były teraz bliżej. Dostrzegała ich korę, pokręcone gałęzie i liściaste korony. Przez całe życie oglądała jedno jedyne drzewo – Drzewo Edenu, więc teraz czuła się przedziwnie. Zupełnie jakby wyszła z za rogu i spotkała tuzin klonów swojej najlepszej przyjaciółki.

Spojrzała w kierunku wyjątkowo dorodnego okazu i westchnęła z przejęcia. Opierając się o pień, siedział pod nim kędzierzawy chłopak w mundurze strażnika.

– Luke! – krzyknęła Glass, ruszając ku niemu biegiem.

Z bliska było widać, że ma zamknięte oczy. Czy był nieprzytomny? A może...

– Luke!!! – wrzasnęła ponownie, zanim jeszcze ta ostatnia myśl nabrała kształtu w jej głowie.

Nogi ugięły się pod nią, a jednocześnie poczuła, jakby ktoś przepuścił przez nie prąd. Chciała przyspieszyć, ale ziemia zdawała się ją przyciągać. Rozpoznała go z odległości kilkunastu metrów – to na pewno był Luke. Siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami, ale oddychał. A więc żył!

Glass upadła przy nim na kolana i zwalczyła pokusę, by objąć go i uściskać z całych sił. Jeśli był ranny, mogłaby mu w ten sposób zaszkodzić, a tego przecież nie chciała.

– Luke – wyszeptała. – Słyszysz mnie?

Na jego pobladłej twarzy, tuż nad okiem, widniało głębokie rozcięcie, z którego krew ściekała ku nasadzie nosa. Glass opuściła rękaw i przycisnęła go dłonią do rany. Luke cicho jęknął, ale się nie poruszył. Ścisnęła trochę mocniej, mając nadzieję, że zatamuje w ten sposób krwawienie, i sprawdziła, czy nie ma innych ran. Jego lewy nadgarstek był fioletowy i napuchnięty, ale poza tym nic mu chyba nie dolegało. Łzy ulgi i wdzięczności napłynęły jej do oczu, a potem pociekły po policzkach. Po kilku minutach cofnęła dłoń i obejrzała ranę. Wyglądało na to, że krwawienie ustało. Położyła dłoń na jego piersi.

– Luke – powiedziała łagodnie i delikatnie pogłaskała palcami jego obojczyk. – Luke, to ja. Obudź się.

Chłopak poruszył się na dźwięk jej głosu, a Glass wydała z siebie dźwięk, który przypominał trochę śmiech, a trochę łkanie. Jęknął głośno, spróbował otworzyć oczy, po czym znów je zamknął.

– Luke, obudź się – powtórzyła, a potem zbliżyła usta do jego ucha, tak jak czasem robiła rano,

kiedy jej chłopakowi groziło spóźnienie. – Zaspiałeś do pracy – szepnęła z lekką kpina w głosie.

Znów otworzył oczy, powoli i z trudem, a potem utkwiał w niej wzrok. Spróbował coś powiedzieć, ale mu się nie udało, więc tylko się do niej uśmiechnął.

– Cześć – powiedziała Glass, czując, jak obawy i smutek w jednej chwili znikają z jej serca. – Wszystko w porządku. Żyjesz. Luke, jesteśmy tutaj. Udało się nam. Witaj na Ziemi!

ROZDZIAŁ 2

Wells

– Wyglądasz na wyczerpanego – powiedziała Sasha, przechylając głowę na bok. Długie czarne włosy opadły jej na ramię. – Może byś się już położył?

– Wolę zostać tu, z tobą. – Wells zamaskował ziewnięcie, w ostatniej chwili udając, że to tylko szeroki uśmiech.

Przyszło mu to tym łatwiej, że za każdym razem, gdy spoglądał na dziewczynę, dostrzegał coś, co sprawiało mu radość. Błysk płomieni ogniska odbijający się w jej zielonych oczach. Delikatny wzór piegów na wystających kościach policzkowych, fascynujący go tak, jak ją gwiazdne konstelacje na nocnym niebie. Właśnie patrzyła na te cudowne światła, unosząc ku górze twarz.

– Nie mogę uwierzyć, że mieszkaliście tam, na górze – powiedziała cicho, a potem opuściła wzrok i spojrzała w oczy Wellsa. – Nie tęsknisz za tamtym czasem? Za życiem między gwiazdami?

– Tu na dole jest jeszcze piękniej. – Podniósł dłoń, dotknął palcem policzka Sashy, a potem pieszczotliwie nakreślił linię pomiędzy piegami. – Mógłbym się wpatrywać w twoją twarz przez całą noc, a w Wielką Niedźwiedzicę – nigdy w życiu.

– Akurat! Nie wytrzymasz ani pięciu minut! Ledwie patrzysz na oczy.

– Och, to był naprawdę długi dzień.

Sasha uniosła brwi, a Wells znów się uśmiechnął. Oboje wiedzieli, że to oczywisty eufemizm. W ciągu ostatnich kilku godzin Wells został wyrzucony z obozu za to, że pomógł w ucieczce Sashy, uwięzionej wcześniej przez kolonistów. Zaraz potem wpadł na Clarke i Bellamy'ego eskortujących do obozu Octavię, siostrę tego ostatniego. Jej powrót stanowił najlepszy dowód, iż towarzysze Sashy – Ziemianie – nie są wrogami, mimo że tak się przedtem wydawało. Wyjaśnili to pozostałym mieszkańcom obozu, których większość wciąż jeszcze czuła się nieswojo w towarzystwie Ziemiarki, ale to był dopiero początek. Tego samego wieczoru Bellamy i Wells odkryli wstrząsający fakt. Chociaż Wells, syn kanclerza, cieszył się wszystkimi przywilejami życia na „Feniksie”, a Bellamy klepał biedę na „Waldenie”, w rzeczywistości byli przyrodni braćmi.

To za dużo na jeden raz. Mimo że większość tych wydarzeń uradowała Wellsa, początkowy wstrząs nie pozwalał mu w pełni ogarnąć umysłem ich znaczenia. Aha, przeszkadzał w tym również brak snu. Przez kilka poprzednich tygodni chłopak pełnił w obozie funkcję przywódcy. Nie zabiegał o nią, ale o przyjęciu tej roli zdecydowało jego oficerskie szkolenie i wieloletnia fascynacja Ziemią. Owszem, był zadowolony, że może pomóc, i wdzięczny za zaufanie całej grupy, lecz przywództwo niosło ze sobą również ogromną odpowiedzialność.

– Może odpocznę minutkę – powiedział, opuszczając się niżej, tak by jego głowa spoczęła na podołku dziewczyny.

Siedzieli oboje w pewnej odległości od reszty towarzystwa zebranego wokół ogniska, ale trzask płomieni nie zdołał zagłuszyć odgłosów typowych wieczornych kłótni. Prędzej czy później ktoś przyjdzie do Wellsa ze skargą, że ten lub tamten zabrał mu posłanie, z prośbą, by syn kanclerza rozstrzygnął spór dotyczący obowiązków nosiwody, albo z pytaniem, co ma zrobić z resztkami posiłku, na który złożyła się zdobycz z wczorajszego polowania.

Wells westchnął, gdy Sasha przeczesała mu palcami włosy, i myślał tylko o ciepłe jej skóry. Na chwilę zapomniał o strasznych wydarzeniach poprzedniego tygodnia. O agresji, której byli świadkami. O śmierci Priyi, życzliwej wszystkim ludziom. O widoku rannego ojca, postrzelonego podczas szamotaniny z Bellamym, zdecydowanym za wszelką cenę dostać się do lądownika razem z siostrą. Zapomniał też o pożarze, który strawił ich pierwszy obóz i zabił Thalię, przyjaciółkę Clarke. Przez tę tragedię związek Wellsa z młodą lekarką ostatecznie się rozpadł.

Może teraz on i Sasha spędzą całą noc na polanie? Tylko w ten sposób uda się im zyskać trochę prywatności. Uśmiechnął się sam do siebie na tę myśl i zapadł głębiej w drzemkę.

– Co, do cholery?

Dłoń Sashy zatrzymała się gwałtownie, a w jej głosie zabrzmiał niepokój.

– Coś nie tak? – zapytał Wells, otwierając oczy. – Czy wszystko w porządku?

Usiadł i rozejrzał się badawczo po obozie. Większość zesłańców wciąż jeszcze siedziała w grupkach wokół ognia, rozmawiając po cichu. Ich głosy zlewały się w jeden uspokajający pomruk. Potem jednak jego spojrzenie padło na Clarke. Leżała skulona obok Bellamy'ego, lecz Wells dostrzegł, że skupia wzrok gdzie indziej. Chociaż jego uczucia względem dziewczyny zmieniły się w coś zbliżonego do szczerzej przyjaźni, wciąż jeszcze potrafił czytać w jej twarzy jak w otwartej księdze. Znał każdą jej minę: ściągnięte usta, kiedy w pełni skoncentrowana uczyła się medycyny, czy też błyszczące oczy, gdy zaczynała rozmowę na jeden ze swoich ulubionych tematów, takich jak systematyka albo fizyka teoretyczna. W tej chwili marszczyła z przejęciem brwi, zastanawiając się nad czymś widocznym na niebie. Bellamy również odchylił głowę do tyłu, a jego twarz nagle stężała. Odwrócił się i wyszeptał coś do ucha Clarke. Taka poufałość jeszcze niedawno wywołałaby u Wellsa skurcz zazdrości, teraz poczuł jedynie niepokój.

Zerknął tam, gdzie ona, lecz nie zauważył niczego niezwykłego. Tylko gwiazdy. Sasha wciąż patrzyła w górę.

– O co chodzi? – zapytał Wells, obejmując jej plecy.

– Tam – powiedziała napiętym głosem, wskazując na nocne niebo nad namiotem szpitalnym i pierścieniem drzew okalających polanę.

Znała konstelacje gwiazd jak własną kieszeń. Jako Ziemianka patrzyła na nie przez całe życie, tak jak on spoglądał w dół na błękitną ziemską kulę. Wells spojrzał tam, gdzie celowała palcem, i zobaczył jasne światło, szybko poruszające się łukiem w kierunku Ziemi. Zaraz za nim podążyło kolejne, a potem jeszcze dwa następne. Razem wyglądały trochę jak rój meteorów zbliżający się do spokojnego zgromadzenia przy ognisku.

Wells głośno wciągnął powietrze, nagle czujny i napięty.

– Lądownicy – stwierdził cicho. – Nadlatują wszystkie naraz – dodał.

Poczuł, jak ciało Sashy tężeje, objął ją i przyciągnął do siebie. Przez chwilę w milczeniu obserwowali opadające statki.

– Czy... Czy myślisz, że twój ojciec leci jednym z nich? – zapytała, wyraźnie siląc się na optymizm.

Ziemiańskie doszli do porozumienia z setką młodocianych przestępców na wygnaniu i zgodzili się dzielić z nimi planetę, ale Wells wyczuwał, że jeśli w grę wchodzić będzie cała populacja Kolonii, to sprawy przybiorą zgoła inny obrót.

Milczał, gdy w jego umyśle walczyły o lepsze nadzieje i strach. Istniała szansa, że stan jego ojca nie był tak poważny, jak się wydawało, że kanclerz Jaha był już zdrowy i teraz leciał wraz z innymi mieszkańcami Kolonii na Ziemię. Jednak równie dobrze mógł nadal walczyć o życie w centrum medycznym lub jeszcze gorzej – być może jego bezwładne ciało dryfowało już między gwiazdami. Co zrobi, jeśli ojciec nie wyłoni się z jednego z lądowików? Jak będzie żyć, wiedząc, że ojciec nie zdążył przebaczyć mu potwornych zbrodni, których Wells dopuścił się w Kolonii?

Oderwał wzrok od lądowików i rozejrzał się po tłumie wokół ogniska. Clarke patrzyła teraz na niego. Ich oczy spotkały się, a chłopak poczuł nagły przypływ wdzięczności. Nie musieli nic mówić. Dziewczyna doskonale rozumiała, co czuje Wells. Wiedziała, że wypełnia go mieszanina ulgi i obaw. Dopiero gdy otworzą się luki statków, będzie wiedział, ile zyskał – lub stracił!

– Ależ będzie z ciebie dumny! – powiedziała Sasha, ściskając jego dłoń.

Mimo niepokoju Wells poczuł, że musi się uśmiechnąć. Sasha również go rozumiała. Chociaż nigdy nie spotkała kanclerza Jahy i nie miała okazji doświadczyć, jak skomplikowany związek łączy ojca i syna, doskonale wiedziała, jak to jest: dorastać jako dziecko rodzica odpowiedzialnego za przyszłe losy całej społeczności. Albo – w przypadku Wellsa – za przetrwanie ostatnich znanych mu przedstawicieli ludzkości. Ojciec Sashy był przywódcą Ziemiań, podobnie jak ojciec Wellsa – liderem Kolonii, dlatego świetnie wiedziała, jak wielkie brzemię spoczywa na jego barkach. Rozumiała także, że władza oznacza tyleż zaszczytów, co problemów.

Wells ponownie spojrzął w stronę ogniska. Patrzył na wychudłe, zmęczone twarze niemal setki nastolatków, którzy przeżyli pierwsze trudne tygodnie na Ziemi. Zazwyczaj widok ten sprawiał, że zaczynał się martwić zapasem żywności i innymi szybko kurczącymi się zasobami, lecz tym razem czuł tylko ulgę. Ulgę i dumę. Udało im się. Mimo przeciwności losu przeżyli, a teraz nadchodziła pomoc. Nawet jeśli jego ojca nie ma na pokładzie żadnego z lądowików, z pewnością przylatują z solidnym zapasem racji żywnościowych, narzędzi i lekarstw – wszystkim, czego trzeba, by przeżyć najbliższą zimę i kolejne lata.

Nie mógł się doczekać, by zobaczyć miny nowo przybyłych na widok tego, co udało się osiągnąć pierwszej setce. Młodzi koloniści na pewno popełnili po drodze mnóstwo pomyłek i ponieśli straty (w osobach Ashera i Priyi – a niewiele brakowało, by do tej listy dołączyła także Octavia), lecz zanotowali również znaczące sukcesy.

Wells odwrócił głowę i zobaczył, że Sasha wpatruje się w niego z przejęciem. Uśmiechnął się, zanurzył palce w błyszczących włosach i nie dając jej ani chwili na reakcję, pocałował. Z początku wydawała się zaskoczona, ale potem odprężyła się i odwzajemniła pocałunek. Przez moment pozostał z czołem opartym o jej czoło, zbierając myśli, a potem wstał. Nadszedł czas, by powiedzieć o tym innym.

Zerknął w kierunku Clarke, milcząco pytając ją o zgodę. Zaciśnęła usta i odwróciła się ku Bellamy'emu, ale potem spojrzała znów na Wellsa i skinęła głową.

Wells odchrząknął, zwracając na siebie uwagę kilku ludzi.

– Czy wszyscy mnie słyszą? – zagaił, podnosząc głos tak, by to, co mówił, dotarło do każdego zesańca mimo gwaru rozmów i trzasku płomieni.

Kilka metrów dalej Graham wymienił szydercze uśmiechy z jednym ze swoich kumpli z „Arkadii”.

Po wylądowaniu na Ziemi był jednym z głównych oponentów Wellsa, próbując przekonać pozostałych, że syn kanclerza został wysłany z nimi jako szpieg. Wydarzenia kolejnych dni sprawiły, że Wells zyskał lojalność większości młodych kolonistów, lecz jego przeciwnik nie stracił wszystkich wpływów. U części mieszkańców obozu strach przed Grahamem wciąż przeważał nad zaufaniem do nowego przywódcy.

Lila, powabna waldenitka, która od początku przymilała się do Grahama, wyszeptała mu coś do ucha, a gdy odpowiedział jej w ten sam sposób, głośno zachichotała.

– Ej, zamknijcie się – warknęła Octavia, rzucając im niechętnie spojrzenie. – Wells próbuje coś powiedzieć.

Lila odpowiedziała gniewną miną i wymamrotała coś pod nosem. Graham natomiast wydawał się lekko rozbawiony. Może Octavia przebywała w obozie zbyt krótko, by się go bać, bo była jedną z niewielu osób, które nie dały się mu zastraszyć, i przy każdej okazji stawiała mu czoła.

– Co się dzieje, Wells? – zapytał Eric. Wysoki, poważny arkadyjczyk trzymał dłoń swojego chłopaka, Feliksa, który ostatnio wrócił do zdrowia po tajemniczej chorobie. Zazwyczaj powściągliwy Eric tym razem pozwolił sobie na okazanie emocji. Wells zauważył, że trzymali się za ręce przez cały dzień.

Uśmiechnął się. Niedługo nie będą musieli martwić się dziwnymi infekcjami. Z pokładów łodowników z pewnością zejdą wykwalifikowani lekarze z taką gamą lekarstw, jakiej nie było na Ziemi przez ostatnie stulecia.

– Udało się – zaczął Wells, nie potrafiąc ukryć emocji. – Przetrwaliśmy dość długo, by dowieść, że Ziemia nadaje się do zamieszkania... A teraz inni idą w nasze ślady! – wskazał z uśmiechem na niebo.

Dziesiątki głów odwróciły się w tym kierunku, a migoczące płomienie oświetliły twarze kolonistów. Rozległ się chór entuzjastycznych gwizdów i okrzyków, dało się słyszeć nawet kilka przekleństw, ale wszyscy bez wyjątku poderwali się na równe nogi. Widoczne na niebie statki schodziły coraz niżej ku powierzchni planety, gwałtownie nabierając prędkości.

– Moja mama przylatuje! – wykrzyknęła Molly, jedna z młodszych dziewczynek w grupie, kołysząc się z emocji. – Obiecała mi, że będzie w pierwszym łodowniku!

Dwie waldenitki przytuliły się do siebie z piskiem, a Antonio, zazwyczaj pogodny chłopak, który jednak ostatnio ucichł, najwyraźniej oszołomiony mamrotał pod nosem:

– Udało się... Udało się...

– Pamiętajcie, co powiedział mój ojciec! – wezwał Wells, starając się przekrzyczeć hałas. – O naszym ułaskawieniu! Od tej chwili jesteśmy znów zwykłymi obywatelami! – przerwał na chwilę, po czym uśmiechnął się szeroko. – Właściwie to nie do końca prawda. Nie jesteście zwykłymi obywatelami, tylko prawdziwymi bohaterami!

Rozległy się brawa, które zagłuszył rozlegający się zewsząd, przeszywający gwizd. Błyskawicznie urósł do ogłuszającego poziomu, zmuszając zebranych na polanie do zakrycia uszu.

– Zaraz będą lądować! – wrzasnął Felix.

– Gdzie? – zapytała jedna z dziewcząt.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, ale było jasne, że statki nadlatują szybko... zbyt szybko, tak jakby nikt nie kontrolował ich prędkości przy podchodzeniu do lądowania. Wells patrzył bezsilnie, jak pierwszy z nich przemyka parę kilometrów nad ich głowami, tak nisko, że odpadające od niego płonące fragmenty ścięły szczyty najwyższych drzew.

Zaklął pod nosem. Jeżeli las zacznie się palić, nie ma znaczenia, kto znajduje się w lądownikach. Wszyscy będą martwi jeszcze przed świtem.

– No to świetnie – rzucił Bellamy, dość głośno, by usłyszano go pośród gwaru. – Ryzykowaliśmy życie, aby dowieść, że na Ziemi da się żyć, tylko po to, żeby tamci przylecieli i podpalili pół planety!

Jego głos brzmiał, jak zwykle, beztrzesko i kpiąco, lecz Wells wiedział, że Bellamy się boi. Inaczej niż pozostali zesłańcy, dostał się na pokład lądownika siłą, a przy tej okazji doprowadził do postrzelenia samego kanclerza. Nikt nie wiedział, czy Bellamy również zostanie ułaskawiony, czy też strażnicy mieli rozkaz, by strzelać do niego bez ostrzeżenia.

Gdy lądownik przemieszczał się nad polaną, Wells dojrzał na jego burcie błysk kolorowych liter – TG, Trillion Galactic. Tak nazywała się firma, która wiele pokoleń temu wybudowała te statki. Poczł nagły niepokój – jeden z lądowników leciał bokiem, pod kątem czterdziestu pięciu stopni do powierzchni Ziemi. Co to oznaczało dla pasażerów? Statek minął polanę i zniknął za linią drzew, opadając coraz niżej poza polem widzenia młodych kolonistów.

Wells wstrzymał oddech. Po nieznośnie długiej chwili daleko za lasem wystrzelił w górę słup ognia i dymu. Miejsce wybuchu znajdowało się przynajmniej kilka kilometrów od obozu, a mimo to płomienie były jasne jak rozbłysk słońca. Kilka, a może kilkanaście sekund później dobiegł ich odgłos eksplozji, głęboki grzmot, który na moment zagłuszył inne dźwięki. Zanim ktokolwiek pojął znaczenie tego, co właśnie widzieli, następny lądownik przemknął nad ich głowami i po chwili wylądował w podobny sposób jak poprzedni, z tą różnicą, że eksplozja była jaśniejsza, a towarzyszący jej grzmot jeszcze bardziej donośny. Za nimi podążył kolejny statek.

Każdy wybuch wstrząsał gruntem, posyłając gwałtowne wibracje przez stopy Wellsa aż do jego wnętrza. Czy kiedy rozbijał się ich lądownik, wyglądało to tak samo? Przybycie setki zesłańców było przerażające – kilka osób zginęło. Tymczasem straszne dźwięki raptownie umilkły. Powierzchnia ziemi znieruchomiała, a w niebo znów strzeliły płomienie, nad nimi zaś pojawiły się kłęby dymu. Wells odwrócił się od drzew ku młodym zesłańcom. Ich twarze w świetle pomarańczowego ognia wyrażały tę samą niepewność, która dręczyła również jego: „Czy ktokolwiek przeżył takie piekło?”

– Musimy tam iść! – powiedział z mocą Eric, podnosząc głos, by usłyszano go poprzez nerwowe pokasywania i szepty.

– Jak ich odnajdziemy? – spytała drżącym głosem Molly. Wells wiedział, że nienawidziła lasu, zwłaszcza w nocy.

– Wygląda na to, że wylądowali nad jeziorem – odparł, masując końcami palców skronie. – Ale mogli równie dobrze dolecieć o wiele dalej.

„Jeśli ktokolwiek przeżył”, dodał w myślach. Nie musiał zresztą mówić tego głośno. Wszyscy myśleli o tym samym. Wells odwrócił się znów w kierunku, z którego padało światło płomieni. Było coraz słabsze, ogień najwyraźniej wygasał, rzucając coraz słabszy blask ponad drzewami. Rzucił zdecydowanie:

– Lepiej już ruszajmy. Jeśli płomienie zgasną, nikogo nie znajdziemy w tych ciemnościach.

– Wells – wyszeptała Sasha, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Może powinniście poczekać do rana? W lesie może być niebezpiecznie.

Zawahał się. Dziewczyna miała rację. Wroga grupa Ziemiaków, którzy zbuntowali się przeciwko ojcu Sashy, przemierzała obecnie lasy między Mount Weather i obozem zesłańców. To oni porwali Octavię i zamordowali Ashera oraz Priyę. Wells nie mógł jednak znieść myśli, że gdzieś tam

poranieni i przerażeni pasażerowie lądowników oczekują na ich pomoc.

– Nie pójdziemy wszyscy – zarządził, zwracając się do grupy. – Potrzebuję tylko kilku ochotników, którzy zabiorą część zapasów i poprowadzą wszystkich z powrotem do obozu. Rozejrzał się po polanie i poczuł przypływ dumy. Ciężką pracą doprowadzili ją do stanu, w którym można było nazwać to miejsce domem.

Octavia zrobiła kilka kroków w stronę Wellsa i stanęła w centrum kręgu. Miała zaledwie czternaście lat, ale w przeciwieństwie do pozostałych młodszych mieszkańców obozu śmiało przemawiała nawet przed licznie zgromadzoną publicznością.

– Proponuję, żebyśmy ich zostawili. Niech sami znajdą drogę do nas – rzuciła, zaczepnie podnosząc brodę. – Albo i lepiej: niech zostaną tam, gdzie są. Wysyłając nas tutaj, myśleli, że skazują nas na śmierć. Dlaczego mielibyśmy ryzykować życie, żeby ich ratować?

Przez tłum przebiegły pomruki. Octavia rzuciła bratu szybkie spojrzenie, jakby oczekiwała wsparcia z jego strony, ale gdy Wells popatrzył na Bellamy'ego, twarz starszego chłopaka była nieprzenikniona.

– Żartujesz, prawda? – zapytał Felix, mierząc Octavię zaniepokojonym wzrokiem. Jego głos wciąż jeszcze brzmiał słabo po chorobie, ale bez trudu dało się w nim usłyszeć przerażenie. – Jeżeli jest choćby cień szansy, że w którymś z lądowników byli moi rodzice, to idę ich szukać, i to już!

Przysunął się do Erica, który objął go ramieniem i ścisnął.

– A ja ruszam z Feliksem – powiedział.

Wells odszukał wzrokiem Clarke i Bellamy'ego. Oni również na niego patrzyli, a potem dziewczyna wzięła Bellamy'ego za rękę i pociągnęła go ku krawędzi kręgu, do miejsca, w którym stał młody Jaha.

– Ja też powinnam iść – powiedziała spokojnie. – Zapewne są tam ranni, którzy potrzebują mojej pomocy.

Wells spojrzał na przyrodniego brata, czekając, czy tamten nie sprzeciwi się ryzykownej wyprawie. Bellamy stał jednak cicho, cały spięty, patrząc w ciemność daleko za Wellsem. Zapewne wiedział już, że kiedy Clarke się na coś zdecyduje, wszelka dyskusja jest daremna.

– Świetnie – rzekł Wells. – Przygotujmy się do drogi. Większość z was powinna zostać w obozie i zorganizować wszystko na przybycie nowych mieszkańców.

Clarke pobiegła do chaty szpitalnej po medykamenty, podczas gdy Wells wyznaczał ludzi do noszenia wody i koców.

– Eric, znajdź, proszę, jakieś jedzenie. Wszystko, co mamy – rzucił.

Zespół ratowników ruszył, by przygotować się do drogi, a Wells odwrócił się do stojącej za nim Sashy. Jej twarz wyrażała olbrzymią koncentrację.

– Powinniśmy wziąć ze sobą coś, czego można użyć jako noszy – powiedziała, rzucając aprobowane spojrzenie na polanę. – Mogą tam być ranni, którzy nie dadzą rady samodzielnie dojść do obozu.

Ruszyła w kierunku namiotu-spiżarni, nie czekając na odpowiedź Wellsa. Pobiegł za nią.

– Mądrze – powiedział, zrównując się z nią. – Ale... czy na pewno chcesz iść z nami? To nie jest dobry pomysł.

Zatrzymała się raptownie.

– O czym ty mówisz? Żadne z was nie zna tych okolic równie dobrze, jak ja. Jeżeli ktokolwiek jest w stanie przeprowadzić was bezpiecznie tam i z powrotem, to tylko ja!

Wells westchnął. Oczywiście dziewczyna miała rację, lecz poczuł lekki strach, kiedy wyobraził sobie jej spotkanie z setkami kolonistów, w tym – co bardzo prawdopodobne – z wieloma uzbrojonymi strażnikami, którzy nie mieli pojęcia o istnieniu jakichkolwiek Ziemi. Pamiętał własny wstrząs i dezorientację na widok Sashy. Gdy zrozumiał, co się dzieje, poczuł, jakby cały Wszechświat stanął na głowie. Z początku w ogóle jej nie uwierzył. Pozostali zesłańcy potrzebowali jeszcze więcej czasu, by przyjąć do wiadomości, że dziewczyna naprawdę jest przedstawicielką pokojowej wspólnoty ludzi żyjących od wielu lat na Ziemi.

Przestąpił z nogi na nogę, spoglądając w lekko skośne oczy Sashy, patrzącej na niego wyzywająco. Delikatna sylwetka tej pięknej Ziemiarki była tylko pozorem – dziewczyna już nieraz udowodniła, że umie o siebie zadbać i nie potrzebuje jego ochrony. Mimo to cała siła i inteligencja świata nie potrafiłyby zatrzymać kuli spanikowanego strażnika.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało – wyjaśnił, chwytając jej dłoń. – Tamci myślą, że planeta jest bezludna. To nie jest najlepsza chwila, by mówić im o waszym istnieniu. Nie teraz, kiedy są zdeorientowani i przerażeni. Strażnicy mogliby zrobić coś głupiego.

– Ale przecież chcę im pomóc! – starała się wyjaśnić, zmieszana. – W ten sposób najlepiej udowodnię, że nie jestem wrogiem.

Wells umilkł, myśląc o szkoleniu oficerskim, podczas którego patrolował Kolonię w ramach ćwiczeń praktycznych. Był wówczas świadkiem aresztowań za tak błahe przewinienia jak przekroczenie godziny policyjnej o pięć minut czy przypadkowe wejście na obszar zamknięty. Wiedział, że życie na statku podporządkowane jest ścisłemu rygorowi, więc wyszkoleni w tym duchu strażnicy będą stosować się do zasady „najpierw strzelaj, potem zadawaj pytania”.

– Musisz coś zrozumieć, jeżeli chodzi o moich ludzi...

Położyła dłonie na jego ramionach, wspięła się na palce i przerwała mu, całując mocno w usta.

– Twoi ludzie teraz są również moimi.

– Mam nadzieję, że w książkach do historii zacytują cię prawidłowo. – Wells uśmiechnął się szeroko.

– A ja myślałam, że to ty napiszesz tę książkę? – Sasha przybrała ton, który, jak przypuszczał Wells, mógł należeć do jakiegoś ziemskiego bufona: – *Relacja z pierwszej ręki na temat powrotu ludzkiej rasy na Ziemię*. Ta lektura zapowiada się świetnie, poza tym, że niektórzy ludzie nigdy nie opuścili swojej planety.

– Lepiej uważaj, bo inaczej pozwolę sobie na artystyczną dowolność w opisie twojej osoby!

– Co? Napiszesz, że byłam potwornie brzydka? Akurat! Już się boję!

Wells wsunął jej niesforny kosmyk długich włosów za ucho.

– Opiszę cię jako piękność tak olśniewającą, że przez to postępowałem skrajnie nierozważnie.

Uśmiechnęła się i przez chwilę chłopak mógł myśleć wyłącznie o tym, jak bardzo chce ją znów pocałować. Wówczas jednak jego marzenia zostały przerwane przez głosy wołające z ciemności:

– Wells, idziesz? Jesteśmy gotowi!

Między drzewami powoli zaczynał przesączać się do obozu dym z miejsca katastrofy, wypełniając im nozdrza goryczą.

– Okej – powiedziała Sasha pewnym, mocnym głosem. – Chodźmy!

ROZDZIAŁ 3

Clarke

W ciemności Clarke przyglądała się miejscu lądowania wyteżonym wzrokiem. Czekala, aż zachowania wyuczone podczas szkolenia medycznego przejmą kontrolę nad jej umysłem, wypierając z niego panikę. Otaczające ją morze szczątków sprawiało, że powoli pojmowała rozmiary zniszczenia, do jakiego tu doszło, i czuła narastającą zgrozę.

Sytuacja wyglądała dużo gorzej niż po przybyciu setki zesańców. Z tego, co widziała, wynikało, że trzy statki uderzyły w ziemię zaledwie kilkadziesiąt metrów od siebie. Niewiele brakowało, a wylądowałyby jeden na drugim. Ich poszarpane metalowe cielska wystawały z gruntu przy brzegu jeziora, górując nad jego powierzchnią. Wszędzie widniały porozrzucane bezwładne ciała. Większość płomieni już przygasła, ale wciąż jeszcze czuć było smród spieczonego tworzywa i rozgrzanego metalu.

Widok tak wielu zabitych nie był jeszcze najgorszy – prawdziwym problemem była ogromna liczba rannych. Clarke szybko oceniła, że nad jeziorem znajduje się około trzystu pięćdziesięciu kontuzjowanych rozbitków w różnym stanie.

– Na litość...!

Stojący obok Wells nie dokończył frazy. Pozbierał się jednak błyskawicznie, a jego twarz przybrała zdeterminowany wyraz. Zaczerpnął powietrza i rzucił:

– Okej, od czego zaczynamy?

Umysł Clarke niemal automatycznie przełączył się na działanie w trybie lekarskim. Poczwała znajomy spokój i zaczęła oceniać stan ludzi w zasięgu jej wzroku, oddzielając ciężko rannych od tych, którzy mogli siedzieć o własnych siłach, zaczynając od dzieci, a potem biorąc pod uwagę starszych.

Dadzą sobie radę – a ona razem z nimi. Każdy z lądowników musiał być wszak dobrze zaopatrzony w leki. Tym razem będzie miała dużo więcej pracy, no ale w ciągu kilku poprzednich tygodni wiele się nauczyła. Poza tym między pasażerami powinno się znaleźć paru doświadczonych lekarzy, którzy przeżyli lądowanie. Przynajmniej taką miała nadzieję. Poczwała w sercu ukłucie smutku, tak mocne, aż się skrzywiła. Właśnie teraz potrzebowała rodziców bardziej niż kiedykolwiek, lecz była równie blisko ich odnalezienia jak kilka dni temu, gdy opuszczała obóz.

– Zaczynajcie dzielić ich na grupy – poleciła Wellsowi i pozostałym ratownikom. – Zostawcie najciężej rannych tam, gdzie są, a wszystkich, którzy mogą chodzić, poprowadźcie na polanę.

– Co robić z tymi, którzy nie kwalifikują się ani do jednej grupy, ani do drugiej? – spytał Eric. – Mamy im pozwolić odpocząć tutaj, czy też pomóc im dotrzeć do obozu?

Zanim Clarke odpowiedziała, do rozmowy włączył się Wells:

– Wszystkich powinno się przenieść, i to jak najszybciej. Łądowniki mogą wybuchnąć w każdej chwili. Podzielimy się na dwa zespoły. Jedni zaczynają od lewej, drudzy od prawej.

Clarke skinęła głową, rozdała ratownikom bandaże i inne podstawowe środki medyczne, a potem pośpieszyła ku centrum zamieszania. Przeszła ponad stosami poskręcane metalu i odłamków przezroczystego tworzywa, by klęknąć przy chłopczyku, którego ciemną skórę znaczyły placki szarego popiołu. Siedział z kolanami przyciągniętymi do piersi i gapił się przed siebie szeroko otwartymi oczyma, łkając w głos.

– Cześć – powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Jestem Clarke, a ty jak się nazywasz?

Nie odpowiedział. Nie dał po sobie poznać, że w ogóle ją usłyszał czy też poczuł jej dotyk.

– Wiem, że bardzo się boisz, ale wszystko będzie dobrze. Pokochasz to miejsce, obiecuję.

Wstała i przywołała gestem Erica.

– Wszystko z nim w porządku, ale jest w szoku. Proszę, znajdź kogoś, kto się nim zajmie.

Eric przytaknął, wziął chłopczyka na ręce i oddalił się pośpiesznie.

Daleko z lewej widziała Wellsa uspokajającego kobietę w średnim wieku. Pomógł jej wstać i skierował do Sashy, która przygotowywała pierwszą grupę rozbitków do wymarszu. Lodowaty dreszcz przeszedł po plecach Clarke, gdy dostrzegła stojącego wśród nich młodzieńca w mundurze straży. Bellamy obiecał nie rzucić się przez pewien czas w oczy, ale niewiele było trzeba, by sprowokować go do konfrontacji. Próbowwała nie myśleć, co miałyby począć, gdyby coś mu się stało podczas jej nieobecności.

– Clarke! – Odwróciła się na dźwięk głosu Feliksa. – Potrzebujemy tu twojej pomocy.

Podbiegła ku niemu i zobaczyła, jak klęczy koło dziewczyny z długimi, kręconymi włosami rudoblon. Od dłuższej chwili próbował zabandażować jej ramię, ale opatrunek już był przesiąknięty krwią.

– Ciągłe krwawi – wyszeptał, blednąc. – Musisz coś z tym zrobić.

– Rozumiem, wszystko pod kontrolą – odparła lekarka. – Zajmę się nią, a ty ruszaj dalej.

Odwinęła bandaż i zbadła rozcięcie.

– Czy wykrwawię się na śmierć? – wyszeptała ochryple ranna.

Clarke przecząco pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– Co to, to nie. Nie pozwolę na to. Najpierw musisz się dowiedzieć, jak wygląda Ziemia!

Sięgnęła do pudła z zestawem medycznym i wyciągnęła środek odkażający, modląc się, żeby znaleźć większy zapas wśród szczątków któregoś ze statków. Jej antyseptyk był na ukończeniu.

– Zgadnij, co widziałam parę dni temu. – zagadnęła, próbując odwrócić uwagę dziewczyny podczas zaszywania głębokiego rozcięcia w jej ramieniu. – Prawdziwego, żywego królika!

– Naprawdę? – Tamta odwróciła głowę na bok, tak jakby oczekiwała, że kolejny zwierzak wyskoczy spoza stosu szczątków.

Dziesięć minut później Wells odprowadzał ją ku grupie kolejnych oczekujących na transport do obozu, dzięki czemu Clarke mogła zająć się kolejnymi poważnie rannymi. Widok tyłu cierpiących ludzi był poważnym obciążeniem dla psychiki, ale dzięki temu, że skupiała się na niesieniu pomocy, nie miała czasu myśleć o bólu wszystkich innych.

Ostatnich kilka dni spędziła jakby w zamroczeniu. Na jaw wychodziły kolejne fakty, każdy dziwniejszy od poprzedniego. Wróciła do Bellamy'ego, który jakoś zdołał przebaczyć jej to, co wiele miesięcy temu zrobiła Lilly. Potem udało im się uratować Octavię dzięki pomocy współplemieńców Sashy – to oni uwolnili ją z rąk grupy niebezpiecznych Ziemi.

Clarke czuła zawroty głowy przede wszystkim z powodu odkrycia, że jej rodzice żyją... a do tego przebywają na Ziemi. Myślała najpierw, że śni na jawie, a w pewnej chwili sen się skończy i zastąpi go znów szarpiąca nerwy rozpacz. Okazało się jednak, że rodzice, których opłakiwała przez cały rok, nie zostali zabici podczas egzekucji i wyrzuceni w kosmos. Jakoś dostali się na Ziemię i nawet mieszkali z rodziną Sashy, zanim odeszli samotnie w nieznaną. Teraz musiała tylko wymyślić, jak ich znaleźć, co wydawało się niemożliwe z tysiąca powodów. Nie potrafiła jednak siedzieć bezczynnie. Kiedy tylko pomoże w miarę swoich sił rozbitkom z Kolonii, zacznie planować wyprawę.

– Ten nie oddycha – powiedział Eric żałośnie, gdy młoda lekarka schyliła się nad nim.

Kucnęła i położyła dłoń na szyi mężczyzny. Jego ciało wciąż jeszcze było ciepłe, ale nie wyczuwała nawet najsłabszego pulsu. Zaciśnęła usta, po czym przyłożyła ucho do jego piersi, modląc się, by serce przybysza jeszcze biło... ale nie usłyszała absolutnie nic.

– Nie możemy mu już pomóc – powiedziała, starając się ominąć wzrok Erica.

Nie chciała oglądać jego przerażonej miny ani okazywać mu własnej bezsilności. Spojrzała znów na mężczyznę, po raz pierwszy patrząc na jego twarz jako bliźniego, a nie tylko pacjenta, którego starała się uratować. Z wrażenia wstrzymała oddech, zupełnie jakby niewidzialna dłoń przebiła się przez jej żebra i zaciśnęła palce na sercu. To był jej stary nauczyciel biologii, pan Peters! Ten sam, który udostępnił dziesięcioletniej Clarke zastrzeżone archiwum na komputerze statku, by mogła pooglądać zdjęcia słoń.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Eric.

Przytaknęła, mrugając, by zdławić w zarodku łzy powoli napływające jej do oczu. Czy pan Peters żył dość długo, by zobaczyć wspaniałe, rozgwieżdżone niebo? Czy widział księżyc odbijający się w wodzie jeziora lub czuł zapach drzew unoszący się na wietrze? Czy też zmarł, nie rzuciwszy nawet okiem na planetę, o której marzył przez całe życie, a na którą przyleciał teraz z tak daleka?

– Na razie zostawimy ciała tutaj – powiedziała, odwracając się. – Teraz ważniejsza jest opieka nad rannymi.

Pozostawiła Erica i stąpając ostrożnie, przekroczyła stos pogiętego, rozgrzanego do czerwoności metalu, żeby przedostać się do mężczyzny leżącego na boku. Miał na sobie płaszcz, niegdyś biały, lecz teraz brudny od kurzu, sadzy... i powoli rozszerzającej się plamy krwi. Oczy mężczyzny były zamknięte, a usta – mocno zaciśnięte, jakby starał się powstrzymać jęki cierpienia. Clarke aż sapnęła na widok jego chudego ciała i siwych włosów sięgających do ramion. To był doktor Lahiri, jej były mentor i jeden z najstarszych przyjaciół państwa Griffinów. Ostatnio widziała go, gdy przyszedł do jej celi, a ona oskarżyła go o zdradę rodziców. W odpowiedzi nazwał zdrajczynią ją samą. Zanim pomyślała, przyłożyła mu wówczas w twarz.

Wściekłość, jaka trawiła ją tamtego dnia, teraz wydawała jej się dziwnie odległa. Chociaż jej rodziców z pewnością zdradzono, przynajmniej żyli. A Clarke zdążyła się już dowiedzieć, że o wiele większą odpowiedzialność niż Lahiri ponoszą inni ludzie – tacy jak wicekanclerz Rhodes, człowiek, który wydał Griffinom rozkaz przeprowadzenia potwornych badań z zastosowaniem promieniowania.

Przykucnęła i położyła dłoń w pobliżu jego łokcia.

– Doktorze Lahiri – powiedziała tonem, w którym pobrzmiewała pewnością siebie i otucha (a przynajmniej taką miała nadzieję). – Czy pan mnie słyszy? To ja, Clarke.

Otworzył powoli oczy i patrzył na nią przez dłuższą chwilę, jakby nie potrafił odróżnić rzeczywistości od halucynacji. W końcu odezwał się przez zaciśnięte zęby, tak jakby każdy ruch sprawiał mu nieznośny ból:

– Clarke... Ty żyjesz...

– Tak, pomimo pańskich wysiłków – odparła, uśmiechając się, tak by wiedział, że żartuje. – Zobaczę, co się z panem stało, dobrze?

Skinął słabo głową, a potem zamknął oczy. Dziewczyna delikatnie rozpięła mu płaszcz i zbadała jego brzuch, żebra i klatkę piersiową. Lahiri skrzywił się boleśnie, kiedy dotarła do obojczyka. Clarke ostrożnie podniosła powieki doktora i skontrolowała źrenice, a potem przesunęła dłonią po jego głowie, sprawdzając, czy nie ma tam żadnych ran.

– Sądzę, że to tylko ramię i obojczyk – wycedził przez zęby.

– No i wstrząs – dodała Clarke, próbując utrzymać obojętny ton głosu. – Myślę, że kości są złamane. Mogę je nastawić i zaimprovizować jakiś temblak, ale obawiam się, że nie mamy wiele środków przeciwbólowych. Co z waszymi zapasami?

– Nie wiem, co jest w ładownikach – przyznał doktor Lahiri, a ona poczuła potężne rozczarowanie. – Wszystko działo się tak nagle. Nie mieliśmy czasu się przygotować.

– No to musimy dać sobie radę z tym, co mamy. Pomogę panu usiąść. Gotów?

Uklękła za nim, umieściła jedną dłoń pod jego zdrowym ramieniem, a drugą – za łopatką.

– Na mój znak. Raz... dwa... i trzy! – zakomenderowała.

Doktor krzyknął z bólu, gdy uniosła go do pozycji siedzącej i pomogła oprzeć się o stos szczątków. Jego twarz zaczęła wracać do naturalnego koloru.

– Proszę się nie ruszać, dopóki moi przyjaciele po pana nie przyjdą. – Machnęła ręką, wzywając Wellsa i jego ludzi. – Pomogą panu przejść w bezpieczne miejsce.

– Clarke – wymruczał ochryple Lahiri. Sięgnęła po manierkę z wodą i dała mu się napić. Pociągnął łyczek i kontynuował: – Przepraszam za to, co powiedziałem ostatnim razem. Twoi rodzice byliby z ciebie bardzo dumni. Ja... też jestem z ciebie bardzo dumny.

– Dziękuję – odparła Clarke, zastanawiając się, czy doktor Lahiri rzeczywiście wierzy, że jej rodzice nie żyją, czy też obawia się zdradzić jej prawdę. – Przykro mi, że... straciłam wtedy panowanie nad sobą.

Mimo bólu uśmiechnął się.

– Chciałbym, żeby twoje umiejętności chirurgiczne były tej klasy, co twój lewy sierpowy.

Następnych kilka godzin zlało się w pamięci Clarke w jedną rozmazaną masę. Zauważyła, że świta, tylko dlatego, że przy świetle wschodzącego słońca łatwiej jej było zszywać i opatrywać rany. Gdy wzeszło już wysoko, wszyscy koloniści bez obrażeń zostali przeprowadzeni do obozu, przetransportowano tam również część rannych. Rano nad jezioro przybyło jeszcze kilku młodych zesłańców, szukając swoich rodziców wśród rozbitków. Radosnych powitań było jednak niewiele. Najwyraźniej rodziny stu skazańców nie miały pierwszeństwa wstępu na pokład ładowników i nikogo nie obchodziło, że ich dzieci narażono na ogromne niebezpieczeństwo, posyłając je z misją na Ziemię.

Clarke skończyła zakładać starszej kobiecie usztywniającą szynę na nogę i wstała, by przeciągnąć się, zanim podejdzie do następnego pacjenta. Zauważyła, że strażnicy, którzy kilka minut wcześniej stali w kręgu wokół swojego dowódcy, teraz rozproszyli się, by pomóc rannym dotrzeć do obozu. Miała nadzieję, że skoncentrują się na tej pomocy, a nie na polowaniu na chłopaka, który doprowadził do postrzelenia kanclerza.

Utkwiła wzrok w jednym z funkcjonariuszy, który wyglądał niepokojąco znajomo. Patrzyła na

niego przez chwilę, próbując ustalić, dlaczego na jego widok czuje mdłości. Stał w samym środku powoli poruszającego się tłumu, wskazując im drogę zdrową ręką, a kontuzjowaną przyciskał do piersi.

Clarke szybko się odwróciła, żeby jej nie zauważył. Próbowwała zyskać na czasie pod pretekstem inwentaryzacji bandażu. Myślała przy tym intensywnie, aż wreszcie pamięć podsunęła jej imię strażnika.

Scott.

Scotta często przydzielano do patrolowania centrum medycznego podczas stażu Clarke. Po pewnym czasie zaczęła się obawiać spotkań z tym chłopakiem. Zazwyczaj strażnicy nie zaczepiali lekarzy ani stażystów bez potrzeby, ale Scott stał się ekspertem w zawracaniu głowy. Niewiele starszy od Clarke, roztaczał wokół siebie atmosferę fałszu i nadgorliwości. Kiedy wchodził na salę, wydawał się nie dostrzegać pacjentów. Nawiązywał kontakt wzrokowy tylko z lekarzami lub innymi strażnikami, tak jakby spojrzenie w oczy komukolwiek innemu było poniżej jego godności. Dziewczynę przerażało jego zachowanie, gdy byli w jakimś pomieszczeniu sami, we dwoje – i sposoby, jakich się imał, by doprowadzić do takich sytuacji.

Szła żwawo korytarzem w kierunku centrum medycznego, zmuszając się, żeby nie zacząć biec. Była już spóźniona niemal dwadzieścia minut na obchód z doktorem Lahirim, ale kara za „ryzykowne zachowanie” była surowsza niż za spóźnienie, a delikwent łamiący którekolwiek z praw Kolonii stawał zwykle przed radą. Strażnicy rzadko zatrzymywali kogoś za bieganie, lecz facet patrolujący ostatnio okolice centrum medycznego dał się poznać jako nadużywający władzy tyran.

Clarke skręciła za róg i jęknęła. Miała nadzieję prześlizgnąć się niezauważona, a tymczasem przed punktem kontrolnym zobaczyła Scotta. Stał tyłem, ale rozpoznała jego szerokie ramiona i przetłuszczone blond włosy, które zawsze wyglądały na nieco dłuższe, niż dopuszczał regulamin straży.

Najwyraźniej brał udział w jakiejś awanturze. Dopiero gdy podeszła bliżej, dostrzegła, że trzyma za przeguby jakąś kobietę i wykręca jej ręce. Sądząc po głośnej reprimendzie, jakiej udzielał jej Scott, była sprzątaczką z „Arkadii” i właśnie wyszło na jaw, że zapomniała przepustki. Większość strażników udzieliłaby jej tylko ostrzeżenia, ale nie Scott! Ten facet odgrywał właśnie przed wszystkimi wielką scenę zatraskiwania kajdanek na nadgarstkach zatrzymanej. Biedna kobieta miała tzy w oczach i nie śmiała nawet unieść głowy, kiedy spóźniona stażystka przemyciała obok niej.

Clarke poczuła zarazem oburzenie i niesmak, lecz nie ośmieliła się obejrzeć. Gdyby nawet spróbowała interweniować, nic by nie zyskała. Scott prawdopodobnie postraszyłby kobietę jeszcze poważniejszymi konsekwencjami, tylko po to, by pokazać Clarke, na co go stać.

Po chwili dziewczyna zajęta się pacjentami i zapomniała o nieprzyjemnej sytuacji. Uwielbiała te chwile, gdy jej umysł skupiał się w stu procentach na czyjejś chorobie, nie pozostawiając miejsca na inne zmartwienia. Nie musiała wówczas myśleć o rodzicach, Lilly ani o strasznej tajemnicy, którą ukrywała przed Wellsem.

Tego samego dnia, nieco później, szczęście ją opuściło. Scott bez pukania wkroczył do sali zabiegowej, kiedy oczyszczano rozcięte kolano pięcioletniej dziewczynki.

– Czego chcesz? – rzuciła Clarke, nawet nie próbując ukryć irytacji. Jeżeli chciał paradować po korytarzach, upajając się władzą, jakby był samym kanclerzem, to proszę bardzo, ale gdy wparowywał bez ostrzeżenia do sali, w której właśnie zajmowała się pacjentem...

Scott machnął jej przed nosem posiniaczonym, spuchniętym paluchem i złośliwie się uśmiechnął.

– Nie uwierzysz! Ta suka ośmieliła się mnie ugryźć, kiedy ją skuwałem!

– W tej chwili przestań się tak wyrażać! – syknęła Clarke, rzucając znaczące spojrzenie w kierunku dziewczynki na stole zabiegowym, patrzącej na Scotta wielkimi oczami.

– Jestem pewien, że słyszała gorsze bluzgi. Wygląda jak waldenitka. – Roześmiał się nieprzyjemnie.

Clarke zmrużyła oczy.

– A ty przypadkiem też nie jesteś z „Waldena”? – spytała, starając się jak najwierniej naśladować ton wyższości, który tak często słyszała w głosie Glass i jej nadętych koleżanek.

Zignorował przytyk i przysunął się bliżej.

– Muszę skorzystać z pani profesjonalnych usług medycznych – powiedział, a jego głos zabrzmiał zarazem kpiąco i groźnie.

– Proszę zaczekać na zewnątrz. Zajmę się panem, kiedy skończę opatrywać małą Cressidę.

– No cóż, mała Cressida – przechylił głowę w kierunku dziewczynki – z pewnością zrozumie, że jeden z członków naszej dzielnej straży odniósł dziś rano bolesną ranę podczas likwidacji zagrożenia w postaci osoby występującej przeciwko Kodeksowi Gai. A także to, że bardzo mu się spieszy, by wrócić do pracy, która polega na ochronie tego statku.

Clarke zwalczyła pokusę i zdołała opanować grymas niesmaku. Z obojętną miną spryskała kolano Cressidy substancją regenerującą skórę, delikatnie owinęła je bandażem i poklepała dziewczynkę po nodze.

– Gotowe. Postaraj się go nie zabrudzić i nie zamoczyć do jutra, dobrze?

Mała skinęła głową, zeskoczyła ze stołu i czym prędzej pobiegła do mamy czekającej za drzwiami.

Clarke odwróciła się do Scotta i wyciągnęła rękę. Położył dłoń na jej dłoni i skrzywił się, kiedy spróbowała rozprostować spuchnięty paluch.

– Tym powinien się zająć prawdziwy lekarz – powiedziała, puszczając jego palce i cofając się o krok.

Podniósł brwi i postać jej cierpki uśmieszek.

– Kto? Ten staruch, za którym łazisz przez cały dzień? Nie, dziękuję.

– Doktor Lahiri jest najbardziej szanowanym lekarzem na statku – stwierdziła.

– Ach, tak? Ale wolałbym, żeby ktoś inny zbadał to, co mnie boli gdzie indziej.

– O czym ty gadasz?

– Ta arkadyjska śmieciara mnie kopnęła. Powaliłem ją, a ona zdołała wsadzić mi kolano w... we wrażliwe miejsce, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Masz tam siniaka? – westchnęła Clarke.

– Nie miałem czasu zajrzeć – rzucił złośliwie. – To co, zechcesz się tym zająć?

Sięgnął do sprzączki paska i ruszył ku dziewczynie.

– Powinnam zadzwonić po pielęgniarkę – powiedziała Clarke, sięgając do interkomu.

– Sekundkę, zaczekaj! – rzucił Scott, złapał ramię Clarke zdrową ręką i odciągnął je. – Nie potrzebuję pielęgniarki. Chcę, żebyś ty to zrobiła... L e k a r e c z k o!

Zanim zdołał wypowiedzieć następne słowo, drzwi za nim otworzyły się z hukiem i do środka wmaszerował Wells, w oficerskim mundurze wyglądający na wyższego niż zwykle. Scott wyprężył się i stanął na baczność ze wzrokiem utkwionym w ścianie. Clarke zza jego ramienia uśmiechnęła się szeroko do Wellsa.

– Spocznij. Nie przeszkadzacie przypadkiem tej stażystce w pracy? – zapytał Wells surowo, ale w jego wzroku czaiła się wesołość.

– Nie, sir! – zaprzeczył sztywno Scott.

– Miło mi to słyszeć, strażniku. Kontynuujcie obchód.

– Tak jest, sir!

Clarke powstrzymywała uśmiech, dopóki za Scottem nie zamknęły się drzwi, a potem podeszła do Wellsa i uściskała go z całych sił. Uniósł jej głowę i pocałował delikatnie.

– Dziękuję panu, oficerze Jaha.

– Nie ma za co, stażystko Griffin.

Clarke była wyczerpana. Ostatni posiłek zjadła poprzedniego wieczoru, a cała żywność, jaką zabrali na miejsce lądowania, została rozdana rozbitkom. Członkowie ekipy ratunkowej zmieniali się, prowadząc kolejne grupy do obozu, aż zostało tylko kilku rannych potrzebujących opieki. Odwlekała to tak długo, jak tylko się dało, ale w końcu nie miała wyjścia i musiała zająć się również Scottem. Siedział na zwalonym pniu, patrząc na nią.

– Myślałem, że nigdy do mnie nie dotrzesz – poskarżył się z ustami ściągniętymi w grymas, który przy dużej dozie dobrej woli mógł przypominać uśmiech.

– Przykro mi, że musiałeś czekać – stwierdziła Clarke, mając nadzieję, że może jej nie rozpozna. W końcu spędziła w Odosobnieniu tyle miesięcy, a potem jeszcze kilka tygodni na Ziemi...

– Nie ma sprawy, lekareczko. I tak się naczekałem, zanim przylecieliśmy na Ziemię, żebyś mogła mi w końcu pokazać, jaka jesteś dobra w bandażowaniu tego i owego. Przecież ostatnim razem ktoś nam przerwał?

Clarke przełknęła ślinę. Scott doskonale ją pamiętał, a jego maniery nic a nic się nie poprawiły od ich poprzedniego spotkania.

– Zobaczmy, co tu się stało...

Gestem wskazała, by pokazał jej nadgarstek. Wyciągnął ku niej rękę, a ona ujęła ją w palce, czując pod nimi lepką skórę, a głęboko w trzewiach – obrzydzenie. Odwróciła jego dłoń i poruszała nią delikatnie w górę, w dół, na boki.

– Aha, więc w końcu zostałam prawdziwym lekarzem? – zapytał Scott. – Czyli pewnie nie odrzuca cię już od pacjentów w trakcie badania?

– Nie całkiem – odparła Clarke, nie patrząc na niego. – Nie dokończyłam szkolenia, ale nie mamy do dyspozycji nikogo lepszego.

Poruszył palcami, dotykając jej dłoni.

– Dobra, lekarz czy nie lekarz, lepiej się postaraj, bo tej ręki używam do strzelania.

Dziewczyna wyciągnęła bandaż z podręcznej apteczki i zaczęła owijać go wokół jego nadgarstka i dłoni.

– Kości są całe – powiedziała swobodnie, mając nadzieję jak najszybciej zakończyć rozmowę – ale musisz przez parę dni oszczędzać tę rękę, żeby zeszła z niej opuchlizna. – Wzięła głęboki wdech i spojrzała mu prosto w oczy. – Na razie nie powinno być z tym problemu, bo tutaj poluje się za pomocą włóczni i strzał, a nie broni palnej.

Scott odwzajemnił jej spojrzenie z błyskiem w oku. Clarke poczuła na ramionach gęsią skórę.

– Nie miałem na myśli strzelania do zwierząt – oznajmił chłodno.

Zanim zdążyła go zapytać, o co mu w takim razie chodziło, przechylił głowę i zapytał badawczo, z miną, która za każdym razem sprawiała, że dziewczyna miała ochotę wziąć prysznic i splukać z siebie to spojrzenie:

– A dlaczego nie ukończyłaś szkolenia?

– Nie zdążyłam, bo mnie Odosobniono – odparła beznamiętnie, unikając jego wzroku.

– Odosobniono?! Ciebie?! – Zastanowił się przez chwilę, po czym szyderczo się uśmiechnął. – Mała Panna Porządnicka... Odosobniona. Ale wiesz co? Nie mam nic przeciwko temu, żeby leczyła mnie skazana. Przez cały czas czułem, że pod tymi doktorskimi ciuszkami kryje się niegrzeczna dziewczynka – ściszył głos, bo obok nich przechodziła właśnie kobieta w oficerskim mundurze, wydając rozkazy mężczyźnie, którego Clarke chyba znała z widzenia. – Mam nadzieję, że te ciuszki przyleciały z tobą na Ziemię. Zawsze podobało mi się, jak wyglądał w nich twój...

– To wszystko, jeżeli chodzi o profesjonalną poradę medyczną – przerwała mu z przesadną serdecznością, poprawiła jeszcze raz bandaż i poklepała go po rękę, ignorując grymas bólu na jego twarzy. – Widzimy się na zdjęciu opatrunku.

Odwróciła wzrok i pośpiesznie odeszła. Po chwili otrząsnęła się, jak gdyby chciała zrzucić z siebie jego ciężkie, obleśne spojrzenie.

ROZDZIAŁ 4

Wells

Wells ze skrzywioną miną brnął z trudem pod górkę. Pokonywał drogę znad jeziora już po raz ósmy. Przeszedł ponad trzydzieści kilometrów w obie strony, prowadząc rozbitków do obozu i wracając po kolejną grupę.

Na polanie przebywało teraz więcej dorosłych niż nastolatków i dzieci, a widok ten wydawał mu się niemal tak dziwaczny, jak dwugłowy jeleń upolowany przez Bellamy'ego podczas pierwszego tygodnia ich pobytu na Ziemi. Zwracali na siebie uwagę tym bardziej, że potrafili tylko gapić się osłupiałym wzrokiem na swoje otoczenie, podczas gdy wokół nich uwijały się żwawo nastolatki, które zaledwie kilka tygodni temu gniły w Odosobnieniu.

Wells zauważył, że szczęśliwe spotkania rodziców i dzieci należały do rzadkości. Był świadkiem zaledwie dwóch sytuacji, gdy zesłańcy odnaleźli bliskich wśród nowo przybyłych – i w obu przypadkach chodziło o kolonistów z „Feniksa”. Na pokładach lądowników nie znalazły się rodziny waldenitów ani arkadyjczyków.

– Nie wierzę, że mi się udało – wydyszała młoda kobieta, z wdzięcznością przyjmując pomoc Wellsa przy stromym podejściu.

– Rzeczywiście, to było dość twarde lądowanie – przyznał, zwalniając tak, by łatwiej jej było dotrzymać mu kroku. Chociaż sam przybył zaledwie kilka tygodni wcześniej, zapomniał już, jak niepewnie się wtedy czuł.

– Nie chodzi o lądowanie – powiedziała, zatrzymując się i patrząc na niego. – Miałam na myśli to, co działo się na „Feniksie”. To było... przerażające. – Uniosła wzrok ku niebu, a potem westchnęła i pokręciła głową. – Nie zostało im zbyt wiele czasu...

Jej słowa trafiły Wellsa jak niewidzialna pięść, jednak zanim zdążył zapytać, co chciała przez to powiedzieć, z zarośli wyłonił się Eric, przejął kobietę i poprowadził ją przez las do obozu. Wells zawrócił ku brzegowi jeziora.

Poczucie winy paliło go jak gorący węgiel. Nie musiał znać szczegółów, by pojąć, że prawdopodobnie jest odpowiedzialny za ponury los ludzi pozostałych w Kolonii. Może na Ziemi zasłużył na pozycję lidera, lecz gdyby wiedziano, co zrobił na statku, uznano by go za mordercę bez skrupułów. Pamięć podsuwała mu wspomnienie chłodnego metalu pod palcami, gdy otwierał luk służby, tylko odrobinę, tak by cenny tlen zaczął sączyć się ze statku w próżnię. A przecież próbował tylko przyspieszyć katastrofę Kolonii, żeby Clarke zesłano na Ziemię, zanim skończy osiemnaście lat i zostanie stracona. Teraz wiedział jednak, że tym samym skazał na śmierć tysiące niewinnych ludzi, wciąż uwięzionych w Kolonii.

Zbliżając się znów do jeziora, zmarszczył nos, gdy poczuł znajomy zapach. Pośród kwaśnej woni

dymu oraz metalicznych nut krwi i potu w powietrzu było coś jeszcze. Rozpoznanie tego zapachu zajęło mu dłuższą chwilę, ale kiedy dotarło do niego, co to jest, serce zaczęło mu walić jak oszalałe: to było paliwo. Sączyło się z rozbitych lądowników na trawę, ziemię i do jeziora. Większość płonących miejsc już dogasała, wystarczyła jednak iskra, żeby zamienić to miejsce w ogniste piekło.

I wtedy jak w koszmarnym śnie spełniły się jego najgorsze obawy. Zobaczył, jak sto metrów dalej ze szczytu jednego z potrzaskanych statków strzela wzwyż olbrzymi płomień, wyrzucając wysoko rój ognistych szczątków.

– Uwaga! – ryknął Wells, ruszając biegiem. – Uciekać mi stąd, ale migiem!

Na szczęście punkt oceny stanu zdrowia rannych znajdował się nieco dalej, ale w powietrzu unosiło się zbyt wiele dymu, by ktokolwiek mógł potwierdzić, że wszystkim udało się bezpiecznie ewakuować. Wells podbiegł, kaszląc, przecierając oczy rękawem i wzywając tych, którzy mogliby potrzebować jego pomocy.

Rozległo się niskie buczenie, jakby coś nadlatywało. Podniósł wzrok, lecz zobaczył tylko ciemnoszare kłęby dymu. Dźwięk narastał, jego źródło było coraz bliżej i zanim Wells zdążył zareagować, poczuł, że leci w powietrzu i ląduje na ziemi z głuchym łomotem. Spróbował się przekręcić na brzuch, żeby wstać, ale coś – lub ktoś – przyciskało go do ziemi. Po chwili ciężar się poruszył. Wells zerknął w górę, jęcząc. Zaledwie o kilka metrów od jego głowy wylądował ogromny, rozżarzony fragment kadłuba. Gdyby siła wybuchu nie rzuciła chłopaka na ziemię, szczątki statku zmiażdżyłyby mu głowę.

Przekręcił się na bok i zobaczył, że stoi nad nim szczupła postać – dziewczyna w standardowym T-shircie Kolonii i szarych spodniach. Chwyciła go za rękę i pomogła wstać.

– Dziękuję – wybełkotał.

Mrugał gwałtownie, próbując w ten sposób odzyskać ostrość widzenia. Kiedy już znów widział świat wyraźnie, zobaczył, kto mu pomógł, a wtedy poczuł, jak ogarnia go niewysłowiona radość.

To była Glass.

Rozpoznali się w tej samej chwili i uśmiechnęli równie szeroko. Wells natychmiast objął przyjaciółkę i uściskał mocno. Przez umysł przeleciały mu miliony obrazów – strumień wspomnień ze szczęśliwych lat dzieciństwa. Tak skoncentrował się na planie ratowania Clarke przez wysłanie jej na Ziemię, że nie miał czasu pomyśleć, co działo się z Glass, gdy uciekła z lądownika tuż przed startem pierwszej setki. Znajoma woń jej włosów – ta swoista mieszanka zapachu Glass i syntetycznego aromatu szamponu z Kolonii – napełniła go spokojem. Przez krótki moment chłopak czuł, jakby przeniesiono go w czasie w bezpieczną przeszłość.

W dzieciństwie tylko Glass potrafiła zapomnieć, że Wells jest synem kanclerza. Tylko w jej towarzystwie nie czuł się jak wystawiony na pokaz. Przy niej mógł zachowywać się niedojrzale, swobodnie się bawić, a czasem nawet robić jej kawały, jak wtedy, gdy zabrał ją do archiwów, obiecując wspólne oglądanie nudnego nagrania wesela w rodzinie królewskiej, chociaż od początku planował obejrzeć film, na którym żarłacz biały atakował orkę. Glass również nie obawiała się odsłaniać przy nim swojej prawdziwej twarzy. Reszta Kolonii знаła ją jako perfekcyjną dziewczynę z „Feniksa” o nienagannych manierach. Wells wiedział jednak, że lubiła czasem powyglądać się w tańcu i wybuchała śmiechem za każdym razem, kiedy ktoś wymienił przy niej nazwę gwiazdozbioru Sekstant.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – powiedział, odsuwając się od niej na długość ramienia i patrząc jej w twarz. – Dobrze się czujesz? Tak się o ciebie martwiłem!

– Chyba żartujesz? Pomyśl sobie, jak ja się o ciebie martwiłam – odparła. – Nikt nie wiedział, czy udało wam się przeżyć. Jak się masz? I jak tutaj jest?

Kiedy zaczął się zastanawiać, o ilu rzeczach musi jej opowiedzieć, zakręciło mu się w głowie. Tak wiele się wydarzyło, odkąd się ostatni raz widzieli. Podpalił celowo Drzewo Edenu, żeby go aresztowano i Odosobniono, stanął przed ojcem, jako jeden z setki zesłańców poleciał na Ziemię tym samym lądowikiem, z którego uciekła Glass, i spędził ostatnich kilka tygodni, walcząc tu o życie. Zaczął mówić:

– Najdziwniejsze z tego wszystkiego było to, że...

Podczas gdy ona w tej samej chwili zapytała:

– A jak to właściwie jest z...

Po czym oboje naraz powiedzieli:

– Ty mów najpierw – i wybuchnęli śmiechem.

Wells puścił dziewczynę, a ich uśmiechy powoli zniknęły, gdy zapach dymu i rozpalonego metalu przypomniawszy im, gdzie i dlaczego się znajdują. Chłopakowi uwięzło w gardle pytanie, które tak bardzo chciał zadać, lecz z poważnego wyrazu twarzy Glass wywnioskował, że dziewczyna doskonale wie, co ma na myśli. Przełknął z wysiłkiem ślinę i zdobył się na odwagę.

– Czy wiesz, co się stało z moim ojcem?

Glass zacisnęła usta, a w jej oczach rozbłysło współczucie. Dobrze znał ten wyraz twarzy. Widział go tyle razy w ciągu strasznych tygodni po śmierci matki. Zebrał się w sobie, gotów wysłuchać tego, co dziewczyna ma mu do powiedzenia, wdzięczny za to, że jeśli są to złe wieści, usłyszy je z jej ust.

– Nie podawali do publicznej wiadomości zbyt wiele – zaczęła cichym, opanowanym głosem. Wells wstrzymał oddech. – Ale z tego, co ostatnio słyszałam, wciąż był w śpiączce... – przerwała na chwilę, pozwalając, by ta informacja dotarła do niego.

Wells skinął głową, wyobrażając sobie, jak ojciec leży samotnie w centrum medycznym, a jego postawna sylwetka wygląda pod cienkim prześcieradłem dziwnie krucho. Słowa Glass ścisnęły go za serce, lecz nie dał tego po sobie poznać, tylko przejmująco westchnął i powiedział:

– Okej. Dziękuję za wieści.

– Wells...

Podeszła do niego o krok i znów objęła go ramionami, tym razem w geście pocieszenia. Znała go dość dobrze, by wiedzieć, jakie myśli ukrywa pod maską obojętności. Byli przyjaciółmi, więc wcale mu to nie przeszkadzało.

Po dłuższej chwili oderwali się od siebie. Było jeszcze coś, co musiał opowiedzieć dziewczynie, zanim udadzą się do obozu.

– Glass – zaczął niepewnie – sprawy na Ziemi mają się nieco... inaczej, niż się spodziewaliśmy.

– O co chodzi? – zapytała zaciekawiona i przejęta.

Starał się ostrożnie dobrać słowa, ale tej wstrząsającej informacji nie dało się w żaden sposób przekazać delikatnie.

– Nie jesteśmy sami. To znaczy tu, na Ziemi.

Powiedział to tak cicho, by nikt poza nimi tego nie usłyszał, po czym zaczekał, aż dotrze do niej prawdziwe znaczenie tych słów. W pierwszej chwili uśmiechnęła się, myśląc, że żartuje, nawiązując do obecności wokół nich setek innych kolonistów. Potem jednak pojęła, co Wells ma na myśli, i mina jej zrzędała.

– Wells, czy próbujesz mi powiedzieć... – Tu przerwała.

– Tak. Na Ziemi mieszkają inni ludzie. Ludzie, którzy się tu urodzili.

Glass popatrzyła na niego wielkimi, okrągłymi oczami.

– Co???! – Rozejrzała się wokoło, jakby spodziewała się, że tłumy Ziemian obserwują ją spomiędzy drzew. – Mówisz poważnie? Przecież to niemożliwe!

– Mówię poważnie, na sto procent. Oni są w porządku, bardzo uprzejmi i pokojowo nastawieni... No, przynajmniej większość. Jest też mała grupa, która odeszła od reszty jakiś rok temu, i ci są niebezpieczni, ale pozostali są tacy jak my. – Wells pomyślał o Sashy i nie potrafił powściągnąć uśmiechu. – Są właściwie bardzo interesujący. Ziemianie to dobrzy ludzie, może nawet lepsi od nas. Sądzę, że możemy się od nich wiele nauczyć. Muszę tylko wymyślić, jak powiedzieć o tym innym tak, żeby nikt się nie przestraszył.

Glass gapiła się na niego, ale w jej wzroku nie było już zmieszania.

– We-ells? – powiedziała przeciągle, a w kąciку jej ust czaił się uśmiech. – Czy ty czasami czegoś nie przemilczałeś?

Spojrzał na nią z ukosa.

– Tak, oczywiście, że jest mnóstwo rzeczy, o których ci jeszcze nie powiedziałem. Przeżyliśmy straszny atak, no i jeszcze pożar, a potem ludzie zaczęli chorować i nigdy nie zgadniesz, co się stało, kiedy...

Przerwała mu:

– Nie. Chodzi mi o to, czy nie przemilczałeś czegoś na temat tych Ziemian. A może... jednej, szczególnej osoby spośród nich?

– Co? Ależ nie!

Zwykle ukrywanie prawdziwych myśli przychodziło Wellsowi bez trudu, ale ton głosu Glass sprawił, że jego twarz oblał rumieniec.

– O rany... – wyszeptała. – A więc to dziewczyna. Ziemska dziewczyna! – W jej głosie mieszały się szok i zachwyt.

– Jesteś szalona. Nie ma żadnej ziemskiej... – przerwał z uśmiechem i pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jakim cudem się tego domyśliłaś?

Glass ścisnęła jego ramię.

– Wellsie Jaha, przede mną nic nie ukryjesz. Wiedziałam, że coś jest na rzeczy, kiedy zacząłeś mówić, o tych bardzo interesujących Ziemianach. Miałeś ten sam wyraz twarzy co kiedyś, gdy wspominałeś Clarke. – Glass zmarszczyła brwi, jej twarz spoważniała. – Czy to znaczy, że ze sobą zerwaliście? Co się stało?

– To dłuższa historia, ale już wszystko w porządku. – Wells westchnął i uśmiechnął się, wspominając poprzedni wieczór, gdy leżał z głową na kolanach Ziemianki i razem patrzyli w gwiazdy. – Nawet lepiej niż w porządku. Nie mogę się doczekać, żeby ci przedstawić Sashę.

– A więc Sasha – powtórzyła Glass, lekko rozczarowana, że dziewczyna Wellsa nie nosi bardziej egzotycznego imienia. – Gdzie ona jest?

Zanim Wells zdążył jej odpowiedzieć, nadszedł wysoki chłopak w strażniczym mundurze, trzymając w dłoni niewielką manierkę. Druga ręka spoczywała na temblaku. Twarz Glass rozjaśniła się na jego widok, a on podał jej naczynie i zaczął, aż się napije.

– Dzięki – powiedziała, uśmiechając się do niego, a potem jeszcze raz odwróciła się ku Wellsowi. – Wells, to jest Luke.

Młody Jaha wyciągnął rękę i potrzęsnał mocno zdrową dłoń strażnika.

– Cześć, jestem Wells. Miło cię poznać.

– Wiem. Poznają oczywiście, kim jesteś, poza tym Glass opowiadała mi o tobie. Naprawdę dobrze cię spotkać, chłopie – powiedział Luke z zadowoleniem, a uwolniwszy dłoń z uścisku Wellsa, poklepał go po ramieniu.

Glass wzięła Luke’a pod rękę i z promiennym uśmiechem popatrzyła najpierw na jednego z nich, potem na drugiego.

Wells również się uśmiechnął. Nie miał pojęcia, jak doszło do tego, że Glass związała się ze strażnikiem, do tego takim, który nie pochodził z „Feniksa”, ale tu, na Ziemi, takie rzeczy nie miały najmniejszego znaczenia. Poza tym od pierwszej chwili spodobała mu się szczerota i solidny wygląd Luke’a. Młody strażnik wydawał się inny niż wszyscy oślizgli chłopcy z „Feniksa”, z którymi Glass kiedyś się spotykała. Najwidoczniej była zakochana. Wells nie potrzebował wiedzieć nic więcej.

– Witajcie na Ziemi – rzekł promiennie, wskazując gestem niebo, drzewa i wodę wokół nich.

W tym momencie zauważył jednak krew na koszulce Glass. Gwałtownie nabrał powietrza. Czy dziewczyna zraniła się, ale pod wpływem szoku nie zdawała sobie z tego sprawy? Wskazał na krwawą plamę.

– Glass, na pewno wszystko w porządku?

Spojrzała po sobie i zbladła.

– Tak, czuję się dobrze – odparła nienaturalnie spokojnym tonem. – To... nie jest moja krew.

Luke objął ją i mocno przytulił.

Wells poczuł, jak coś się w nim zapada. Przygotował się wewnątrz na przyjęcie strasznych wieści, które instynktownie wyczuwał, tak jakby ukryte cierpienie Glass promieniowało z ciemnego zakątka umysłu.

Wzięła głęboki wdech. Spróbowała coś powiedzieć, jednak zanim jej się to udało, wybuchnęła płaczem. Szybko ukryła twarz w koszuli Luke’a, a strażnik wyszeptał jej do ucha coś, czego Wells nie dosłyszał, i pogładził ją po głowie.

Wells patrzył ze zgrozą na trzęsącą się od płaczu przyjaciółkę. Jakiś głos w jego głowie nakazywał mu ją objąć i utulić, ale najwyraźniej tę rolę grał teraz ktoś inny. Stał więc, czekając, aż Luke odwrócił ku niemu wzrok.

– To krew jej matki – wyjaśnił spokojnie młody strażnik. – Sonja nie żyje.

ROZDZIAŁ 5

Glass

Glass nigdy w życiu nie czuła się bardziej obco. Nawet wtedy, gdy jako mieszkanka „Feniksa” odwiedzała Luke’a na „Waldenie”. Nawet wówczas, gdy wytykano ją palcami jako córkę człowieka, który porzucił swoją rodzinę. Nawet ostatnio, kiedy pojawiła się w Kolonii jako pierwszy ułaskawiony skazaniec od wielu lat. Stała przy kręgu ogniskowym, trzęsąc się, chociaż słońce stało wysoko na niebie, i patrzyła, jak mieszkańcy obozu gorączkowo uwijają się naokoło niej. Gdzie tylko spojrzeła, nastolatki w jej wieku lub młodsze zajmowały się jakimiś ważnymi sprawami.

Ludzie wbiegali do chaty szpitalnej i wybiegali z niej, przynosząc wodę pacjentom Clarke i wynosząc pokrwawione bandaże, które następnie palono lub zakopywano daleko od obozu. Gromada zesłańców wyszła z lasu, niosąc siekierki i własnoręcznie narąbane drewno na ognisko. Inni mieszkańcy obozu kładli właśnie fundamenty pod nową chatę. Kilka godzin wcześniej grupa ochotników wyruszyła nad jezioro, by wykopać mogiły dla pasażerów, którzy nie przeżyli lądowania. Ciał było zbyt wiele, by zmieściły się na cmentarzu z drugiej strony polany, a poza tym przenoszenie ich do obozu nie miało większego sensu.

Chociaż nowi przybysze opuścili Kolonię bez przygotowania, na pokładach lądowników znajdowało się sporo podstawowych zapasów, które wydawały się zesłańcom z pierwszej setki przesyłką z raj. Jedna z dziewcząt, którym Wells nakazał inwentaryzację tych zasobów, wyglądała, jakby miała ochotę się rozplakać, gładząc dłonią nowy młotek. Traktowała go z taką samą czcią, jaką inne kobiety okazywały na bazarze pięknym egzemplarzom biżuterii.

Glass rozpaczliwie starała się być użyteczna, ale czuła się kompletnie rozbita. Bała się nawet zapytać, gdzie znajduje się toaleta – a co gorsza, jak się jej używa. Luke został na nowo powołany w szeregi straży i chociaż bardzo niechętnie pozostawiał Glass samą, oboje wiedzieli, że nie powinien wykręcać się od obowiązku, zwłaszcza w takiej chwili.

Grupa dziewcząt w wieku Glass szła w kierunku ogniska, rozprawiając o czymś z ożywieniem. Kiedy ją mijaly, umilkły, spoglądając na nią z rezerwą.

– Cześć – rzuciła z uśmiechem, starając się zrobić dobre pierwsze wrażenie. – Czy mogę wam jakoś pomóc?

Wysoka brunetka w starannie skróconych spodniach, odsłaniających długie, pięknie opalone nogi, zmrużyła oczy i przyjrzała się jej.

– Czy to nie ty byłaś z nami w lądowniku? – zapytała.

– Tak. Zabrano mnie tam prosto z celi, tak jak wszystkich, ale wyslizgnęłam się w ostatniej chwili.

Glass po raz pierwszy przyznała się bez pytania, że została Odosobniona. „Wyslizgnąć się” nie było może najbardziej odpowiednim określeniem morderczego biegu i dalszej rozpaczliwej ucieczki

na „Waldena”, do Luke’a, ale wyczuła instynktownie, że to nie jest najlepszy moment, by zdradzać szczegóły tych dramatycznych wydarzeń.

– Tak, wyslizgnęłaś się, dobra, dobra – rzuciła dziewczyna z arkadyjskim akcentem, wymieniając znaczące spojrzenia z przyjaciółkami. – Fajnie mieć znajomości wśród ludzi na wysokich stanowiskach, którzy potrafią ci pomóc w biedzie.

Glass zacisnęła usta, żałując, że nie potrafi znaleźć odpowiednich słów, by wyjaśnić, przez co przeszła i że nie spędziła ostatnich kilku tygodni na „Feniksie”, żyjąc jak pączek w maśle. Niemal udusiła się na „Waldenie”, potem z ledwością dostała się na ostatni lądownik, a wreszcie była świadkiem śmierci własnej matki. To wspomnienie wciąż sprawiało, że przez jej serce przepływały fale przeszywającego bólu na zmianę z obezwładniającym odrętwieniem.

– Powinnaś trzymać się swoich – poradziła jej nieco uprzejmiej jedna z pozostałych dziewcząt. Wskazała przy tym na grupę innych kolonistów, którzy zgromadzili się po przeciwnej stronie ogniska, rozglądając się ze zdumieniem po nowym otoczeniu.

Glass podziękowała za radę skinieniem głowy. Patrzyła, jak dziewczyny odchodzą, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że wśród nowo przybyłych także nie będzie mile widziana. Większość z nich widziała, jak wchodzi na pokład lądownika z wicekanclerzem Rhodesem i siada na miejscu, które mógł zająć ktoś z grona ich krewnych lub przyjaciół. Gdyby tylko była tu Sonja! Matka Glass miała wyjątkowy dar odnajdowania się w każdej sytuacji. Potrafiła też sprawić, żeby wszyscy wokół niej czuli się równie swobodnie. Podobnie jak Glass, nie umiałyby rozpaść ogniska ani narębać drewna, ale jej ciepły uśmiech i melodyjny głos potrafiłyby zjednać jej sympatię niejednej osoby.

Glass objęła się ramionami i popatrzyła na oszalałymi wysokie drzewa. Ich czubki kołysały się na wietrze i wyglądały tak, jakby odwzajemniały jej spojrzenie. Czuła się przy nich jak dziecko zagubione w tłumie obojętnych dorosłych.

Zobaczyła, jak Wells wychodzi z chaty szpitalnej. Nawet stąd było widać, że jest ponury. Przeczesał włosy palcami i rozmasował sobie skronie. Mimo powagi sytuacji Glass nie potrafiła powstrzymać uśmiechu na widok znanego gestu. Tak samo robił ojciec Wellsa, kanclerz Jaha, niemal każdego wieczoru, który spędzała w ich mieszkaniu, ucząc się z przyjacielem. Na myśl o kanclerzu poczuła żal. Pozostawiono go na umierającym statku i nigdy już nie zobaczy, czego dokonał jego syn tutaj, na Ziemi.

Glass zawsze była pewna, że Wells jest urodzonym przywódcą, aż puchła z dumy, gdy widziała, jak wiele zaufania wszyscy w nim pokładają. Czuła jednak również nieco żalu. To było samolubne uczucie, lecz tęskniła za czasami, kiedy Wells mógł poświęcić jej tyle czasu, ile chciał.

– Popatrz na to! – zawołała przez ramię do Wellsa, który został za nią na torze grawitacyjnym.

Upewniła się, że wuefista nie patrzy, a potem podbiegła do panelu kontrolnego i przestawiła dźwignię parę kresek w górę. Natychmiast poczuła się lżejsza. Chichocząc, odepchnęła się od podłogi i zawisła na chwilę w powietrzu, a potem powoli opadła z powrotem. Zgięła kolana i podskoczyła, tym razem energiczniej. Rozłożyła ramiona na boki i zaczęła nimi machać na zmianę.

– Patrz! Pływam! – Ścisnęła nos palcami, nadepta policzki, a w końcu wybuchnęła śmiechem. – Dzieciaki na Ziemi chodziły tak do szkoły, kiedy padało.

Uśmiechnięty Wells odbił się i poleciał ku niej.

– A co powiesz na to? – zapytał, podnosząc lewe ramię wzwyż i wypychając prawą nogę do tyłu, a potem przebijając nogami i rękami w powietrzu. – Jeżdżę na nartach!

Glass, naśladowując akcent starożytnych Ziemian, melodyjnie zawołała:

– Sunę sobie na nartach do warzywniaka, żeby nazrywać świeżych jarzynek z drzewa, a potem wybieram się autem na piknik na plaży...

– Z moim oswojonym misiem Fido i szóstką dzieci! – dodał Wells.

Opadli na tor, śmiejąc się tak głośno, że instruktor wuefu wybiegł ze swojego pokoju i zaczął ich łącać:

– Co wy wyprawiacie? Przecież wiecie, że nie wolno dotykać ustawień ciężarzenia!

Zbliżył się do nich z poważną miną, ale to sprawiło tylko, że zaczęli pękać ze śmiechu. Wyglądało to nader zabawnie, gdy przy każdym kroku podskakiwał wysoko. Kiedy znalazł się już blisko i zdał sobie sprawę z tego, że mówi do syna kanclerza, stłumił gniew i sztywno się uśmiechnął, tak jak większość dorosłych, gdy orientowali się, z kim mają do czynienia.

– Młoda damo, panie Jaha. – Rozejrzał się na boki, czy w pobliżu nie ma żadnego strażnika. – Tym razem nie zamelduję o waszym wybryku, ale nie nadużywajcie mojej cierpliwości. Tor grawitacyjny to nie plac zabaw, zrozumiano?

Przytaknęli i patrzyli, jak odwraca się z całą godnością, na jaką stać człowieka unoszącego się nad pokładem przy zmniejszonej grawitacji.

Zacisnęły mocno usta, oddychając spazmatycznie. Zaczekali, aż wuefista oddali się dość daleko i dopiero wtedy zaczęli się śmiać, aż rozbolały ich brzuchy, a po twarzach pociekły im łzy.

Glass zawędrowała na skraj polany i usiadła na pniu: jeżeli nie może nikomu pomóc, to przynajmniej nie będzie przeszkadzać. Jedynym pocieszeniem było dla niej to, że Luke'a szybko przyjęto do przybocznej straży wicekanclerza, chociaż właśnie przez to musiała teraz siedzieć sama. Młody strażnik uczestniczył od dłuższego czasu w zebraniu, na którym omawiano rozstawienie wart wokół obozu.

Po raz kolejny dostrzegła Wellsa na odległym końcu polany, tym razem idącego dokądś z dziewczyną. To musiała być Sasha. Chłopak objął ją i pocałował w czubek głowy. Widok Wellsa, który tak otwarcie okazuje komuś uczucia, był zaskakujący, ale jeszcze dziwniejsze było to, że okazuje je dziewczynie pochodzącej z Ziemi. Było tyle pytań, które Glass chciała teraz zadać przyjacielowi: czy Sasha mówi po angielsku? Gdzie mieszka? Co je? No i najważniejsze: skąd bierze ubrania?!? Glass z zazdrością popatrzyła na obcisłe czarne legginsy uszyte chyba ze skóry jakiegoś zwierzęcia i powiodła dłońmi wzdłuż nogawek własnych spodni, poszarpanych i brudnych.

Czuła się również zdezorientowana, widząc, jak Wells całuje nie Clarke, lecz inną dziewczynę. Kiedy ostatnio się z nim widziała, był zakochany w pannie Griffin po uszy i w kółko o niej gadał. Jednak przez ostatnie tygodnie Glass nauczyła się, że najlepsi znajomi potrafią człowieka nieźle zadziwić. Sama była dla siebie największym zaskoczeniem.

Uśmiechnęła się pod nosem, a potem się zarumieniła i rozejrzała dookoła, czy przypadkiem ktoś tego nie zauważył. Musi pamiętać, żeby opowiedzieć Wellsowi o tym, jak wyszła na zewnątrz statku, sama w kosmos. Nie wspominając już o kilku przerażających wycieczkach tunelem wentylacyjnym z „Waldena” na „Feniksa” i z powrotem. Pomyślała: „Nigdy mi nie uwierzy”. Po czym poprawiła się: „Nigdy by mi nie uwierzył, gdyby to było kilka tygodni temu. Teraz oboje jesteśmy bardziej skłonni, by wierzyć w najdziwniejsze nawet wieści”.

Westchnęła i jeszcze raz omiotła wzrokiem polanę. Musi wziąć się w garść i znaleźć sobie coś do roboty. Popatrzyła na chatę szpitalną, po czym ruszyła w jej kierunku, starannie omijając dwóch chłopaków, którzy nieśli razem coś dużego. Z początku myślała, że to kolejny ranny z lądownika, ale potem zobaczyła, że to, co wzięła za dwa chude ramiona i dwie długie nogi, było w istocie czterema nogami, które pokrywała nie gładka, ludzka skóra, ale sierść. Dziewczynę zatkało z wrażenia: to był upolowany zwierzę, być może jeleni. Wzdrygnęła się, kiedy jej wzrok padł na ogromne, nieruchome oczy. Poczowała ukłucie żalu, że pierwsze zwierzę, które spotkała na Ziemi, było martwe. Nie tak wyobrażała sobie tę planetę. Było tu zimno i obco, a zamiast pięknych widoków Glass znalazła tu na razie tylko śmierć i zniszczenie.

Oderwała wzrok od jelenia i skierowała się do chaty szpitalnej, zatrzymując się na chwilę przy drzwiach. Wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Od pierwszej chwili ogarnął ją podziw dla

skutecznej organizacji zabiegów w tak małym pomieszczeniu. W środku trwała gorączkowa krzątanina: Felix i Eric przemykali przez salę, podając bandaże i grzebiąc w pojemnikach z fiolkami i buteleczkami medykamentów. Octavia poła wodą swojego rówieśnika leżącego na pryczy z uniesioną nogą, podpartą plastikowym elementem lądownika wyniesionym z wraku. Na innych pryczach i zaimprovizowanych posłaniach na podłodze tłoczyli się rozbitkowie. Część z nich opierała się również o ściany chaty. W centrum tego wszystkiego dwoiła się i troiła Clarke. Rzuciła polecenie Octavii, nawet nie patrząc w jej kierunku, jednocześnie przekazała Ericowi ostry kawałek metalu, którego używali do cięcia bandażu, pomogła starszej kobiecie usiąść i przyłożyła dłoń do czoła dziewczynki tuż obok, sprawdzając, czy dziecko nie ma gorączki, a wszystko to bez najmniejszego zdenerwowania. Glass nigdy nie widziała, żeby Clarke tak się zachowywała – a wyglądało na to, że młoda lekarka jest w swoim żywiole.

– Część, Clarke – powiedziała Glass.

Powitanie to zdawało jej się jednak tak nieodpowiednie, że w duchu się uśmiechnęła. Dziewczyny spotykały się na Ziemi po raz pierwszy, ale to nie była odpowiednia chwila, by powiedzieć coś w rodzaju: „Cześć, Clarke, mam nadzieję, że dobrze się czujesz i nie jesteś w złym humorze po traumatycznej podróży w kosmosie i rozstaniu z Wellsem. Aha, no tak, i przepraszam, że w Kolonii byłam dla ciebie taka wredna”.

Clarke podniosła nagle głowę, spojrzała podejrzliwie, po czym zapytała szorstko:

– Glass, potrzebujesz czegoś? Jesteś ranna, czy co?

Dziewczyna nie poczuła się urażona oschłym tonem rozmówczyni. Nigdy się nie zaprzyjaźniły – panna Sorenson zawsze uważała Griffinównę za zbyt poważną jak na jej gust. Poza tym najbardziej interesowały ją śliczne błyskotki na bazarze, podczas gdy Clarke wolała uczyć się ratowania ludzkiego życia. Było jednak coś, co je łączyło: obie życzyły Wellswi jak najlepiej. Poza tym na Ziemi każda znajoma twarz wydawała się życzliwa. Glass nie miała nic do stracenia.

– Och, nie. Przepraszam, czuję się świetnie. Zastanawiałam się tylko, czy mogłabym ci jakoś pomóc – wyjąkała.

Clarke patrzyła na nią przez chwilę, jakby próbowała ocenić, czy tamta mówi poważnie. Glass czekała, mimo skrepowania, aż w końcu lekarka stwierdziła:

– Pewnie, że tak. Oczywiście. Im więcej rąk do pomocy, tym lepiej.

– Świetnie – odetchnęła z ulgą Glass. Szybko omiotła wzrokiem pomieszczenie, szukając zadania, którego mogłaby się podjąć. Dostrzegła piętrzący się stos brudnych metalowych pojemników i kubków.

– Mogłabym je umyć.

Clarke skinęła głową i odwróciła się z powrotem do starszej kobiety.

– Byłoby świetnie – rzuciła przez ramię. – Tylko zrób to w potoku na południe od obozu, nie w tym, z którego bierzemy wodę do picia. Aha, trzeba je najpierw wysterylizować. Musisz wziąć kij i potrzymać każde z nich nad płomieniem przynajmniej przez pięć minut.

– Jasne! – potwierdziła Glass, chwyciła kilka naczyń z wierzchu i pośpieszyła ku drzwiom.

– Glass. – Głos Clarke zatrzymał ją w pół drogi. – Czy wiesz, jak dojść do południowego potoku? Pokręciła głową, czując, że na policzki wypełza jej rumieniec zażenowania.

– Nie, przepraszam. Myślałam, że po prostu kogoś zapytam...

Clarke dokończyła rozmowę z pacjentką, a potem również złapała parę metalowych pojemników i podała za Glass.

– Pokażę ci, gdzie to jest – rzuciła. – A przy okazji się przewietrzę.

Wyszły na słońce, mrużąc oczy i chciwie wdychając chłodne powietrze, które po pobycie w dusznym wnętrzu chaty dawało orzeźwienie.

Kiedy wędrowały ku ognisku w centrum obozu, Glass dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Błyskawicznie odwróciła głowę w kierunku linii drzew i wyteńczyła wzrok. W cieniu, dwa, może trzy metry w głąb lasu, krył się za pniem wysoki, ciemnowłosy chłopak. Patrzył na nie. Zaniepokojona Glass wciągnęła powietrze i zatrzymała się.

– O co chodzi? – zapytała Clarke.

Podążyła za spojrzeniem dziewczyny i zobaczyła tamtego.

– Może powinniśmy kogoś zawiadomić? – rzuciła nerwowo Glass. – Czy to... Czy to jest któryś z tych Ziemiaków, którzy chcą nas skrzywdzić?

Clarke pokręciła głową.

– Nie, to Bellamy. Jest jednym z nas, ale nie powinien teraz przebywać w obozie.

Glass dosłyszała w jej głosie niepokój. Ale dlaczego? Ku zaskoczeniu Glass młoda lekarka zmarszczyła brwi, a potem rzuciła Bellamy'emu dziwne spojrzenie – jakby przestrzegając chłopaka? On też na nią popatrzył i uśmiechnął się szeroko, kompletnie niewzruszony jej poważną miną. Zrobił kilka kroków naprzód, tak jakby chciał wejść do obozu. Tym razem Clarke pokręciła przecząco głową. Zatrzymał się niezadowolony. Dziewczyna bezgłośnie wypowiedziała kilka słów i podniosła dłoń, jakby chciała go odgonić tym gestem. Wzruszył ramionami i cofnął się za drzewa, ale przedtem zdążył jeszcze kpiąco jej zaskłutować.

Glass przyjrzała się Clarke, która lekko się zarumieniła. Wiedziała, że Wells jest teraz z Sashą, ale nie przyszło jej do głowy, że lekarka również mogła spotkać kogoś nowego, i to tak szybko. Najwyraźniej sprawy na Ziemi rzeczywiście toczyły się w piorunującym tempie.

– Dlaczego każesz mu zostać w lesie? – zapytała. – Chcesz go zatrzymać tylko dla siebie?

Miała nadzieję, że w ten sposób przełamie lody, dając Clarke do zrozumienia, że wie o rozstaniu z Wellsem, ale kiedy tylko to powiedziała, zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to całkiem inaczej.

– Nie każę mu nigdzie zostać – odparła Clarke.

Rzuciła rozmówczyni takie samo spojrzenie, jak dawno temu w szkole, kiedy Glass powiedziała coś idiotycznego. Tamta aż się wzdrygnęła.

– Przepraszam, nie chodziło mi o to...

Clarke musiała zdać sobie sprawę, jak surowo zabrzmiały jej słowa. Twarz jej złagodniała.

– To ja przepraszam – powiedziała i głęboko odetchnęła. – To było z mojej strony nie fair. Po prostu... Dzieje się mnóstwo rzeczy, o których ci nie powiedzieliśmy.

Glass zaśmiała się nerwowo.

– Tak, właśnie zaczynam się domyślać.

– To znaczy, że wiesz o Wellsie?

– O nim i... – Glass zawiesiła głos, niepewna, czy powinna rozmawiać o tajemnicach przyjaciela z kimś innym.

– O nim i Sashy – dokończyła za nią Clarke.

Glass przytaknęła z ulgą, widząc, że tamta doskonale orientuje się w sytuacji.

– Nie przeszkadza ci to? – zapytała z wahaniem.

Zanim lekarka zdążyła odpowiedzieć, podbiegł do nich rudy, piegowaty chłopak i wysapał:

– Clarke, jeden z nowych mówi, że nie może oddychać, i chce, żeby zrobić mu jakiś zastrzyk!

– Powiedział ci to wszystko? – zapytała, a rudzielec przytaknął. Lekarka westchnęła. – Jeżeli może mówić, nic mu nie będzie. To prawdopodobnie lekki atak paniki. Przekaż mu, że przyjdę za chwilę.

Chłopak jeszcze raz skinął głową i odbiegł.

– Tak, rzeczywiście cieszę się, że Wells i Sasha są razem. Co do Bellamy’ego, to... Chodzi mi o to, że chociaż jesteśmy razem dość krótko, to czujemy się tak, jakby...

– W porządku – przerwała jej Glass z uśmiechem.

Kiedy Clarke badała pacjentów lub przeprowadzała zabiegi, była zawsze opanowana i świetnie się kontrolowała, ale gdy rozmawiała o chłopakach, zachowywała się rozbijającą niepewnie. A teraz najwyraźniej zastanawiała się, ile może zdradzić.

– Czy Wells opowiedział ci już o Bellamym?

Glass pokręciła przecząco głową.

– W takim razie lepiej, żebyś porozmawiała o tym najpierw z nim.

Glass spojrzała na gwarny obóz, w którym roilo się od ludzi, a potem znów na Clarke.

– Myślę, że sporo czasu upłynie, zanim Wells będzie miał chwilę na pogaduszki ze mną. Co jest grane?

Tamta zawahała się, zaciskając usta.

– No weź, Clarke – powiedziała Glass przymilnie. Bawiło ją, że mimo iż znają się od lat, po raz pierwszy rozmawiają normalnie dopiero tu, na Ziemi. – Według mnie Wells na pewno nie będzie ci miał za złe, że rozmawiasz ze mną o swoim chłopaku!

– To nieco bardziej skomplikowane – rzuciła Clarke, po czym rozejrzała się czujnie na boki, by upewnić się, że nikt nie słyszy. Zwróciła się do Glass z tajemniczym uśmiechem: – Wiesz co, to szaleństwo. Jak myślisz, jakie były szanse, że drugi facet, w którym się zakochałam, okaże się przyrodnim bratem mojego poprzedniego faceta?

Glass popatrzyła na nią, pewna, że się przesłyszała.

– Wells ma brata?!? – spytała powoli.

Była przygotowana na to, że Clarke wybuchnie śmiechem i poprawi pomyłkę. Jednak ku jej zdumieniu tamta kiwnęła głową.

– Kanclerz miał sekretny romans z matką Bellamy’ego, zanim ożenił się z matką Wellsa.

Glass słyszała już z ust Clarke Griffin wiele dziwnych oświadczeń, zwłaszcza podczas lekcji matematyki, ale żadne z nich nie było tak rewolucyjne, jak to.

– Niemożliwe! Nie wierzę!

– Ja też z początku nie wierzyłam, ale zdaje się, że to prawda. A to dopiero początek.

Clarke zaskakująco spokojnym głosem opowiedziała koleżance, co zrobił Bellamy, żeby dostać się na pokład lądownika razem ze swoją siostrą Octavią – jak wziął kanclerza za zakładnika, nie wiedząc, że to jego ojciec. Potem spoważniała, opowiadając Glass o swoich obawach: strażnicy zapewne nie potraktowaliby Bellamy’ego przychylnie, gdyby odkryli, że to on był odpowiedzialny za postrzelenie kanclerza.

– Próbowałam go przekonać, żeby opuścił obóz, ale odmówił – podsumowała tonem, w którym słychać było dziwną mieszankę frustracji i dumy.

Glass próbowała przyswoić sobie wszystkie te rewelacje. Zanotowała w myślach, żeby porozmawiać o tym z Lukiem. Może mógłby coś zrobić, żeby strażnicy nie ścigali Bellamy’ego?

– O rany – wydusiła z siebie, kręcąc głową. – To jeszcze bardziej szalone niż mój spacer

w kosmosie.

– Wychodziłaś w próżnię? – spytała Clarke z oczami rozszerzonymi z podziwu.

– Tak, przespacerowałam się na zewnątrz – odparła Glass z przechwałką w głosie. – To był jedyny sposób, żeby dostać się na „Feniksa”. Inaczej Luke, mój chłopak, i ja udusilibyśmy się na „Waldenie”, a razem z nami jeszcze mnóstwo innych ludzi.

Stały przez moment w milczeniu, obracając w myślach nowe informacje, którymi się podzieliły. Po chwili jednak drzwi do chaty szpitalnej otworzyły się szeroko i stanęła w nich Octavia.

– Clarke! – zawołała. – Potrzebujemy cię w tej sekundzie!

– Idę! – odparła dziewczyna. Odwróciła się do Glass i powiedziała: – Cieszę się, że tu jesteś.

– Ja też – odpowiedziała z uśmiechem Glass.

Naprawdę była zadowolona, że spotkała Clarke na Ziemi. Inna sprawa, czy równie mocno cieszył ją sam pobyt na planecie. Na szczęście nie było tutaj tak zimno, jak zawsze sobie wyobrażała, patrząc ze statku na gęsty welon szarych chmur wokół planety. Teraz wyglądało również na to, że nie będzie się tu czuła samotna.

ROZDZIAŁ 6

Bellamy

– Chrzanić to! – mruknął do siebie Bellamy, kopiąc w powietrze grudę ziemi.

Patrzył, jak leci zgrabnym łukiem pomiędzy dwoma drzewami i ląduje z plaśnięciem kilka metrów dalej. Nagle w ciszy lasu rozległy się kroki, więc zanurkował za kępę wysokich krzaków, znikając z widoku. Przyglądał się przez listowie trójce nowo przybyłych na polanie – mężczyźnie i dwóm kobietom, którzy marszczyli z niesmakiem nosy, wciągając zapach piekącego się na ogniu jelenia. Bellamy upolował go rano, a Antonio przyniósł do obozu. No cóż, albo nauczą się jeść mięso, albo umrą z głodu. A najlepiej, żeby sami zaczęli szukać jedzenia.

Gdy pierwsza setka wylądowała na Ziemi, nie czekał na nich żaden komitet powitalny. Nikt nie pokazał im też, jak funkcjonować w nowych warunkach ani skąd brać pożywienie. Nikt nie uczył Bellamy'ego, jak podchodzić zwierzynę, używać łuku i strzał, czy też obdzierać ze skóry dwugłowego jelenia. Musiał sam dojść do tego, jak to zrobić, podobnie jak Clarke wymyśliła, jak leczyć rany i choroby, których wcześniej nigdy nie widziała, a Wells wykombinował, jak budować chaty. Nawet Graham, na ogół bezużyteczny i obleśny typ, jakimś cudem nauczył się robić włócznie. Jeżeli jemu się poszczęściło, to może tym bezradnym głupkom też się uda?

Bellamy oddałby swój najlepszy łuk, żeby móc wejść spacerowym krokiem do obozu z dumnie uniesioną głową i stawić czoła łajdakom chcącym go aresztować. Wiedział, że kiedy tylko dym z płonących lądowików się rozwieje, a kolonistom przestanie dzwonić w uszach, jeden z nowo przybyłych rozpozna go jako chłopaka, który kilka tygodni wcześniej na pokładzie startowym wziął kanclerza jako zakładnika. Nie miało najmniejszego znaczenia, że to nie Bellamy pociągnął za spust – wystarczyło, że to przez niego postrzelono przywódcę całej Kolonii. A teraz nie mógł nawet zapytać Wellsa, czy są jakieś wiadomości o jego ojcu... Wróc: o ojcu ich obu. Czy kiedykolwiek przywyknie do tej myśli? Stojąc samotnie w lesie, na pewno nie dowie się, czy pan Jaha przeżył, czy też nie.

Ten obóz był domem Bellamy'ego. Pomagał w jego budowie własnymi rękami, razem z pozostałymi zesłańcami. Nosił pnie z lasu i kładł fundamenty pod poszczególne chaty. Samodzielnie utrzymywał całą grupę przy życiu, polując na zwierzęta, których mięsem się żywili. Teraz nie miał zamiaru wyrzekać się tego wszystkiego tylko dlatego, że w przeszłości stanął w obronie siostry. Nie on wprowadził w Kolonii głupie zasady kontroli urodzeń, przez które Octavia była traktowana przez innych jak wybryk natury albo – co gorsza – owoc zbrodni.

Niedaleko trzasnęła gałązka. Bellamy obrócił się na pięcie z pięścią uniesioną do ciosu. Opuścił ją pośpiesznie, gdy zobaczył, że gapi się na niego mały chłopczyk.

– A co ty tu robisz? – zapytał, rozglądając się, czy nie śledzi go ktoś jeszcze.

Dziwnie było podglądać dorosłych przechadzających się po obozie, ale jeszcze dziwniej

wyglądały dzieci biegające między chatami.

– Poszedłem zobaczyć rybki – powiedział chłopczyk.

Na oko trzy- lub czterolatek seplenił tak, że zabrzmiało to raczej jak: „posedłem” i „zobaczyć”. Bellamy klęknął, by móc patrzeć tamtemu prosto w oczy.

– Przykro mi, koleżko. Ryby żyją w jeziorze, daleko stąd, ale patrz tam – wskazał dłonią ku koronie drzewa. – Tam są ptaki. Chcesz zobaczyć, jak latają i śpiewają?

Chłopczyk z powagą kiwnął głową. Bellamy wstał i uniósł głowę.

– Tam – powiedział, wskazując miejsce, gdzie liście podejrzanie się ruszały. – Widzisz?

Mały pokręcił głową przecząco.

– Czekaj, pomogę ci – rzucił Bellamy, po czym uniósł piszczącego z zachwytu chłopca i posadził sobie na barana. – Hej, ale cichutko, dobrze? Nikt nie powinien wiedzieć, że tu jestem. Teraz popatrz, tam jest ptaszek. Widzisz go? – Nie widział twarzy chłopca, więc przyjął milczenie za „tak”.

– Gdzie są twoi rodzice? Wiedzą, gdzie poszedłeś?

Klęknął, by chłopczyk mógł ześlizgnąć się z jego barków i odwrócić się ku niemu.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Leo? – zawołał dziewczęcy głos. – Gdzie mi uciekłeś?

– Kurczę – zaklął Bellamy pod nosem.

Zanim zdążył się poruszyć, tuż obok nich pojawiła się dziewczyna z długimi ciemnymi włosami. Odetchnął z ulgą – to była tylko Octavia. Przechyliła głowę na bok z uśmiechem i zapytała:

– Cóż to, wabisz dzieci w ciemny las jak jakiś straszny pustelnik? Szybko ci poszła ta przemiana, nie ma co.

Przewrócił oczyma, ale w duchu był zadowolony, widząc siostrę w tak dobrym humorze. Przez ostatnich kilka tygodni wiele przeszła, a właśnie wtedy, gdy udało się ją sprowadzić z powrotem do obozu, na Ziemi zjawili się pozostali koloniści. Na szczęście dziewczyna potrafiła przystosować się do niemal każdego warunków. Pierwszych pięć lat życia spędziła w cholernej szafie, a potem każdego dnia musiała udowodniać, że zasługuje na to, by żyć.

– Znasz tego małego? – zapytał.

– Tak. To Leo.

– Gdzie są jego rodzice?

Octavia szybko spojrzała na dziecko, a potem pokręciła głową ze smutkiem. Bellamy westchnął głośno i spojrzał na chłopczyka, który tymczasem ciągnął za długie pnącze, owijające pień pobliskiego drzewa.

– Został całkiem sam?

Octavia potwierdzająco skinęła głową.

– Tak sądzę. Jest tu gromadka takich dzieci. Myślę, że ich rodzicom nie udało się dotrzeć do lądowików, albo... – Nie musiała kończyć zdania. Bellamy wiedział, że oboje pomyśleli w tej chwili o świeżych grobach nad jeziorem, wciąż jeszcze nieoznaczonych nazwiskami. – Opiekuję się wszystkimi tymi małolatami, dopóki nie wymyślimy, co z nimi dalej zrobić.

– To naprawdę miłe z twojej strony, O – przyznał Bellamy.

Wzruszyła ramionami.

– Och, żaden problem. Nie powinniśmy przecież wkurzać się na te dzieciaki. To ich rodzice nas pozamykali – stwierdziła.

Starła się, żeby w jej głosie brzmiało zblazowanie, lecz jej brat świetnie wiedział, że od czasów

pobytu w centrum opieki w Kolonii ma słabość do sierot.

– Chodź, Leo – powiedziała, biorąc chłopczyka za rękę. – Pokażę ci, gdzie mieszkają króliczki. – Popatrzyła badawczo na brata. – Myślisz, że dasz sobie tu radę sam? – zapytała.

Bellamy przytaknął.

– To tylko prowizorka. Kiedy wszystko się uspokoi, wymyślimy jakiś plan.

– Dobrze... tylko błagam, bądź ostrożny. – Uśmiechnęła się i odwróciła ku Leo. – Idziemy, mały!

Bellamy spojrział za nimi. Na widok Octavii, skaczącej w dół stoku jak królik, żeby rozśmieszyć chłopczyka, ogarnął go smutek.

Zawsze była outsiderką. Tylko brat traktował ją fair, reszta ludzi nie siliła się nawet na grzeczność... aż do teraz. W końcu dostała szansę, by stać się zwyczajną nastolatką z gronem przyjaciół i wielbicieli, a do tego – Bellamy uczciwie to przyznawał – niebywale wyszczekaną. Nie mógł jej zostawić samej w obozie i nie mógł też jej stąd zabrać. Co mu pozostawało? Zasługiwała na to, by być tutaj, gdzie po raz pierwszy w życiu czuła się jak w domu. W swoim prawdziwym domu.

Nagle przypomniał sobie wyraz twarzy Clarke, kiedy kazała mu się schować, i żołądek zwinął mu się w supeł. Trzeba nie lada zagrożenia, by przestraszyć tę dziewczynę – świetną lekarzkę z duszą wojowniczką, w dodatku oszałamiająco piękną, zwłaszcza gdy przez jej jasne włosy przeświecało słońce – ale myśl o strażnikach celujących w niego z karabinów wystarczyła, by napęlić jej świetliste zielone oczy przerażeniem.

Powoli wypuścił powietrze, próbując się uspokoić. Dziewczyna dbała tylko o jego dobro. Chciała, żeby przeżył. Jednak jej usilne błagania, żeby trzymał się z dala od obozu, wzbudziły w nim wściekłość, skierowaną nie przeciw Clarke, ale całej tej pochrзанionej sytuacji. Zaczynało się robić ciemno. Czy naprawdę musi spędzić noc w lesie?

Już miał ruszyć spacerkiem w kierunku polany i znów zająć należne mu miejsce w małej społeczności, kiedy zobaczył Wellsa wchodzącego do obozu od innej strony i prowadzącego kolejną grupę zdezorientowanych rozbitków. Jego dumna postawa, energiczny krok i pewność, z jaką przemawiał do wlokących się ludzi, sprawiały wrażenie, że jest ich przywódcą, a nie młodocianym przestępcą o połowę od nich młodszym. Bellamy jeszcze nie przyzwyczał się do tego, że ten miniaturowy kanclerz był jego przyrodnim bratem... Nie co dzień człowiek dowiadywał się, iż ma w istocie nie tylko siostrę, ale również brata. W sumie dwójkę nielegalnego rodzeństwa!

Nagle na polanie zapadło milczenie. Wszystkie głowy odwróciły się ku miejscu, z którego chwilę wcześniej wyłonił się Wells. Bellamy podążył za ich wzrokiem i zobaczył zza drzew wkraczającego do obozu wicekanclerza Rhodesa. Szedł w milczeniu pomiędzy zesłańcami i rozbitkami, wyprostowany jak struna. Miał lekko znudzoną minę, która sprawiała, że na statku powszechnie uważano go za dupka. Tutaj nadal wyglądał jak kretyn. W ciągu poprzedniej doby cudem uniknął śmierci i po raz pierwszy w życiu postawił stopę na Ziemi. Czy korona spadłaby mu z głowy, gdyby okazał najmniejszy ślad ulgi czy też – do diabła – ekscytacji?

Nikt nie śmiał się odezwać do wicekanclerza, a ten kroczył powoli naokoło polany, otoczony przez czterech strażników, i badawczo przyglądał się obozowi, który zesłańcy wybudowali z takim trudem. Dziesiątki ludzi wstrzymywały oddech w oczekiwaniu na to, co powie lub zrobi. Wicekanclerz zniknął w najbliższej chacie. Przez chwilę nie było go widać, potem znów się pojawił, rozbawiony, z krzywym uśmiechem na ustach.

Bellamy miał ochotę przebiec przez polanę i walnąć małego, sadystycznego tyrana prosto w gębę. Wystarczył jednak rzut oka na strażników, nieodstępujących Rhodesa ani na krok, a teraz formujących

wokół niego ochronne półkole, żeby chłopak został na miejscu. Strażników nie tylko było więcej, niż się spodziewał – przynajmniej dwudziestu, nie licząc rannych i tych, którzy jeszcze nie wrócili z miejsca lądowania – ale również wszyscy mieli broń palną. Bellamy przełknął ślinę. Abstrakcyjne zagrożenie ze strony straży i rozkaz, by go zastrzelić, to jedna sprawa, ale widok wycelowanej w siebie lufy karabinu – całkiem inna. Ściśle rzecz ujmując, Bellamy nie bał się teraz bardziej niż przed przylotem reszty kolonistów. Czuł tylko głęboką pewność, że razem z Octavią muszą o siebie zadbać, bo nikt inny tego nie zrobi.

W końcu Rhodes dotarł na środek polany i odwrócił się, by przemówić do zebranej wokół niego grupy. Przez chwilę milczał, przetrzymując publiczność dla lepszego efektu. Octavia stała na samym przedzie, patrząc na niego sceptycznie. Wells przesunął się w bok z ramionami skrzyżowanymi na piersi i nieodgadnioną miną. Clarke trzymała się z tyłu tłumu, oparta o ścianę chaty szpitalnej. Wyglądała na wyczerpaną, toteż Bellamy poczuł jeszcze większą wściekłość. W tej chwili oddałby wszystko, by móc ją objąć i powiedzieć, że wykonała fantastyczną robotę.

Zgromadzeni ludzie patrzyli na Rhodesa, a na ich brudnych twarzach malowało się oczekiwanie oraz – z czego Bellamy zdał sobie sprawę z pewnym zaskoczeniem – ulga. Większość z setki zesłańców wydawała się zadowolona, że wicekanclerz wraz ze swoimi poplecznikami znalazł się na Ziemi. Myśleli pewnie, że przyleciał, by im pomóc.

W końcu Rhodes przemówił:

– Szanowni współobywatele! To smutny dzień. Dzień, w którym będziemy obchodzić żałobę przez całe pokolenia, ale także wielki i wspaniały! Po tak długim oczekiwaniu mam ogromny zaszczyt stać przed wami na powierzchni naszej ojczystej planety – Ziemi. Zasługi tych, którzy przybyli tu na pokładzie pierwszego lądownika, nie zostaną zapomniane. Dzielnie sobie radziliście tu, gdzie żaden człowiek nie postawił stopy od setek lat.

Bellamy studiował twarz Clarke. Najmniejszym drgnieniem nie dała poznać, co sądzi o przemowie Rhodesa, ale wiedział doskonale, że w głowach obojga krąży ta sama myśl. Mnóstwo ludzi postawiło tu stopę, i to nie tylko Ziemianie. Na przykład rodzice Clarke, a także ci, którzy przybyli na Ziemię wraz z nimi. Na razie jednak nikt z setki zesłańców – poza Bellamym i Wellsem – nie wiedział, że państwo Griffinowie żyją.

– Dowiedliście, że ludzie w rzeczy samej mogą znów zamieszkać na Ziemi. To wspaniałe osiągnięcie. Nasze życie zależy jednak nie tylko od czystej wody i powietrza. – Tu przerwał dla większego dramatyzmu i rozejrzał się po tłumie, patrząc kolejnym słuchaczom głęboko w oczy. – Nasz los zależy od tego, jak będziemy się wszyscy zachowywać! – kontynuował.

Część osób z tłumu zaczęła gorliwie kiwać głowami, lecz Bellamy miał ochotę zwymiotować.

– Aby chronić się nawzajem, powinniśmy więc przestrzegać pewnych zasad – ogłosił Rhodes.

„Oho, na to czekałem”, pomyślał ponuro Bellamy, zaciskając dłonie w pięści, tak jakby chciał jakoś powstrzymać słowa, które – był tego pewny – zmienią wszystko.

– W Kolonii wiedliśmy spokojne życie. Wszyscy byli bezpieczni, a ich potrzeby były zaspokajane. – Oho, najwyraźniej ten facet nigdy nie mieszkał na „Arkadii” ani „Waldenie”. – I mogliśmy zachować nasz gatunek przy życiu, ponieważ podporządkowaliśmy się władzy, robiliśmy to, czego od nas oczekiwano, i utrzymywaliśmy porządek. To, że teraz znajdujemy się na Ziemi, nie oznacza, że możemy porzucić wierność zasadom, bo one są ważniejsze niż którykolwiek człowiek z osobna. – Rhodes znów zawiesił głos, pozwalając, by jego słowa głęboko zapadły w pamięć słuchaczom.

Bellamy spojrział na Wellsa i Clarke. Z ich min wywnioskował, że wszyscy troje myślą o tym

samym. Rhodes był oślizgłym, zdradzieckim sukinsynem. Nie wspomniał ani słowem o ułaskawieniu setki zesłańców, które obiecano im w zamian za „służbę ludzkości”, kiedy pakowano ich do pierwszego ładownika. A biorąc pod uwagę, że Wells był świadkiem zaledwie jednego czy dwóch radosnych spotkań rodziców i dzieci nie pochodzących z „Feniksa”, najwyraźniej nikomu z rodzin skazańców nie udzielono pierwszeństwa przy wsiadaniu do ładowników. Ten facet w jednym krótkim przemówieniu zawarł niewiarygodnie wiele odrażających kłamstw. Co gorsza, wyglądało na to, że mnóstwo ludzi łyknęło je bez zastrzeżeń. Bellamy miał ochotę krzyknąć do nich: „Otwórzcie oczy! Przetrwaliśmy tutaj bez tych idiotów i damy sobie bez nich radę! Nie słuchajcie, co mówi ten palant!”.

– Ufam, że wszyscy razem i każdy z osobna – ciągnął Rhodes, owijając myśli w kwieciste słowa, ale wypowiadając je lodowatym tonem – rozpozna nieomylnie, co jest najwyższą wartością, i zrobi to, czego się od niego oczekuje, dla własnego dobra, ale także dla przetrwania naszej rasy. Dziękuję za uwagę.

Bellamy’emu dreszcz przeszedł po plecach. To nie było ciepłe, krzepiące przemówienie motywacyjne. To było ostrzeżenie: „Rób, co każę, albo zostaniesz usunięty ze stada”. Wicekanclerz im groził. Bellamy wiedział, że nie będzie w stanie podporządkować się nowej władzy, co to, to nie. Jeszcze w Kolonii miał bardzo elastyczny stosunek do panującego prawa. A teraz, na Ziemi, gdzie spędzał sam całe dni i noce głęboko w leśnej głuszy, nie miał najmniejszego zamiaru znów słuchać rozkazów jakiegoś urzędasia. Po raz pierwszy w życiu Bellamy był wolny. Wszyscy byli wolni.

Nie zanosilo się jednak na to, by Rhodes przebaczył Bellamy’emu akt zdrady popełniony na pokładzie startowym. Chłopak zdawał sobie z tego świetnie sprawę. Wicekanclerz i jego zwolennicy zapewne zechcą wymierzyć mu karę, która będzie jednocześnie przykładem dla pozostałych, co oznaczało egzekucję, i to prawdopodobnie publiczną.

W umyśle Bellamy’ego pojawiła się decyzja, podświadomie rozważana już od dawna, lecz ostatecznie podjęta dopiero w tej chwili. Musi stąd odejść. Wróci po Octavię, kiedy będzie bezpiecznie, a do tej pory zadbają o nią Clarke i Wells. Cofnął się szybko w las, z oczami utkwionymi w potylicy Rhodesa. Przy kolejnym kroku wpadł jednak na drzewo, uderzając się o nie boleśnie. Odbił się od niego ze stęknieniem i zatoczył, próbując złapać równowagę. Zdołał utrzymać się na nogach, lecz nadepnął przy tym ciężko na stos suchych gałęzek. Pękły z głośnym trzaskiem, który odbił się echem po lesie. Wszyscy zebrani na polanie również go usłyszeli.

Setki głów podskoczyły i odwróciły się w poszukiwaniu źródła tego dźwięku. Strażnicy unieśli karabiny i omiatali lufami linię drzew. Rhodes z zaskakującym refleksem obrócił się na pięcie i bacznie przyglądał się lasowi. Bellamy utknął. Jeśli się poruszy, natychmiast go zauważą. Mógł tylko pozostawać w bezruchu i mieć nadzieję, że wicekanclerz i strażnicy mają kiepski wzrok.

Nie miał jednak szczęścia. Rhodes dostrzegł chłopaka niemal natychmiast, a twarz ściągnęła mu się w triumfalnym grymasie. Gapili się na siebie przez jakiś czas. Bellamy nie był pewien, czy tamten rozpoznał w nim napastnika, który wziął kanclerza Jahę jako zakładnika, lecz po chwili na zwykle znudzonej twarzy Rhodesa pojawił się grymas złośliwej radości.

– Tam! – wrzasnął do strażników, wskazując wprost na chłopaka.

Umundurowana ekipa przebiegła polanę w rekordowym czasie. Bellamy obrócił się błyskawicznie, licząc, że znajomość lasu da mu przewagę nad ścigającymi. Potrafił płynnie przeskakiwać nad pniami i pochylać się pod niskimi gałęziami, nie tracąc szybkości. Udało mu się jednak przebiec zaledwie kilka metrów, kiedy rzucił się na niego najpierw jeden, a potem drugi

strażnik, zwalając go z nóg. Ten, który wylądował na nim, sapnął i oplótł Bellamy'ego ramionami. Chłopak próbował się uwolnić, szarpiąc i kopiąc, aż udało mu się podnieść na kolana, a potem wstać. Serce waliło mu tak mocno, że niemal słyszał, jak z każdym uderzeniem trzeszczą mu żebra. Poczł nagły przypływ adrenaliny, jakby był jednym ze zwierząt, które sam tropił i zabijał, by utrzymać setkę zesłańców przy życiu.

Tymczasem nadbiegło więcej strażników, by okrążyć Bellamy'ego. Chłopak postąpił kilka kroków w kierunku jednego z nich, ale w ostatniej chwili zamiast zaatakować, uchylił się, zgrabnym piruetem ominął napastnika i zaczął uciekać. Mężczyźni w mundurach natychmiast ruszyli za nim. Wystrzelili naprzód, w stronę cienistej części lasu, wciąż mając nadzieję, że uda mu się ich zgubić.

Tym razem nie próbowali go łapać. Ostry trzask odbił się od drzew, z których szczytów rozpierchły się dziesiątki spłoszonych ptaków. Bellamy wrzasnął, kiedy ostry ból przeszył jego ramię.

Postrzelili go.

Upadł na ziemię, a strażnicy natychmiast go otoczyli. Podnieśli go brutalnie, związali mu ręce za plecami, nie przejmując się krwawiącą raną, a potem zawlekli go z powrotem na polanę.

– Bellamy! – usłyszał głos Clarke jakby z oddali. Oczy zaczęły zachodzić mu mgłą, ale zdołał dostrzec, że dziewczyna przepycha się przez tłum, krzycząc na strażników: – Zostawcie go! Postrzeliliście go, nie wystarczy wam? Proszę, pozwólcie mi go obejrzeć. Przecież widać, że potrzebuje pomocy lekarskiej!

Strażnicy rozstąpili się, przepuszczając dziewczynę. Objęła go i pomogła mu położyć się na ziemi.

– Wszystko w porządku – powiedziała rozdygotanym głosem. Rozdarła jego koszulę i ściągnęła ją z ramienia. – To chyba nie jest nic poważnego... Myślę, że pocisk przeszedł na wylot.

Bellamy skinął głową na znak, że zrozumiał. Nie mógł mówić przez zaciśnięte z bólu zęby.

– Pańskie rozkazy, sir? – zawołał jeden ze strażników przez polanę w kierunku Rhodesa.

Bellamy nie usłyszał odpowiedzi. Tracąc przytomność, myślał tylko o jednym: wolałby umrzeć, niż żyć na Ziemi jako więzień.

ROZDZIAŁ 7

Wells

Wells zazwyczaj spał na zewnątrz, bo wolał ciche niebo pełne gwiazd od zatłoczonej chaty, ale poprzednie dwie noce przeleżał na szpitalnej podłodze

Clarke spędzała każdą chwilę u boku Bellamy'ego, oczyszczając ranę, sprawdzając, czy chłopak nie gorączkuje, i wygadując różne głupoty, żeby tylko odwrócić jego uwagę od bólu. Miała jednak pod opieką dziesiątki innych pacjentów, dlatego Wells pomagał jej, jak tylko potrafił. Zwilżał Bellamy'emu usta, a kiedy ranny odzyskiwał przytomność, dzielił się z nim najnowszymi wieściami z obozu.

Teraz wstał, powstrzymując jęk, ziewnął i roztarł zdrętwiałe ramię. Prycze były w obozie towarem deficytowym. Wells upewnił się, że trafili na nie przede wszystkim ranni. Spojrzał na Bellamy'ego, który w końcu zasnął po niespokojnej, pełnej cierpienia nocy. Wyglądało na to, że krew nie przesiąka przez bandaż, co było dobrym znakiem, ale Clarke coraz bardziej martwiła się możliwością infekcji.

Popatrzył na bladą twarz brata i poczuł, jak ogarnia go wściekłość na wicekanclerza. Jego ojciec nigdy nie pozwoliłby strażnikom postrzelić chłopaka, niezależnie od tego, czy rozpoznałby w nim swojego syna. Rhodes miał gębę pełną frazesów o porządku i sprawiedliwości, ale nieszczególnie przykładał się do stosowania ich w praktyce.

Wells wyslizgnął się na zewnątrz, ostrożnie zamykając za sobą drzwi, tak żeby nie trzasnęły. Wczesny poranek był jego ulubioną porą dnia na Ziemi. Mógł wtedy spokojnie podziwiać wschód słońca, zanim reszta mieszkańców obozu wstała i zaczęła krzątać się przy codziennych zajęciach. Nosiciele wody budzili się pierwsi i ruszali w kierunku strumienia z pustymi pojemnikami i potarganymi włosami. Następnie wstawali zbieracze drewna na ognisko. Ci ścigali się, kto pierwszy zetnie drzewo. Należący do tego zespołu zesańcy szybko stali się osobną społecznością, z własnymi zwyczajami i tradycjami. Wszyscy należący do pierwszej setki cieszyli się na Ziemi o wiele większą wolnością niż kiedykolwiek w Kolonii.

Jednak – mimo że od przylotu pozostałych kolonistów nie minęły nawet siedemdziesiąt dwie godziny – dotychczasowe porządki wydawały się odległą przeszłością. Wells od dawna nie widział Sashy. Zgodzili się, że bezpieczniej będzie, jeśli dziewczyna pozostanie w Mount Weather, dopóki on nie wymyśli, jak najbezpieczniej przekazać Rhodesowi informację o obecności Ziemian. Tymczasem boleśnie odczuwał nieobecność Sashy.

Zwykle pusta polana usiana była teraz grupami żałośnie wyglądających ludzi. Znajdowali się wśród nich nowo przybyli, którzy nie dostali miejsca w chacie i musieli spędzić bezsenność, wbijając przerażony wzrok w nieznaną nieboskłon, ale także niezadowoleni zesańcy z pierwszej

setki. Ci woleli znosić mokrą od rosy trawę i mroźne powietrze, niż mieć do czynienia z intruzami naruszającymi ich przestrzeń.

Kilku dorosłych stało już wokół wygasłego ogniska, najwyraźniej czekając, aż ktoś je dla nich rozpali. Grupa strażników trzymała się z boku, prowadząc ożywioną dyskusję. Wskazywali wymownymi gestami szczyt wzgórza, na którym po raz pierwszy pojawili się Ziemianie z odłamu nieprzyjaznego kolonistom. Rozważywszy wszystkie za i przeciw, Wells opowiedział poprzedniego dnia Rhodesowi o obu grupach: przyjaznych, którym przewodził ojciec Sashy, i niebezpiecznych – zabójcach Ashera i Priyi. Wicekanclerz zareagował na te wieści, wyznaczając całodobowe warty strażników na polanie.

Wells podszedł do kręgu ogniskowego i z wymuszonym uśmiechem powiedział:

– Dzień dobry.

Ludzie skinęli mu na powitanie głowami, ale nikt nie przemówił. Wiedział, jak się czują. Podczas pierwszych dni na Ziemi również był zdezorientowany po traumatycznej podróży, a do tego cierpiał po stracie ludzi, którzy pozostali w Kolonii. Wiedział jednak, że jedyny sposób, by dojść do siebie, to zająć się czymś pożytecznym.

– Kto chce się nauczyć rozniecać ogień? – zapytał głośno.

Przyjęli tę propozycję, aczkolwiek nie wszyscy z równie wielkim entuzjazmem. Tylko jedna kobieta, w wieku dwudziestu kilku lat, wytrzymała do końca pokazu, a potem próbowała rozpalić ognisko samodzielnie. Wells najpierw obładował ją drewnem i skierował ku kręgowi, a potem pokazał, jak ustawić polana w stożek, tak by powietrze mogło swobodnie przezeń przepływać. Następnie przeprowadził ją krok po kroku przez kolejne etapy rozniecania ognia. Kiedy skończyli, uśmiechnęła się z dumą, a chłopak zobaczył, jak w jej oczach pojawia się na nowo iskra życia.

– Świetna robota – pochwalił ją. – Teraz pilnuj, żeby się ładnie paliło, a kiedy trzeba będzie coś upiec albo ugotować, dołożymy do ognia więcej drewna.

Ruszył w kierunku grupy myśliwych, zbierających się na polowanie, mijając po drodze kilku strażników. Poczł na sobie ich wzrok i zatrzymał się. Stali z bronią na ramieniu, czekając na kogoś, kto wyda im rozkazy.

Mimo że Wells został pozbawiony stopnia oficerskiego, gdy go Odosobniono, teraz odchrząknął i zwrócił się do nich tym samym tonem, którego nauczył się podczas szkolenia:

– Powinniście udać się na polowanie, jeden z każdą grupą myśliwych. Mamy do wykarmienia mnóstwo ludzi, a te karabiny mogłyby się przydać.

Strażnicy spojrzeli po sobie, jakby czekając na oficjalne zezwolenie, a potem wrzucyli ramionami i podążyli za nim. Wells przydzielił ich do oddziałów myśliwych i podpowiedział, jak poruszać się podczas tropienia, by nie spłoszyć zwierzyny. Na polanie zostało tylko dwóch, których Rhodes wyznaczył do pilnowania chaty szpitalnej, a właściwie jednego pacjenta – Bellamy’ego.

Obóz rozbrzmiał gwarem głosów, gdy głodni ludzie wysypali się z przepełnionych chat, szukając czegoś na śniadanie.

Rozpaczliwie potrzebowali kolejnych chat. W tym celu musieli przeprowadzić dużą wycinkę drzew, a potem poświęcić przynajmniej tydzień na budowę. W dodatku musiałby przeszkolić dwadzieścia lub trzydzieści osób spośród nowo przybyłych, żeby ukończyć prace jak najszybciej, zanim nadejdą chłodniejsze dni. Potrzebowali również więcej wiader na wodę, które najprościej było zrobić ze szczątków wraków lądowików. Zanotował w pamięci, by posłać na miejsce lądowania grupę poszukiwawczą. Byłoby świetnie, gdyby znaleźli dziesięć odpowiednich kawałków

metal. Wszystko to miało jednak drugorzędne znaczenie, jeśli nie zdobędą większej ilości pożywienia, i to szybko. Bez Bellamy'ego to zadanie wydawało się trudniejsze niż kiedykolwiek. Wells głęboko odetchnął, wystawił twarz na ciepło porannego słońca i spróbował poukładać myśli.

Otworzył oczy, poszedł do magazynu i zatrzymał się u jego drzwi, by porozmawiać ze stojącym przed nim arkadyjczykiem. Chłopak przeglądał właśnie listę inwentaryzacyjną, której prowadzenie należało do obowiązków wyznaczonego magazyniera. W ten sposób mogli lepiej śledzić stan zasobów. Już miał spytać, jak stoją z zapasowymi ubraniami, gdy ktoś za nim dyskretnie odchrząknął. Wells odwrócił się i stanął oko w oko z wicekanclerzem. Rhodes studiował przez chwilę twarz chłopaka. Usta miał ściągnięte w cierpkim uśmiechu, który w najmniejszym stopniu nie wyrażał radości. Za plecami mężczyzny stało dwóch starszych strażników. Wells pamiętał ich ze szkolenia oficerskiego. Jeden był instruktorem uzbrojenia, a drugi pewnego razu kazał mu zrobić pięćset pompek. Skrzywił się na to wspomnienie.

– Dzień dobry, oficerze Jaha.

– Dzień dobry, wicekanclerzu Rhodes. Panowie. – Wells zasalutował strażnikom.

Gest ten wydał mu się nie na miejscu tutaj, pod błękitnym niebem upstrzonym z rzadka delikatnymi chmurkami. Lepiej pasował do ostrego oświetlenia na pokładzie „Feniksa”.

Rhodes wyciągnął ku niemu dłoń w geście powitania, a Wells ją uściśnął. Wicekanclerz zacisnął palce odrobinę za mocno i potrząsał dłonią chłopaka trochę za długo. Młody Jaha zawsze starał się być wzorowym strażnikiem i oficerem, szanującym regulamin i zwierzchników. Ukończył z wyróżnieniem wszystkie etapy szkolenia, zwykle na pierwszym miejscu w swoim roczniku. Był dumny z tego, że zna protokół i potrafi go zastosować, nawet jeżeli inni kadeci wyśmiewali go lub, co gorsza, szeptali za jego plecami, że kanclerski synek podlizuje się nauczycielom. Nie obchodziło go to. Wells chciał dowieść swojej wartości na podstawie własnych czynów – i to mu się udało. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że jest znakomitym oficerem. Jednak teraz, stojąc na polanie z dłonią w stalowym uścisku Rhodesa, czuł tylko niesmak. Przeczynał, jakie słowa padną z ust wicekanclerza, jeszcze zanim tamten je wypowiedział.

– Okazaliście się nadzwyczaj skuteczną przywódcą, oficerze Jaha.

– Dziękuję, sir! – odparł Wells i wziął się w garść, wiedząc, co zaraz nastąpi.

– Zwłaszcza jak na kogoś tak młodego... – podkreślił ostatnie słowo Rhodes, zmieniając je w obelgę. – W imieniu rady chciałbym podziękować za waszą służbę, młody człowieku. – Wells nie odpowiedział. – Założyliście tu na Ziemi satysfakcjonujący, choć tymczasowy obóz. – Wicekanclerz skrzywił się lekceważąco. – Jednak wzięliście na swoje barki zbyt wielką odpowiedzialność, jak na kogoś w waszym wieku, podczas gdy powinniście cieszyć się młodością.

Wells przypomniał sobie strzałę przeszywającą gardło Ashera o centymetry od jego własnej szyi. Zobaczył opuchnięte ciało Priyi, zwisające z gałęzi. Poczł jeszcze raz w trzewiach dotkliwe ukłucie głodu, jaki panował wśród pierwszej setki tuż po przybyciu na Ziemię. Chciał wypalić Rhodesowi prosto w twarz: „Cieszyć? Taką młodością?!?”, ale w porę się powstrzymał.

– Na szczęście teraz to brzemie przejmujemy my, bardziej doświadczeni przywódcy – ciągnął wicekanclerz – a wy będziecie mogli skorzystać z zasłużonego urlopu.

Wells poczuł, że nozdrza mu się rozszerzają, a na policzki wypełza rumieniec. Bardzo się starał, żeby zachować neutralny wyraz twarzy, jak tego oczekiwano od żołnierza. Rhodes chciał przejąć kontrolę, ale nie miał pojęcia, w co się pakuje. Podobnie jak kiedyś Wells, który teraz był jednak bogatszy o doświadczenia ostatnich kilku tygodni i mógł się podzielić tą wiedzą z każdym chętnym.

Dyplomatycznym tonem powiedział więc:

– Z całym szacunkiem, sir, ci z nas, którzy przylecieli na pokładzie pierwszego statku, sporo się już dowiedzieli o tym miejscu. Sytuacja na Ziemi jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje. Zapłaciliśmy za tę wiedzę życiem i zdrowiem naszych ludzi. Możemy oszczędzić wam mnóstwo czasu i kłopotów. Jeśli pozwolicie, byśmy podzielili się z wami doświadczeniami, posłużymy to naszemu wspólnemu dobru.

Rhodes jeszcze mocniej zacisnął wargi i pozwolił sobie na urywany śmiech.

– Z całym szacunkiem, oficerze Jaha, sądzę, że jesteśmy dość dobrze przygotowani na wszelkie problemy, jakie mogą się pojawić. Im wcześniej zaprowadzimy porządek w tej społeczności, tym prędzej wszyscy będziemy mogli czuć się bezpiecznie.

Wells wiedział, co oznacza błysk w oku wicekanclerza. Przez całe życie dostrzegał u innych to połączenie lekceważenia, kpiny i zawiści. Niełatwo było funkcjonować w społeczeństwie jako syn kanclerza. Rhodes, patrząc na niego, widział rozpieszczonego, wszystkowiedzącego bachora. Nawet gdyby chłopak potrafił jedną ręką zbudować chatę dla każdego z nowych kolonistów, wicekanclerz i tak uważałby go za utytułowanego chwalipiętę. Jako syn jedynej osoby stojącej między Rhodesem a najwyższą władzą, Wells był symbolem frustracji starszego mężczyzny.

Reputacja Wellsa jako tego, który utrzymał zesłańców z pierwszej setki przy życiu przez pierwsze tygodnie, teraz szybko zniknęła, a wraz z nią – wpływ na ludzi. Jeśli to była ostatnia szansa na bezpośrednią rozmowę z wicekanclerzem, miał zamiar dobrze ją wykorzystać.

– Tak jest, sir – powiedział tonem najwyższego szacunku.

Rhodes zsalutował mu sztywnym gestem, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. Odwrócił się i zaczął się oddalać, a strażnicy podążyli za nim jak posłuszne psy.

– Jest jeszcze jedna sprawa! – zawołał Wells w jego kierunku. Wicekanclerz zatrzymał się i odwrócił ze zirytowaną miną. – Ten więzień, Bellamy Blake.

Rhodes zmrużył oczy.

– Co z nim?

– Jest osobą o istotnym znaczeniu dla przetrwania wszystkich mieszkańców obozu.

– Wybaczcie, oficerze! – Wicekanclerz pokręcił głową z niedowierzaniem. – Czy na pewno macie na myśli tego młodego człowieka, przez którego wasz ojciec omal nie zginął?

– Tak jest, sir. Bellamy jest zdecydowanie naszym najlepszym myśliwym. Tylko dzięki niemu udało nam się przeżyć. Potrzebujemy go.

Uśmiech na twarzy Rhodesa ustąpił miejsca lodowatej minie.

– Ten chłopak – powiedział powoli mężczyzna – jest mordercą.

– Nie, nie jest – odparł Wells, próbując za wszelką cenę zachować spokój. – Nie chciał nikogo skrzywdzić. Próbował tylko chronić siostrę.

Młody Jaha miał nadzieję, że słowo „chronić” poruszy czułą strunę w duszy wicekanclerza, ale ten tylko się skrzywił, najwyraźniej zirytowany słowem „siostra”. Wells mógł sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby w akcie rozpaczki wyznał, że Bellamy jest jego bratem.

– To z jego powodu nie ma tu twojego ojca! – syknął Rhodes. – Z jego powodu ja objąłem dowództwo!

Po tych słowach odwrócił się i odszedł wściekły.

Wells patrzył, jak tamten się oddala, i czuł, że serce zamiera mu w piersi. Szanse na łagodne potraktowanie Bellamy’ego właśnie gwałtownie zmalały. Wicekanclerz nie będzie miał litości.

ROZDZIAŁ 8

Clarke

Szwy się rozłaziły. Clarke zacisnęła zęby, oczyszczając ranę na ramieniu Bellamy'ego po raz trzeci tego dnia. Wiedziała doskonale, że frustracja jej nie pomaga, ale powoli zaczynała już wariować, próbując znaleźć skuteczną kurację. Mogła mieć nadzieję, że ciało Bellamy'ego samo zwalczy infekcję i zacznie się goić pomimo szwów. Mogła również usunąć szwy i założyć nowe – ale wówczas ryzykowała ponowne otwarcie rany i opóźnienie procesu gojenia.

Odetchnęła głęboko i spróbowała skoncentrować się na zadaniu. Wprawdzie Bellamy miał szczęście, że pocisk wszedł w jego ciało i wyszedł czysto, ale chłopak został zraniony w najgorszym możliwym miejscu, milimetry od ważnej arterii. Trudno byłoby zszyć taką ranę nawet na statku, w sterylnej sali chirurgicznej z jasnym oświetleniem. W tej ciemnej chacie, z dwoma strażnikami sterczącymi nad Bellamym i wpadającymi na Clarke za każdym razem, kiedy próbowała sprawdzić stan ramienia, graniczyło to z niemożliwością.

Dlatego właśnie wprowadzono zasadę, że lekarze nie powinni operować ludzi, z którymi są osobiście związani. Musiała całą siłą woli powstrzymać drżenie dłoni, a co dopiero mówić o podejmowaniu obiektywnych decyzji pod presją. Dotknęła czoła chłopaka. Temperatura spadła, co było dobrym znakiem, lecz Bellamy wciąż bardzo cierpiał i wydawał się zdezorientowany. Na myśl o jego bólu robiło jej się niedobrze, a gdy myślała o tym, jak mało może zrobić, żeby mu pomóc – czuła się jeszcze gorzej.

– Clarke? – odezwał się słaby głos spod przeciwnej ściany. – Clarke? Gdzie jesteś? Potrzebuję twojej pomocy...

To była Marin, starsza kobieta z głęboko rozciętą nogą. Lekarka już wcześniej oczyściła i zaszyła jej ranę, ale środki przeciwbólowe były na ukończeniu, co oznaczało, że podawano je tylko ofiarom najgorszych wypadków.

– Już idę! – zawołała.

Nie chciała opuszczać Bellamy'ego, ale wciąż jeszcze było tylu innych ludzi, którzy rzeczywiście wymagali opieki lekarza, że nie mogła spędzać z nim więcej niż kilka minut naraz. Ścisnęła jego dłoń, a on spróbował otworzyć oczy, uśmiechnął się i odpowiedział słabym uściskiem. Delikatnie odłożyła jego rękę z powrotem na pryczę, odwróciła się i wpadła na jednego ze strażników.

– Przepraszam! – Z ledwością zdołała ukryć irytację w głosie.

Stała straż była grubą przesadą, a do tego wręcz utrudniała jej opiekę nad pacjentami. Jak niby Bellamy miał dokądkolwiek uciec – półprzytomny i majaczący w gorączce?

– Clarke, pośpiesz się, proszę... To boli. – Głos Marin stawał się coraz bardziej płaczliwy.

Dziewczyna nie miała czasu dłużej się zastanawiać. Musiała zmieniać opatrunki i podawać

lekarstwa. Owszem, cieszyła się, że może pomagać ludziom, ale nawet wyczerpująca, całodobowa opieka nie sprawiła, by Clarke przestała się martwić sprawami w obozie. Za każdym razem, kiedy widziała Rhodesa, zaczynała dygotać z tłumionego niesmaku i wściekłości. Nie tylko o mało co nie doprowadził do śmierci Bellamy'ego, ale też w gruncie rzeczy traktował ją samą jak więźnia. W żaden sposób nie mogła opuścić obozu z Bellamym, którego życie było zagrożone, a do tego każda upływająca godzina oddalała ją od rozpoczęcia poszukiwań rodziców. Byli przekonani, że Clarke wciąż przebywała w Kolonii. Nie mieli pojęcia, że też jest na Ziemi, pod tym samym niebem co oni. Na myśl o tym poczuła głęboką frustrację.

Przeszła przez pomieszczenie i pochyliła się nad Marin. Odwijając bandaż z jej nogi, odepchnęła wszystkie inne myśli. W tym również powracający natrętnie głos, który wmawiał jej, że sprawa rodzicom niebawem zawód, stojąc tutaj, w zatłoczonej chacie, zamiast ruszać na ich poszukiwanie.

– Przykro mi, że tak bardzo cierpisz – powiedziała Clarke łagodnie do kobiety. – Wiem, że to boli, ale jest i dobra wiadomość: wszystko bardzo ładnie się goi.

Marin wyglądała żałośnie, jej twarz była blada i ziemista, ale zdołała skinąć głową i wyszeptać:

– Dziękuję.

Clarke spędziła na „Feniksie” wiele nocy pochylona nad podręcznikami, podziwiając wyrefinowanie współczesnej medycyny Kolonii. Pozbyto się większości poważnych chorób – nie znano tu już raka, schorzeń serca, a nawet grypy. Lekarze opracowali metody regeneracji skóry i szybkiego zrastania się kości. Dziewczyna była pod wrażeniem rozwoju sztuki medycznej i geniuszu ludzi. Chciała dorównać swoim poprzednikom, więc ciężko pracowała, wkuwając: fizjologię, procedury oraz nazwy i dawkowanie lekarstw.

Teraz wiele by dała za choćby jedną dziesiątą tamtego sprzętu z centrum medycznego. W gruncie rzeczy poruszała się tu po omacku, używając gołych rąk tam, gdzie powinno się operować ostrym skalpelem, i pocieszając pacjentów, którym powinna aplikować bakteriobójcze leki. Zamiast środków przeciwbólowych mogłaby równie dobrze proponować cierpiącym gryzienie drewnianego kołka, tak jak w średniowieczu. Rozejrzała się wokoło, po twarzach oszołomionych dorosłych i łkających dzieci, a potem popatrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Na zewnątrz znajdowały się jeszcze setki innych kolonistów. Jak długo zdoła dbać o nich wszystkich sama, tak dzień po dniu?

A przecież byli to nieliczni szczęściarze, którzy jakimś cudem zdołali zagwarantować sobie miejsca w lądownikach. Sądząc po ich minach, zapłacili za to potwornie wysoką cenę. Widziała w ich oczach cierpienie: wszak żeby przeżyć, musieli pozostawić w Kolonii na pewną śmierć bliskich, przyjaciół i sąsiadów. Clarke kucnęła przy chłopcu imieniem Keith, który leżał spokojnie na niskiej pryczy z tyłu chaty. Uśmiechnęła się do niego, a on wykonał nieznaczny ruch dłonią. Poprzedniej nocy zapytała go, czy przylecieli tu z nim jego rodzice. Nie odpowiedział wówczas, tylko pokręcił przecząco głową. Clarke zrozumiała, że jest na Ziemi sam, i nie zadawała już więcej pytań.

Zastanawiała się, co z nim będzie, kiedy wyjdzie ze szpitala. Połamane żebra szybko się zrosną, więc opuści względnie spokojną chatę szpitalną i znajdzie się w środku obozowego zamieszania. Dotychczas osieroconymi dziećmi zajmowała się Octavia, ale to zadanie powoli zaczynało ją przerastać. Kto nauczy Keitha, jak polować albo rozpoznać, czy woda nadaje się do picia? Czy nie przestraszy się pierwszej nocy spędzonej pod gwiazdami? Clarke odgarnęła potargane włosy ze spoconego czoła i delikatnie dotknęła czubka jego nosa.

– Odpoczywaj, kolego – wyszeptała, a on zamknął oczy.

Mimo to Clarke wątpiła, żeby rzeczywiście mógł odpoczywać w takich warunkach. Widząc jego małą, samotną postać, skuloną na pryczy, poczuła ulgę na myśl, że sama zna na Ziemi tylu ludzi. Wśród nowo przybyłych znalazła paru znajomych – na przykład doktora Lahiriego, a także kilka osób, które były jej sąsiadami na „Feniksie”. No i Glass. Chociaż nigdy nie były przyjaciółkami, znały się przez całe życie. Widok tych twarzy wpływał na Clarke pocieszająco, tak samo jak świadomość, że dzieliła z Glass tak wiele wspomnień z umierającego statku. Pomagało jej również to, że nie musi pamiętać wszystkiego sama, że jest ktoś, kto dzieli z nią brzemień tej pamięci.

Chociaż czuła się zmęczona, a nogi jej ciążyły, zmusiła się, by przejść do kolejnego pacjenta, którym okazał się doktor Lahiri. Złamany obojczyk wciąż przysparzał mu mnóstwo cierpień.

Uniósł głowę z pryczy. Zazwyczaj nieskazitelnie zaczesane siwe włosy teraz były przetłuszczone i poplątane, co sprawiało jeszcze bardziej niepokojące wrażenie niż jego kontuzja.

– Cześć, Clarke – powiedział znużonym tonem.

– Dzień dobry, doktorze. Jak tam pańska głowa?

– Lepiej. Zawroty minęły i widzę cię teraz pojedynczo.

Clarke uśmiechnęła się i odparła:

– No cóż, to już jakaś poprawa... Chociaż szczerze mówiąc, wolałabym, żeby była tu jeszcze druga taka jak ja.

Doktor Lahiri patrzył na nią przez chwilę badawczo, zanim stwierdził:

– Świetnie sobie radzisz, Clarke, i mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Twoi rodzice byliby z ciebie bardzo dumni.

Poczuła zarazem smutek i wdzięczność, ale nie wiedziała, które z tych uczuć przeważa. Przez kilka wspaniałych dni była pewna, że zobaczy znów rodziców, i spędzała całe godziny, wyobrażając sobie, co im powie, jak wyrzuci z siebie wszystkie myśli i opowieści ukrywane w pamięci przez ten czas, kiedy nie miała się z kim nimi dzielić. A teraz znów wydawało się, że szanse na zdobycie informacji potrzebnej do ich odnalezienia gwałtownie maleją.

– Muszę pana o coś zapytać – powiedziała cicho, rozglądając się, czy w zasięgu głosu nie ma strażników. – Któregoś dnia znalazłam tu coś, co pozwoliło mi mieć nadzieję, że moi rodzice żyją.

Zobaczyła, jak jego oczy rozszerzają się, jednak jego mina nie wskazywała na to, by był wstrząśnięty albo jej nie dowierzał. Czy to możliwe, by wiedział o tym już wcześniej?

– Sądzę, że są gdzieś na Ziemi – kontynuowała, zaczerpnąwszy powietrza. – Więcej, jestem pewna, że tu są. Muszę tylko wymyślić, jak ich znaleźć. Czy... Czy wie pan coś, co mogłoby mi pomóc? Cokolwiek, co mogłoby mnie skierować we właściwą stronę?

Doktor Lahiri westchnął.

– Clarke, wiem, że chciałabyś...

W tej chwili ich rozmowę przerwało zamieszanie przy wejściu. Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach wicekanclerza Rhodesa. Od rzędów prycz podniósł się szmer szeptów, gdy kolejni pacjenci podnosili głowy z pościeli i dostrzegali, kto właśnie wszedł. Clarke rozpaczliwie popatrzyła na Lahiriego, żałując, że nie mogą dłużej rozmawiać. Kiwnął głową, dając jej do zrozumienia, że dokończą później.

Ruszyła przez pomieszczenie i zatrzymała się przed wicekanclerzem z rękoma wspartymi na biodrach, tak jakby chciała ochronić cały szpital i pacjentów przed zagrożeniem. Strażnicy za plecami Rhodesa stanęli w półkolu, zasłaniając całe światło, wpadające przez drzwi. W sali pociemniało, zresztą nie tylko ze względu na brak oświetlenia. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz

zadowolonego z siebie wicekanclerza, żeby Clarke zawrzała z wściekłości. Nie sądziła, że cokolwiek lub ktokolwiek potrafi wywołać w niej tak potężne emocje. To Rhodes nakazał jej rodzicom przeprowadzenie testów, jakie skutki promieniowanie wywiera na ludzi. Na dzieci! To on groził, że zabije Clarke, jeśli Griffinowie odmówią wykonania jego poleceń, a potem wyparł się udziału w potwornym eksperymencie. On skazał jej rodziców na śmierć. A teraz był gotów wydać ten sam wyrok na Bellamy'ego.

– Panie wicekanclerzu – powitała go Clarke, nie zadając sobie nawet trudu, by ukryć uczucia. – Czym mogę panu służyć?

– Clarke, moja wizyta nie dotyczy ciebie. Przyszliśmy po Bellamy'ego Blake'a.

Otarł się o nią ramieniem, przechodząc koło niej w głąb chaty. Zacisnęła pięści, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni. Czuła, jak pulsują jej żyły, i musiała kilka razy szybko odetchnąć, by upewnić się, że nie zrobi nic, czego by później żałowała. Rhodes był zepsuty i niemoralny, lecz także niebezpieczny. Jej rodzice zapłacili za tę wiedzę wysoką cenę.

Patrzyła, jak podchodzi do Bellamy'ego, który na szczęście spał. Wicekanclerz przyjrzał mu się uważnie, a potem odwrócił się i rażno odmaszerował z powrotem ku drzwiom. Kiedy mijali strażników, przemówił, nie patrząc na nich:

– Do czasu procesu umieścić więźnia w izolatce.

– Sir – odważył się odezwać jeden ze strażników. – Gdzie go mamy zamknąć?

Rhodes zatrzymał się i powoli odwrócił, patrząc na niego zmrużonymi oczyma.

– Wymyślcie coś! – warknął, po czym zniknął za drzwiami.

– Tak jest, sir! – służbiście odparł strażnik w kierunku znikających pleców wicekanclerza.

Żołądek Clarke zwinął się w bolesny supeł, kiedy rozpoznała ten głos. To był Scott. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak wpatruje się w Bellamy'ego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Zwykle widok jego lepkich łap i wodnistych oczu sprawiał, że miała ochotę wziąć długi, gorący prysznic. Tym razem jednak nie poczuła zwykłej odrazy, a raczej nadzieję, ponieważ Scott podsunął jej pewien pomysł. Nikt – a już na pewno nie wicekanclerz Rhodes – nie skrzywdzi Bellamy'ego. Clarke już o to zadba.

ROZDZIAŁ 9

Glass

Glass wiedziała, że miała dużo szczęścia, przybywając na Ziemię, ale zastanawiała się również, czy walczyłaby tak zajadle o miejsce w lądowniku, gdyby wiedziała, że spędzi resztę życia, siusiając w lesie. Wyszła z malutkiej budki, która w gruncie rzeczy była polową latryną, z drzewem w charakterze czwartej ściany, i podążyła z powrotem do obozu. W każdym razie myślała, że zmierza w tym kierunku. Wszystkie pnie wyglądały tak samo, a ona dopiero uczyła się poruszać po okolicy.

Odległy gwar głosów upewnił ją, że idzie dobrą drogą. Weszła na polanę, niechętnie opuszczając spokojny, cichy las. Nagle zatrzymała się zdezorientowana. Wyszła spomiędzy drzew w niewłaściwym miejscu. Dotychczas za każdym razem wchodziła do obozu pomiędzy chatą szpitalną a magazynem, ale tym razem – nie wiadomo dlaczego – znalazła się po przeciwnej stronie polany, w pobliżu jednej z budowanych właśnie sypialni. Westchnęła i zanotowała w pamięci, żeby na drugi raz bardziej uważać. Luke już kilka razy zrobił jej wykład na temat: „Jak pozostać czujnym i nie chodzić samotnie do lasu”. Niestety przez cały czas był zajęty pracą, a Glass nie ufała nikomu obcemu na tyle, by poprosić o towarzystwo podczas spaceru do toalety.

Okrążyła plac budowy i znalazła się nagle za dwoma mężczyznami rozmawiającymi przyciszonym głosem tuż przy linii drzew. Byli tak pogrążeni w konwersacji, że najwyraźniej nie zauważyli jej nadejścia. Zatrzymała się i nie wiedziała, co zrobić: oznajmić swoją obecność, pozostać bez ruchu, aż skończą rozmowę, czy też po prostu koło nich przejść. Zanim zdążyła podjąć decyzję, zdała sobie sprawę, że zna jednego z tych ludzi. To był wicekanclerz Rhodes.

Zamarła, a jej umysł zalała fala sprzecznych emocji. Coś w tym mężczyźnie sprawiało, że na jego widok zawsze dostawała gęsiej skórki, a wspomnienie jego głosu z chwili, gdy rozkazywał strażnikom strzelać do Bellamy'ego, jeszcze pogarszało sytuację. Jednocześnie Glass miała świadomość, że to dzięki niemu jeszcze żyje. Gdy dostrzegł ją wraz z matką w tłumie ludzi próbujących na próżno dostać się do lądowników, włączył je obie do swojej świty i oddał im ostatnie dwa wolne miejsca na statku.

Od tamtej pory Glass ani razu nie znalazła się na tyle blisko Rhodesa, żeby z nim porozmawiać, ale teraz w głowie kłębiły jej się tysiące pytań. Dlaczego im pomógł? Jakże stosunki łączyły go z jej matką? Czy kiedykolwiek w Kolonii Sonja mówiła mu o tym, jak bardzo córka ją zawiodła?

Twardy głos wicekanclerza wyrwał ją z zamyślenia.

– Przeprowadzimy proces na środku obozu. Dopilnujcie, żeby wszyscy go oglądali – obecność będzie obowiązkowa. Chcę, żeby zobaczyli z bliska, że ani zdrada, ani oszustwo w celu osiągnięcia osobistych korzyści nie będą tolerowane!

Glass zdławiła okrzyk strachu. Rhodes mówił o Bellamym.

– Tak jest, sir – odparł drugi mężczyzna, mający na sobie porwany i zabrudzony mundur oficera.

Dziewczyna rozpoznała go jako strażnika podlegającego w hierarchii bezpośrednio wicekanclerzowi. Nazywał się Burnett. To on złapał jej ramię i pociągnął ją wraz z matką na pokład ładownika.

– A czy raczył pan pomyśleć, gdzie go umieścimy, jeśli zostanie skazany na Odosobnienie?

Rhodes zaśmiał się ochryple, nieprzyjemnie.

– Odosobnienie? W tym procesie może zostać wydany tylko jeden wyrok, i zapewniam, że nie będzie to Odosobnienie!

– Rozumiem, sir. – Burnett skinął głową.

– W radzie zasiądziemy ty, ja i paru starszych mieszkańców „Feniksa”, którzy przybyli tu z nami – kontynuował wicekanclerz. – Już z nimi rozmawiałem. Doskonale wiedzą, czego się od nich oczekuje. Po procesie odbędzie się egzekucja, która musi jasno wszystkim przypomnieć, że utrzymanie porządku na Ziemi jest równie ważne, jak w Kolonii, a może nawet bardziej.

– Rozumiem, sir, chciałbym się tylko upewnić co do logistyki. Tutaj nie możemy wyrzucić więźnia w próżnię. Jak więc chciałby pan przeprowadzić egzekucję? Owszem, mamy broń, ale... – Tu Burnett zawahał się przez ułamek sekundy. – Czy chce pan strzelić sam?

Glass zacisnęła powieki i poczuła, że ogarnia ją fala nudności. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Rozmawiali o egzekucji Bellamy’ego takim samym tonem, jakim w Kolonii mogliby omawiać limity zużycia elektryczności czy też zbliżającą się ceremonię pamięci.

– Tak, myślałem już o tym i wydaje mi się, że mamy idealną osobę do tej roboty. To świetny funkcjonariusz, który skrupulatnie przestrzega przepisów, służył zresztą w korpusie inżynieryjnym. Ostatnio okazywał jednak pewne buntownicze skłonności, między innymi udzielił schronienia zbiegowi. Sądzę, że to zadanie dobitnie uświadomi mu, wobec kogo powinien być lojalny.

Glass zaczęło się kręcić w głowie, jakby ktoś odciął jej dopływ tlenu do mózgu. Oparła dłoń o pień najbliższego drzewa, żeby nie upaść. Chodziło o Luke’a. Wicekanclerz miał zamiar zmusić go, żeby zastrzelił Bellamy’ego w majestacie prawa i dowiódł w ten sposób wierności wobec władzy. Tylko że Luke nigdy by nikogo nie zabił – wiedziała, że nie potrafiłby pociągnąć za spust. I co wtedy robi z nim Rhodes? Czy zakwestionuje posłuszeństwo chłopaka? A może zacznie zastanawiać się, czy Luke’owi w ogóle można powierzać ważne zadania? Było dla niej jasne jak słońce, co wicekanclerz robi z ludźmi, którym nie może ufać.

Rhodes i Burnett ruszyli ku niewielkiej grupce strażników, których nie znała. Gdy już byli dość daleko, Glass wypuściła powietrze z płuc i załkała. Po chwili jednak powstrzymała płacz. Musi znaleźć Luke’a. Rozejrzała się po obozie, ale nigdzie go nie dostrzegła. Poczuła narastającą panikę. „Tylko spokojnie – pomyślała. – Jeżeli zaczniesz wariować, nie rozwiążesz żadnego problemu. Zachowaj spokój w próżni, więc tym bardziej możesz zachować go tutaj, przynajmniej do momentu, kiedy znajdziesz Luke’a”.

Zmusiła się, by spokojnie przejść przez środek obozu, ku chacie szpitalnej. Może Clarke widziała jej chłopaka? Weszła do środka i poczuła się jak niewidoma. Jej wzrok potrzebował kilkunastu sekund, by przystosowywać się do półmroku panującego w pozbawionej okien chacie. Gdy wreszcie mogła cokolwiek dostrzec, zobaczyła Luke’a stojącego wśród prycz, tyłem do niej. Był na służbie – pilnował Bellamy’ego. Ulga, że wreszcie go znalazła, była tak wielka, iż łzy napłynęły jej do oczu. Potem jednak wyobraziła go sobie unoszącego broń, celującego do Bellamy’ego i pociągającego za spust. Niemal usłyszała huk wystrzału. Nie mogła do tego dopuścić. Nie mogła pozwolić, by zmusili

Luke'a do tego strasznego czynu... i nie miała zamiaru stać bezczynnie, gdy grozili, że skrzywdzą go, jeśli nie wykona rozkazu.

Glass przebyła odległość dzielącą ją od Luke'a trzema długimi krokami i złapała go za ramię. Obrócił się z pięściami wzniesionymi w obronnym geście, a potem zobaczył, że to ona, i roześmiał się z ulgą.

– Cześć! – powiedział, opuszczając ramiona. – Próbujesz narobić mi kłopotów? – Jego uśmiech znikł jak zdmuchnięty, kiedy zobaczył jej minę. – Wszystko w porządku? – zapytał cicho, pochylając się ku niej, tak by nikt nie mógł podsłuchać ich rozmowy.

– Musimy pogadać – wskazała gestem drzwi. – Na zewnątrz.

– Pewnie – rzucił Luke, odwrócił się do drugiego strażnika i powiedział: – Chłopie, muszę na sekundkę wyjść z chaty. Popilnujesz sam?

Tamten wzruszył ramionami, popatrzył na Bellamy'ego, pogrążonego w głębokim śnie i przywiązanego pasami do pryczy, odwrócił się do Luke'a i kiwnął mu głową. Chłopak podążył za Glass w stronę drzwi.

Wyszli z chaty. Dziewczyna sprawdziła, czy nikt nie słucha, po czym opowiedziała Luke'owi o rozmowie Rhodesa z Burnettem. Kiedy dotarło do niego, o czym mówi ukochana, na jego twarzy zagościł bolesny grymas. Odwrócił od niej oczy, spoglądając w przestrzeń, wysoko ponad czubkami drzew. Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Glass wstrzymała oddech. Słyszała tylko świergotanie ptaków i daleki odgłos rąbania drzewa, niosący się echem po lesie.

W końcu Luke odwrócił się ku niej z napiętą twarzą i oczami pełnymi determinacji.

– Nie zrobię tego – oświadczył z mocą.

Serce Glass забиło mocniej. Poczła dumę na myśl, że jej chłopak tak trafnie umie rozróżnić zło i dobro. Podziwiała jego prawy, uczciwy charakter – to była jedna z pierwszych cech, jakie w nim dostrzegła i pokochała. Jednak nigdy nie pozwoliłaby mu narażać na szwank honoru, żeby uratować kogoś innego.

– Luke, ale rozumiesz, co to oznacza, prawda? Wymierzą ci karę. – Głos Glass drżał z obawy. – Tak, Rhodes ocalił mi życie, ale jest niebezpieczny. Powinieneś słyszeć, w jaki sposób mówił o straceniu Bellamy'ego. To było... okropne. Kto wie, do czego ten człowiek jest zdolny?

– Ja wiem – odparł Luke i zacisnął usta.

Przez chwilę stali oboje w milczeniu. Glass ujęła go za rękę i ścisnęła ją. Poczła się tak, jakby w rzeczywistości był gdzieś daleko, tak jak wówczas, gdy przygotowywał się do wyjścia w próżnię.

– Luke – powiedziała i ponownie uścisnęła jego dłoń. Powoli odwrócił ku niej twarz. – To nie może się tak skończyć.

Po wszystkim, co razem przeszli, po tym, czemu musieli stawić czoła, żeby przeżyć, byłoby szaleństwem, gdyby pozwolili Rhodesowi wykorzystać się w charakterze kozłów ofiarnych, tak jak miał zamiar to zrobić z Bellamym.

– I się nie skończy – odparł Luke, przytulając ją mocno.

Wciągnęła w nozdrza znajomą woń, pomieszaną teraz z aromatami Ziemi, które kochała tym mocniej, im bardziej kojarzyły jej się z ukochanym. Jego serce biło teraz tuż przy jej policzku. Powoli zaczęła się uspokajać, jej puls zwolnił, a adrenalina odpłynęła z żył. Tego właśnie potrzebowała – bliskości i miłości Luke'a.

Nagle odsunęła się od niego. Błyskawicznie rozejrzał się wokoło, tak jak nakazywał mu instynkt zaprogramowany na wyszukiwanie niebezpieczeństw.

– Wiem, co zrobić – powiedziała.

Spojrzał na nią ze ściągniętymi brwiami.

– Co mianowicie?

– Odejdziemy.

– Co masz na myśli? Dokąd mielibyśmy odejść?

– Nie wiem, ale się dowiem. Wells może nam pomóc. Jeśli nie on, to Sasha na pewno powie nam, gdzie da się zamieszkać. Ukryjemy się na chwilę – tak długo, jak trzeba, by się upewnić, że wszyscy o nas zapomnieli i możemy bezpiecznie wrócić.

– A co z Ziemiانami? Z tą wrogą grupą? – zapytał, patrząc na nią tak, jakby kompletnie oszalała.

– Musimy spróbować szczęścia.

Luke spoglądał na nią przez dłuższą chwilę, a Glass przygotowywała się wewnętrznie na to, że za chwilę pokręci głową i znużonym tonem zacznie jej wyjaśniać, dlaczego nie może porzucić służby ot tak sobie. Nic podobnego się jednak nie stało. Ku jej zdumieniu, na twarzy chłopaka pojawił się zawadiacki uśmiech.

– W takim razie musimy uciec dzisiaj wieczorem. Nie chcę, żeby Rhodes miał szansę mnie znaleźć.

Glass popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Serio? Naprawdę chcesz, żebyśmy ruszyli w nieznane, zupełnie sami?

Objął ją w talii zdrową ręką.

– Wiesz, co trzymało mnie przy życiu przez ostatni rok? Przez cały czas, który spędziłaś w Odosobnieniu, a potem przez wszystkie noce na „Waldenie”, gdy byłem pewien, że umieramy? Myśl, że będziemy kiedyś razem na Ziemi. Nawet kiedy byłem pewien, że to jedynie mrzonki, nadal wyobrażałem sobie, jak wędrujemy po planecie i odkrywamy nowe miejsca. Tylko my dwoje. – Zwolnił uścisk i przeniósł dłoń na jej włosy, przesuwając kosmyki między palcami. – Oczywiście to cholernie ryzykowne. Świetnie o tym wiesz.

– Wiem – przytaknęła – ale wolę być gdzieś tam w niebezpiecznym miejscu z tobą, niż zostać tutaj bez ciebie.

Uśmiechnęła się i pogładziła go po kłującym, nieogolonym policzku. Złapał jej dłoń i pocałował koniuszki palców.

– A ja wolę być z tobą daleko stąd, niż sprawić, żeby ktokolwiek cierpiał – powiedział.

– W takim razie lepiej się przygotujmy. Weźmiemy tyle zapasów, ile możemy zdobyć, nie zwracając na siebie uwagi, a potem uciekniemy.

– Muszę tylko skończyć tę zmianę. Przynies trochę wody i tyle jedzenia, ile możesz ukryć pod ubraniem. Spotkamy się tutaj po zachodzie słońca, kiedy wszyscy będą jeść kolację.

– Okej – zgodziła się Glass. – Znajdę Wellsa. Myślę, że powinniśmy również powiadomić o wszystkim Clarke. Musi wiedzieć, co planują zrobić z Bellamym, bo jeśli nie ty pociągniesz za spust, znajdzie się ktoś inny.

– Możemy jej zaufać?

– Tak – zapewniła go z przekonaniem. – Możemy jej całkowicie zaufać.

– Dobrze. – Luke pochylił się i szybko pocałował Glass w policzek. – Będziemy jak Adam i Ewa – dodał z uśmiechem.

– O nie, nie ma mowy, żebym ubierała się w liście, wszystko jedno, jak długo zostaniemy sami w lesie.

Luke z udawaną powagą zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, a potem uśmiechnął się kpiąco, nie pozostawiając wątpliwości, co ma na myśli.

– Idź i przygotuj się – polecił.

Odwrócił się, jeszcze przez ramię posłał jej tęskne spojrzenie i podążył ku szpitalnej chacie.

ROZDZIAŁ 10

Clarke

Przez jedną, ulotną, błogą chwilę Clarke czuła się szczęśliwa. Gdy Keith po raz pierwszy od lądowania wstał i zrobił kilka kroków, w szpitalnej chacie wybuchły wiwaty. Młoda lekarka stała przed nim, trzymając go za ramiona, a on chwiejnie ruszył do przodu. Jednym chudym ramieniem obejmował profilaktycznie żebra, a drugie wyciągnął w bok, by łatwiej utrzymać równowagę. W końcu oparł się o Clarke, a ona delikatnie go przytuliła. Już była pewna, że chłopak wyzdrowieje.

– Okej, koleżko, a teraz położymy cię z powrotem do łóżka. Wystarczy tego na jeden dzień – stwierdziła.

– Dziękuję, pani doktor. – Uśmiech Keitha wydawał się rozświecić całe pomieszczenie.

– Wystarczy „Clarke” – odparła i również się uśmiechnęła, prowadząc go powoli do pryczy.

Kącikiem oka zauważyła wolne posłanie z brzegu i całe szczęście w jednej chwili gdzieś zniknęło, pozostawiając w jej sercu tylko panikę i rozpacz. Tego popołudnia przybyli strażnicy, by przenieść Bellamy’ego do nowej chaty więziennej. Na skraju polany wybudowali z metalowych płyt, zebranych z miejsca lądowania, ponurą szopę bez okien. Siedział tam samotnie, zamknięty i przez cały czas pilnowany przez dwóch uzbrojonych ludzi na zewnątrz. Clarke nie była pewna, co właściwie zaplanował wicekanclerz, ale wiedziała, że z pewnością nie wyniknie z tego nic dobrego. Albo u pozbawionego odpowiedniej opieki medycznej Bellamy’ego wda się infekcja, albo Rhodes wyprawi go na tamten świat w inny sposób.

Potrząsnęła głową, próbując o tym nie myśleć. Ta możliwość była zbyt straszna, by ją rozważać. Na pewno coś wymyśli, żeby temu zapobiec. Musi coś wymyślić.

Kiedy już Keith ostrożnie mościł się na posłaniu, Clarke odwróciła się ku Marin, której noga wspaniale się goiła. Wokół rany nie było widać ani śladu infekcji.

– Marin, ty będziesz następna – orzekła. – Już niedługo pomogę ci wstać, a potem zaczniesz chodzić.

– Nie mogę się doczekać – odparła tamta z uśmiechem. – Tak długo już jestem na Ziemi, a jeszcze nie widziałam ani drzew, ani liści.

– No tak, kiedy cię tu przynieśliśmy, byłaś nieprzytomna – przyznała Clarke, maskując beztruską paplaniną strach. – Ale przyniosę ci później kilka próbek, żeby cię nie skreśliło z niecierpliwości.

– Clarke? – zawołał ktoś od drzwi, a w głosie tym dało się dosłyszeć rozpaczliwą nutę.

Młoda lekarka odwróciła się ku wejściu i zobaczyła jak Glass, blada i niespokojna, przestępuje z nogi na nogę.

– Glass, co się dzieje?

– Muszę... muszę zamienić z tobą parę słów.

– Pewnie, mów. – Clarke pośpieszyła ku koleżance tak szybko, jak pozwalało jej zmęczenie. Twarz tamtej była ściągnięta ze zdenerwowania. – Czy wszystko w porządku? – zapytała i poczuła, że serce zaczyna jej mocno walić. Może coś stało się Wellsowi?

– Myślę, że powinniśmy wyjść na zewnątrz – odparła Glass, nerwowo rozglądając się po chacie.

Clarke skinęła głową i w milczeniu podążyła za nią na polanę. Wszystko skąpane tu było w świetle popołudniowego słońca, które wydawało się zmiękczać i ocieplać wszelkie kształty. A jednak wszędzie, gdziekolwiek spojrzała, dostrzegała oznaki napięcia – ludzi kłócących się o racje żywnościowe, strażników rzucających zaniepokojone spojrzenia w kierunku lasu, a dalej – kolonistów odwracających głowy, żeby uniknąć wzroku wartowników stojących na posterunku przed więzieniem, gdzie trzymano Bellamy’ego. Wyobraziła go sobie samotnego i chorego i ledwie powściągnęła ochotę, by przebić się do niego przez drzwi... Do diabła ze strażnikami!

Oderwała oczy od więzienia i skupiła się na rozmowie z Glass.

– Co się dzieje?

– Chodzi o Luke’a... i Bellamy’ego.

Clarke zmarszczyła brwi. Co Bellamy i Luke mogli mieć wspólnego? Pierwszy z nich był nieprzytomny lub spał niemal przez cały czas, od kiedy drugi pojawił się w obozie. Czy w ogóle się spotkali?

Glass zaczerpnęła powietrza i powoli je wypuściła, zbierając się na odwagę.

– Clarke, ja tylko... Pomyślałam, że powinnaś to wiedzieć. Oni planują egzekucję Bellamy’ego.

Jej głos ucichł, tak jakby oznajmienie tej strasznej wiadomości kosztowało ją zbyt wiele.

Clarke poczuła, że jej wnętrzności wywracają się na lewą stronę, i przygryzła wargi, by zdusić płacz.

– Egzekucję? Chcą go zabić? – wyszeptała.

Glass kiwnęła głową.

Clarke spodziewała się czegoś podobnego. Jej szkolenie medyczne nauczyło ją brać pod uwagę każdą ewentualność i rozważać nawet najbardziej ponure warianty przyszłych wydarzeń. Czła jednak, że to ogromna różnica: wyobrazić sobie najgorszy scenariusz, a dowiedzieć się od kogoś, że podobne zdarzenie zostało już przez kogoś zaplanowane.

– Chcą wytoczyć mu proces, ale to będzie kompletna szopka – kontynuowała Glass, a każde słowo najwidoczniej sprawiało jej ból. Wyjaśniła, że Rhodes miał zamiar zmusić Luke’a do wykonania wyroku śmierci na Bellamym. – Ale mu się to nie uda. Nie pozwolimy mu na to – dodała szybko. – Opuzczamy obóz, dzisiaj wieczorem. Dzięki temu zyskacie trochę czasu.

– Jak niby ma nam to pomóc?

– Jeśli nie będzie Luke’a, który według planów Rhodesa miał być katem podczas tej egzekucji, będą musieli wszystko na nowo przemyśleć. Problem nie zostanie w ten sposób całkowicie rozwiązany, ale może będziecie mieć chociaż jeden dodatkowy dzień, żeby znaleźć jakieś wyjście.

– Czy to... Czy dlatego odchodzicie? Dlatego, że Luke nie chce zabić Bellamy’ego?

Glass przytaknęła, a serce Clarke zalała fala wzruszenia i wdzięczności. Miała teraz ochotę chwycić dłoń koleżanki i błagać o wybaczenie za każdy drwiący komentarz, za każdą sytuację w szkole, gdy chichotała w duchu z kolejnej pomyłki Glass przy odpowiedzi. Nigdy przedtem nie zdarzyło jej się osądzić kogoś tak niesprawiedliwie. Nie była jednak w stanie się ruszyć ani wypowiedzieć choćby słowa. Wicekanclerz chciał zabić Bellamy’ego. Mają zamiar wywlec na środek polany chłopaka, którego kochała, wycelować karabin w najbardziej życzliwą,

najdzielniejszą osobę, jaką w życiu spotkała, i zakończyć jego życie jednym pociągnięciem palca.

Po chwili umysł Clarke wrzucił wyższy bieg. Poczuła, że górę biorą w niej inne emocje. O, nie. Tak się nie stanie. Zajmowała się na co dzień ratowaniem życia, więc nie będzie beczynnie stać i patrzeć, jak je komuś odbierają. Wymyśli sposób, by ocalić Bellamy'ego. Jeśli Glass potrafi zdobyć się na odwagę i uciec z obozu wraz z Lukiem, Clarke również zrobi to, co konieczne. Dotarło do niej, jak poważne plany snuje jej koleżanka.

– Glass, musi być jakiś inny sposób. Życie poza obozem jest zbyt niebezpieczne. Nie znacie terenu, a naokoło krążą ludzie, którzy... którzy źle nam życzą.

– Wells powiedział nam o wojowniczym odłamie Ziemi. Będziemy ostrożni, obiecuję – odparła Glass i przywołała na twarz wymuszony uśmiech, ale jej wielkie niebieskie oczy lśniły smutkiem. – Słuchaj, Clarke – powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu tamtej. – Nieobecność Luke'a w obozie nie sprawi, że Bellamy będzie bezpieczny. Znajdą innego kata.

Lekarka skinęła głową, próbując wymyślić jakieś rozwiązanie.

– Wiem. Myślę, że... mam pewien plan.

Pomyślała o kwaśnym oddechu Scotta i jego wścibskim wzroku. Zadygotała z odrazy, ale jednego była pewna: użyje wszelkich dostępnych sposobów perswazji, żeby skłonić Scotta do uwolnienia Bellamy'ego.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytała Glass z przejęciem. – To znaczy, zanim odejdziemy?

Clarke jeszcze raz przebiegła myślą plan formujący się w jej głowie, powoli przytaknęła, aż wreszcie wydusiła z siebie, o co chciałaby poprosić koleżankę. Przez sekundę obawiała się, że powiedziała zbyt wiele, ponieważ Glass wbiła w nią wzrok i intensywnie myślała. Potem jednak twarz dziewczyny rozjaśniła się, przybierając wyraz zrozumienia i determinacji. Najwyraźniej pojęła, do czego Clarke jest gotowa się posunąć, by uratować Bellamy'ego.

Mogła tylko mieć nadzieję, że to dobry pomysł.

ROZDZIAŁ 11

Wells

Kiedyś Wells nigdy nie objąłby dowództwa z własnej i nieprzymuszonej woli, ale z czasem jego poglądy na ten temat uległy zmianie. Gdy widział, że coś powinno zostać zrobione – robił to. Jeżeli uważał, że kto inny mógłby zrobić coś lepiej, sugerował mu takie rozwiązanie. Nie chodziło mu przy tym o władzę, tak jak Rhodesowi. Wells odkrył, że to po prostu najlepszy sposób, by utrzymać ludzi przy życiu.

Wszedł do magazynu i omiół badawczym wzrokiem sterty drobiazgów pozbieranych na miejscu lądowania. Wiedział, że Rhodes nie życzyłby sobie takiej inwentaryzacji zasobów, ale wicekanclerz był nieobecny przez większą część dnia, a Wells stwierdził, że w razie gdyby został przyłapany, wymyśli jakąś wymówkę. Musiał się czymś zająć, bo nie potrafił wytrzymać dłuższej beczynności na obozowej polanie. Poza tym widok uzbrojonych strażników przed nowym więzieniem przyprawiał go o mdłości. Głowił się, jak pomóc Bellamy'emu, lecz nie przychodziło mu na myśl nic, co mógłby powiedzieć Rhodesowi, żeby nie pogorszyć sytuacji.

Zanim więc nie wpadnie na pomysł, który pozwoli przeżyć zarówno Bellamy'emu, jak i jemu samemu, zajmie się inwentaryzacją.

W magazynie nie pozostało zbyt wiele zapasów, przygotowanych i załadowanych na lądownik pierwszej setki przez osobę, która zajmowała się tym zadaniem w Kolonii. Wyglądało to tak, jak gdyby człowiek ten nie wierzył, że zesłańcy przeżyją lot i lądowanie, a co dopiero miesięczny pobyt na Ziemi. Było tam więc trochę użytecznych rzeczy – skrzynka lekarstw i środków pierwszej pomocy, dwa pudła pasty proteinowej, dawno już opróżnione, kilka koców, zbiorników na wodę, naczyń kuchennych i broni. Na pokładach pozostałych lądowników było jeszcze mniej zapasów. Wells domyślał się, że to skutek szybkiego startu z „Feniksa”. Uciekający koloniści nie mieli czasu, żeby odpowiednio wyekwipować statki.

Jakimś cudem jednak zarówno setka zesłańców, jak i nowo przybyli poradzili sobie całkiem nieźle z tym, co mieli do dyspozycji. Przystosowali połamane fotele i fragmenty poszycia do nowych funkcji, zyskując tym samym wiadra do noszenia wody, prycze, krzesła i stoły. Użyli pasów i kabli do podwiązywania płótna i tapicerki, stawiając namioty i prowizoryczne plandeki nad posłaniami. Zbierali duże, szerokie liście, które mogli ususzyć i wykorzystać na wiele sposobów – jako surowiec do plecenia koszyków, a także zaimprovizowane talerze i miski. Używali wszystkiego, co tylko znaleźli, do gotowania, czyszczenia i ochrony przed pogodą. Rozmaitość rozwiązań, jakie ludzie wymyślali, żeby przeżyć, budziła najgłębszy szacunek Wellsa, który właśnie zaczynał pojmować, jak łatwe było życie w Kolonii.

Zaciszna chata, w której urządzono magazyn, była miłą odmianą po zamieszkaniu panującym na

zewnątrz. Wells nie spieszył się z inwentaryzacją, notując w pamięci, że muszą zacząć gromadzić więcej liści i chrustu na podpałkę. Zapasy jagód i jadalnych roślin wyglądały całkiem nieźle, a nowa grupa myśliwych przechodziła właśnie szkolenie łowieckie – co było jak najbardziej wskazane, biorąc pod uwagę to, że sporo czasu upłynie, zanim Bellamy będzie mógł znów ruszyć na polowanie.

Wstał i przeciągnął się. Usłyszał miękkie „łups” – odgłos uderzenia w ścianę budynku. Może to Felix przeciągał beczki na deszczówkę tak, jak go o to wcześniej poprosił? Wells wyszedł na zewnątrz, żeby zobaczyć, czy nie trzeba pomóc koledze. Skręcił za róg chaty i znieruchomiał. To była Kendall! Dziewczyna wydawała się na początku bardzo miła i poświęcała mu tyle uwagi, że zastanawiał się, czy czasem się w nim nie zakochała, ale przez ostatni tydzień jej zachowanie stawało się coraz dziwniejsze. Nic się nie zgadzało – ani jej dziwny akcent, ani historia jej Odosobnienia, bo za każdym razem opowiadała ją inaczej.

Nie to jednak martwiło Wellsa najbardziej. Dostawał gęziej skórki na myśl o Priyi, swojej przyjaciółce, która została brutalnie zamordowana i powieszona na drzewie. Wszyscy myśleli, że odpowiedzialni za tę zbrodnię są wrodzy Ziemianie, tak samo jak w przypadku Ashera, lecz szczegóły zdarzenia nie potwierdzały tej hipotezy. Priya została powieszona na linie pochodzącej z obozu setki zesłańców, a przerażające litery wycięte na jej stopach wyglądały zadziwiająco podobnie do napisu na jej nagrobku – kawałku drewna, który własnoręcznie przygotowała Kendall.

Wells myślał już, że dramatyczne wydarzenia wywołały u niego paranoję, ale jednocześnie w jego głowie rozlegał się głos ostrzegający, żeby nigdy nie tracić dziewczyny z oczu.

Stała tyłem do niego, pochylając się nad jedną z beczek na deszczówkę. Sięgała w głąb pojemnika.

– Cześć, Kendall – powiedział, starając się zachować naturalny ton.

Podskoczyła na dźwięk jego głosu i odwróciła się błyskawicznie z szerokim uśmiechem przyklepionym do twarzy.

– Och, cześć, Wells – odparła gładko.

– Co się dzieje? Coś nie tak z tą beczką?

– Nie, nic takiego. Sprawdzałam tylko, jak dużo deszczówki się w niej zebrało. Felix przytargał ją tu przed chwilą. Nie wiem, jak to zrobił, przecież są potwornie ciężkie!

– To nietrudne, jeśli pochyli się taką beczkę pod odpowiednim kątem – wyjaśnił Wells. – Po co sprawdzasz poziom wody?

Kendall popatrzyła w niebo i wyciągnęła przed siebie dłonie wnętrzem do góry, jakby sprawdzała, czy nie zaczyna padać.

– Nie wygląda, żeby dzisiaj miał lać deszcz, więc chciałam się upewnić, że mamy wystarczające zapasy.

Wells studiował jej twarz. Coś z tą dziewczyną nie grało – tak jakby jej naiwny głos i przeszywające spojrzenie należały do dwóch różnych ludzi, których przypadkowo połączono w jedną Kendall.

– Znalazłaś tam coś?

Zachichotała.

– W deszczówce? Nie, dlaczego?

– To po co w takim razie wkładałaś rękę do beczki?

– Wells, nie wiem, o czym mówisz. Nie wkładałam ręki do beczki.

– Kendall, widziałem, jak sięgałaś do środka.

Zmrużyła oczy i wyduła wargi. Przez moment, tak krótki, że Wells pomyślał, iż to wyobraźnia płata mu figle, zmieniła minę z niewinnej i zdziwionej na chłodną i wyrachowaną. Potem znów szeroko otworzyła oczy, uśmiechnęła się nieśmiało i wzruszyła ramionami.

– Wells, nie wiem, co mam ci powiedzieć. Nie sięgałam do beczki. Muszę już iść, żeby nie spóźnić się na polowanie z moją grupą.

I zanim chłopak zdążył powiedzieć choćby słowo, odwróciła się na pięcie i ruszyła biegiem ku środkowi obozu.

Wells poczuł się nieswojo. Coś było nie w porządku. Zajrzał do beczki, ale w środku zobaczył tylko krystalicznie czystą wodę, sięgającą mniej więcej do połowy wysokości pojemnika. Z frustracją klepnął dłonią w bok pojemnika i zdecydował, że musi opowiedzieć o wszystkim Rhodesowi. Ustalenie, czy mogą bezpiecznie pić wodę, było ważniejsze od głupiej walki o władzę.

Nietrudno było ustalić miejsce pobytu wicekanclerza. Musiał tylko wypatrzeć grupkę strażników posłusznie czekających na rozkazy. Przepchnął się pomiędzy nimi, przepraszając jednego lub dwóch, i stanął tuż za Rhodesem, który rozmawiał z Burnettem, swoim adiutantem.

– Sir? – zagaił Wells swoim pełnym szacunku głosem wyszkolonego funkcjonariusza.

Rhodes odwrócił się i zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Wydawał się zaskoczony, że znów go widzi.

– Tak, oficerze Jaha? Czym mogę wam służyć?

Wells poczuł na sobie zaciekawione spojrzenia strażników.

– Byłem świadkiem pewnego wydarzenia, o którym chyba powinien pan wiedzieć, sir.

– Doprawdy?

– Tak. Widziałem, jak pewna dziewczyna, Kendall, wrzucała coś do jednej z beczek na deszczówkę. Sądzę, że dodawała czegoś do naszych zapasów wody.

– A jak sądzą, czego dodała do naszych zapasów? – zapytał chłodno Rhodes.

– Nie wiem, sir, ale coś z tą dziewczyną jest nie w porządku. Wydaje się nieco... dziwna.

Rhodes zaśmiał się ironicznie.

– Dziwna?

Wells przytaknął.

Wicekanclerz przeniósł wzrok z Wellsa na Burnetta i z powrotem.

– No cóż, oficerze Jaha. Dziękuję wam, że podzieliliście się z nami tą wielce istotną informacją. Zadbam o to, by moi ludzie przeprowadzili drobiazgowe śledztwo w sprawie każdej osoby, która wygląda nieco dziwnie. Nie możemy wszak do tego dopuścić!

Zebrani wokół mężczyźni zachichotali. Wells poczuł, że palą go policzki.

– To nie żart – powiedział z mocą. – Ta dziewczyna coś knuje. Nie sądzą, żeby była tak niewinna, jak się wydaje.

Rhodes przygwoździł go lodowatym spojrzeniem i stwierdził:

– Zdaję sobie sprawę z tego, że krótki okres waszej służby w charakterze przywódcy tu, na Ziemi, był dla was niezwykle satysfakcjonujący, oficerze. Sądzą, że pewnego dnia, jeśli zdołacie utrzymać emocje na wodzy, być może znów obejmiecie dowództwo. Teraz jednak uważam za haniebne stawianie zarzutów niewinnej dziewczynie tylko dlatego, że chcecie się poczuć znów ważni.

Jeśli Wells odczuwał do tej pory zakłopotanie, w tej chwili ustąpiło ono miejsca czystemu obrzydzeniu. To nie on bawił się w nikczemne gierki – i nie on pozwalał, by władza uderzyła mu do głowy. Wicekanclerz ryzykował życie wszystkich kolonistów, i to z jakiego powodu? Ponieważ bał

się, że nastolatek zagraża jego pozycji? O, nie! Nie da Rhodesowi satysfakcji i nie okaże frustracji. Z trudem zignorował oskarżenia starszego mężczyzny i skupił się na niezbitych dowodach, tak by zmusić wicekanclerza do działania, niezależnie od osobistych animozji.

– Sir, zanim przybyła tu pańska grupa, zabito dwóch naszych ludzi!

– Tak, słyszałem o tych niefortunnych incydentach – odparł Rhodes i machnął lekceważąco dłonią.

– Rozumiem, że nie byliście wówczas odpowiednio chronieni. Teraz ustaliliśmy strefę bezpieczeństwa, która ustrzeże nas przed podobnymi wypadkami.

– Nie jestem pewny, w jaki sposób ta strefa uchroni kogokolwiek przed strzałą trafiającą w szyć, sir. Nie wiem również, jak strefa pomoże, jeśli wróg już zinfiltrował obóz. Moja przyjaciółka Priya została powieszona na drzewie jak zwierzę. Nie zdołaliśmy odkryć, jakim cudem ktoś mógł wkraść się do obozu, żeby jej to zrobić, i pozostać niedostrzeżonym. Sądzę jednak, że właśnie znalazłem rozwiązanie tej zagadki. Myślę, że winny nie przybył z zewnątrz tuż przed zabójstwem, a raczej był tutaj przez cały czas. Uważam, że to Kendall.

Wicekanclerz popatrzył na Wellsa, jakby chłopak był śmieciem, który przylepił mu się do buta.

– Dość. Przyjdźcie do mnie znów, oficerze, kiedy będziecie gotowi, by naprawdę pomóc. Nie mam czasu wysłuchiwać waszych urojeń i teorii spiskowych. Muszę zarządzać tą osadą. Jeżeli możecie nam zdradzić lokalizację obfitego źródła żywności, chętnie was wysłucham. A teraz odejdźcie.

Wells odmaszerował, nie mówiąc już ani słowa. Kiedy skręcał za róg najbliższej chaty, wpadł na kogoś.

– Przepraszam – powiedział, rozpoznając znajomą twarz.

Kendall. Stała tam przez cały czas i słyszała wszystko, co powiedział Rhodesowi. Wells przygotował się na gwałtowną wymianę zdań, ale, o dziwo, Kendall posłała mu tylko dziwny, nieodgadniony uśmiech, odwróciła się i odbiegła do lasu. Patrzył, jak znika między drzewami, a serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Instynktownie wyczuwał, że dziewczyna już nie wróci do obozu.

ROZDZIAŁ 12

Clarke

Clarke nie miała ochoty zdradzać Wellsowi wszystkich szczegółów planu uratowania Bellamy'ego. Potrzebowała pomocy swojego byłego chłopaka, ale wolała, żeby nie znał jej zamiarów w stu procentach. Zwłaszcza tej części, która zakładała niebezpieczny flirt ze strażnikiem-socjopatą. Tym bardziej jeśli wspomniany ekschłopak był opiekuńczym, czasem nawet przemądrzałym typem, a w dodatku, czystym przypadkiem – przywódcą pierwszej setki kolonistów.

– No to czego dokładnie ode mnie oczekujesz? – zapytał, mierząc ją podejrzliwym spojrzeniem, które nie pozostawiało złudzeń: doskonale wiedział, że dziewczyna nie mówi mu całej prawdy.

– Ktoś musi odwrócić ich uwagę, żebyśmy mogli niepostrzeżenie wymknąć się z obozu z Bellamym.

– Oczywiście, że potrafię odwrócić uwagę, ale jak właściwie chcesz się prześlizgnąć między wartownikami?

– Mam plan. Ufasz mi?

Wells westchnął i ze znużeniem przesunął dłonią po czuprynie.

– Oczywiście, że ci ufam, Clarke, ale nie rozumiem, czemu ty nie możesz zaufać mnie. Dlaczego nie powiesz mi, co się dzieje? Wiem, że jest twoim chłopakiem, ale także moim bratem!

To ostatnie słowo zabrzmiało w ustach Wellsa dziwnie, a mimo to poruszyło czułą strunę w jej sercu.

– Wiem. Dlatego właśnie musisz mi uwierzyć. Im mniej będziesz wiedział, tym większa szansa, że nam się uda.

Wells pokręcił głową, a potem uśmiechnął się do niej krzywo.

– Potrafiłabyś mnie przekonać do współdziałania w dowolnym przedsięwzięciu. Doskonale o tym wiesz, no nie?

Clarke wyszczerzyła zęby i odparła:

– Pewnie. A teraz muszę cię poprosić jeszcze o coś.

– Cokolwiek zechcesz, Griffin.

– Gdy tylko się stąd wydostaniemy, będziemy musieli dokądś pójść. Czy myślisz, że Sasha mogłaby poprosić swoich ziomków, żeby nas przyjęli? Przynajmniej na jakiś czas?

– Porozmawiam z nią – obiecał. – Jestem pewien, że się zgodzi.

Umówił się z Sashą, że codziennie w południe będą spotykać się w lesie. Przyjęli takie rozwiązanie tymczasowo, do momentu, gdy dziewczyna znów będzie mogła bezpiecznie odwiedzać obóz.

– Dzięki, Wells – powiedziała Clarke.

Jeszcze raz przebiegła w myślach punkty swojego planu. Niemal wszystkie części układanki były na miejscu. Żałowała tylko, że uciekając z obozu, straci kontakt z doktorem Lahirim. Nie mieli szansy dokończyć rozmowy, a wiedziała przecież, że chciał jej powiedzieć jeszcze coś na temat jej rodziców.

– O co ci chodzi? Coś nie tak? – zapytał Wells, widząc jej przejętą minę.

Zawsze potrafił odgadnąć, o czym myślała. Dzięki tej umiejętności ich związek z początku wydawał im się taki magiczny, a rozstanie było dla obojga tak bolesne.

– Poza tym, że muszę wlec Bellamy’ego w jego stanie, czyli z otwartą raną, przez las, żeby uciec od tego szaleńca Rhodesa?

– Tak, poza tym.

Opowiedziała mu, jak wyglądał doktor Lahiri i jak się zachowywał, kiedy zapytała go o rodziców. Zanosilo się jednak na to, że nie będzie mogła dokończyć tamtej rozmowy. Wells położył jej dłoń na ramieniu.

– Clarke, bardzo cię przepraszam.

– Ależ za co?

– Za wszystko. Za to, że byłem naiwny. Za to, że tak późno zrozumiałem, jakim chorym tyranem jest Rhodes. Naprawdę myślałem, że zrobi to, co powinien... i wyszedłem na głupka.

Clarke miała ochotę chwycić go w objęcia i przytulić – z wdzięczności za te słowa i ze współczucia. Wiedziała jednak, że miejsce w jego ramionach należy już do kogoś innego.

– Nigdy więcej nie przepraszaj za to, że dostrzegasz w ludziach ich najlepszą stronę. To wspaniała cecha.

Odwrócił wzrok i odchrząknął z zakłopotaniem.

– Bellamy jest moim bratem. Zrobię wszystko, żeby mu pomóc. Znów na nią spojrzał i tym razem dostrzegła w jego oczach iskrę, której nigdy dotąd tam nie widziała. – A jeżeli uda się przy tym podważyć autorytet Rhodesa, to jeszcze lepiej, bo wtedy upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

W ciągu następnej godziny Clarke zdołała umyć się w strumieniu i zmienić ubranie na nieco mniej brudne. Teraz mogła rozpocząć misję. „To tylko na pokaz – mówiła sobie w myślach i próbowała uciszyć mocno bijące serce. – Nic się nie stanie”. Uspokoiła się, powtarzając w kółko te same słowa, aż zaczęły uporczywie krążyć jej w głowie jak piosenka, której nie można przestać śpiewać.

Zatrzymała się raptownie. Scott stał oparty o ścianę magazynu, z kciukami założonymi za pas, i uśmiechał się wyraźnie zadowolony z siebie. Rozmawiał z jakąś dziewczyną z „Arkadii”, mniej więcej w wieku Clarke, o tym samym kolorze włosów i budowie ciała co ona. „Dobra, to już wiem, że jestem w jego typie – pomyślała. – Co za obrzydliwy facet!”

Clarke powoli zaczerpnęła powietrza, wzięła się w garść i przejrzała w myślach swój plan, po raz tysięczny mając nadzieję, że wypali, a ona nie przeżyje za chwilę najgorszego koszmaru w życiu.

– Cześć, Scott – rzuciła lekkim tonem, zbliżając się do magazynu.

Inaczej niż zwykle, nie unikała kontaktu wzrokowego i nie starała się przejść obok niego tak szybko, jak tylko się dało. Zamiast tego zmusiła się, by patrzeć mu prosto w oczy, przywołując jednocześnie na twarz promienny uśmiech, który równie dobrze mógł być wzięty za idiotyczny grymas.

– Cześć, lee-kareczko! – przeciągnął, mierząc ją wzrokiem.

Stojąca obok arkadyjka odwróciła się, by spojrzeć na Clarke, a gdy stało się jasne, że cała uwaga Scotta zwrócona jest gdzie indziej, odmaszerowała wściekła.

„Będzie twój, kochanie, gdy tylko dostanę to, czego potrzebuję”, pomyślała Clarke.

Adrenalina krążyła w jej żyłach. Zatrzymała się przed wejściem do magazynu, zaledwie kilka centymetrów od Scotta. Przyglądał jej się ze skupieniem, aż zaczęła się denerwować – strażnik wyraźnie coś podejrzewał. Czy Clarke zagrywała zbyt ostro? Flirtowanie nie było jej specjalnością. Czowała się dużo mniej skrępowana, korzystając z mikroskopu i skalpela niż z uśmiechu i eksponowania własnych wdzięków.

Usta Scotta rozchyliły się z zadowolenia, a brwi podjechały w górę, jak gdyby zadawał jej nieme pytanie.

– Czemu zawdzięczam ten honor? – zapytał na głos, otwierając przed nią drzwi.

– Chciałam tylko poszukać czegoś w magazynie – odparła. – Mógłbyś mi pomóc?

– Pewnie, nie ma problemu!

Podążył za nią do środka, zamykając drzwi z łomotem, od którego Clarke poczuła skurcz w brzuchu. Szła jednak dalej. Odgarnęła włosy na ramię i odwróciła się ku niemu.

– Słuchaj, chciałam cię przeprosić.

Wydawał się zaskoczony, ale po chwili uśmiechnął się kpiąco i rzucił:

– No coś ty. Za co miałabyś przeproszać, koteczku?

Ton jego głosu wywołał u niej gęsią skórkę, mimo to kontynuowała:

– Za to, że nie poświęciłam twojej kontuzji dość uwagi. Ja...

Nadszedł decydujący moment. Teraz nie mogła sobie pozwolić na pomyłkę. Obniżyła głos tak, by brzmiał bardziej seksownie:

– Wciąż jeszcze trochę się denerwuję, zwłaszcza w obecności... pewnych pacjentów.

– Tak? Jakiego rodzaju pacjentów? – zapytał i zdziwiony uniósł brew.

Zmusiła się, żeby położyć dłoń na jego ramieniu.

– Takich, przy których czuję się bardziej jak zadurzona uczennica niż prawdziwa lekarka.

Scott popatrzył na nią tak, że wyrażenie „oczy zaświeciły pożądaniem” nabrało dla Clarke całkiem nowego sensu. Gdyby to nie był akurat ten chłopak, takie spojrzenie pochlebiałoby jej. Poczowała wyrzuty sumienia, zdając sobie nagle sprawę z tego, że właśnie tak spoglądał na nią Bellamy.

– Naprawdę? – zapytał z niedowierzaniem, które jednak nie przeszkodziło mu objąć jej talii.

Skinęła głową, ignorując siłę, z jaką przyciskał ją do siebie, chociaż czuła się tak, jakby jego dłoń była pajakiem pełznącym jej po plecach.

– Wybaczysz mi? Obiecuję, że od tej chwili będę się zachowywać bardziej... profesjonalnie.

Scott położył drugą dłoń na jej biodrze, po czym pozwolił, żeby obie ześlizgnęły się na jej tyłek. Całą siłą woli powstrzymała się od ucieczki.

– Czy profesjonalizm nie jest czasem nieco przereklamowany? – zapytał.

Opanowała się i pochyliła ku niemu, żeby wyszeptać mu prosto do ucha:

– No cóż, w takim razie może przejdiesz się ze mną na spacer? W tym lesie są miejsca, gdzie jeszcze nie byłam, chociaż bardzo bym chciała...

Ścisnął ją przez chwilę mocniej, a potem wypuścił z objęć, posyłając równocześnie obleśny uśmiech.

– Pewnie, że tak. Chodźmy.

Wyszli z magazynu. Clarke miała nadzieję, że Scott nie zauważył, jak wcześniej zdrząła, kiedy

położył dłoń na jej plecach.

– Prowadź, lekareczko.

Odwróciła się ku ścianie drzew i w tym samym momencie zobaczyła, jak z lasu wychodzi Octavia, prowadząc za ręce dwoje małych dzieci. Ku przerażeniu Clarke siostra Bellamy’ego patrzyła prosto na nią, z wyrazem najczystszej pogardy na twarzy. Octavia nie wiedziała o jej planie wykorzystania Scotta i prawdopodobnie myślała, że dziewczyna właśnie jest na najlepszej drodze, by zdradzić jej brata z jakimś strażnikiem.

Clarke skrzyżowała z nią wzrok, żałując, że nie mają już implantów w rogówkach i nie może przesłać tamtej prywatnej wiadomości. Niestety, jedynym sposobem, żeby porozumieć się z kimś na Ziemi, była rozmowa, a to zaprzepaściłoby cały jej plan. Teraz miała Scotta na haczyku i nie mogła ryzykować, że się urwie. Nie chciała więc robić nic, co mogłoby wzbudzić jego podejrzania, a rozmowa z Octavią na pewno należała do tej kategorii. Clarke miała tylko nadzieję, że siostra nie dotrze do Bellamy’ego przed nią. Jeżeli tamta powie mu, co widziała, Bellamy nigdy nie ucieknie z obozu. Octavia odwróciła się i poszła do obozu.

Clarke patrzyła za nią, a potem wzięła głęboki oddech i odwróciła się z powrotem do Scotta. Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, potem musnęła dłonią jego dłoń, wskazała gestem w kierunku lasu i powiedziała niskim głosem:

– Chodź za mną.

Oczy chłopaka niemal wyszły z orbit.

– Idę, koteczku – wydyszał jej prosto w ucho.

Poczuła jego oddech, gorący i wilgotny. Powstrzymała mdłości i jeszcze raz powiedziała sobie w myślach, że jeśli nie uda jej się zrealizować tego planu, Bellamy umrze. Złapała Scotta za rękę i pociągnęła go między drzewa.

Prześlizgiwali się przez ciemny las, a gałęzie ocierały się o ich ramiona. Prowadziła strażnika w najgęstsze zakamarki, tam gdzie pnącza i liście tworzyły gęstą płataninę. Jeśli ktoś nadejdzie, usłyszą go na długo, zanim zostaną odkryci. Odwróciła się ku Scottowi, tymczasem on, podniecony do granic możliwości, nie zatrzymał się w porę i wpadł na nią. Chwycił ją w ramiona i przycisnął do siebie.

Nie marnował czasu. Clarke próbowała myśleć tylko o Bellamym. Przecież robiła to wszystko dla niego. Dla nich.

– Śpieszy ci się? – zdołała zapytać tuż przedtem, zanim spróbował ją pocałować.

Odruchowo odwróciła głowę, więc pocałunek zamiast na ustach wylądował na policzku.

– Od dawna chciałem to zrobić – powiedział Scott, łapiąc jej twarz obiema dłońmi i przekręcając ją ku sobie.

– A ja od dawna chciałam zrobić to – odparła Clarke, wznosząc dłoń ze strzykawką w powietrze.

Gdy ją energicznie opuściła, igła przebiła skórę. Nacisnęła mocno tłoczek kciukiem, aplikując porządną dawkę środka usypiającego prosto do jego żył. Przez sekundę strażnik patrzył na nią skonfundowany i wstrząśnięty zdradą. Potem puścił jej twarz i osunął się na ziemię z głuchym łomotem.

Clarke otarła rękawem zaślinioną od pocałunku twarz i przystąpiła do pracy. Klęknięta, by przeszukać kieszenie munduru Scotta, a potem zasobniki przy jego pasie. Dłonie jej się trzęsły, ale w końcu wyjęła ciężkie koło z kluczami, a potem zimny, gładki pistolet. Nie oglądając się na niego, wstała i podążyła z powrotem przez gęstwinę, pozostawiając go nieprzytomnego na ziemi. Wolała

być daleko, kiedy Scott się obudzi.

Zmusiła się, żeby już o nim nie myśleć, po czym przemknęła z powrotem na polanę. Rozejrzała się po obozie, sprawdzając, gdzie znajdują się strażnicy, a jednocześnie szukając wzrokiem Wellsa. Stał tam, gdzie się umówili. Clarke zamknęła oczy i wsłuchiwała się w odgłosy otaczającego ją świata. Tak, dosłyszała spomiędzy drzew niski gwizd – sygnał od Sashy. Ziemiańska dostała wiadomość. Nadszedł czas, by odejść z obozu.

ROZDZIAŁ 13

Bellamy

Po raz pierwszy w życiu odczuwał tak piekący i uporczywy ból. Cierpiał bardziej niż wówczas, gdy podczas bójki spadł ze schodów i złamał sobie obojczyk. Teraz czuł się tak, jakby we wnętrzu jego kości płonął żywy, pulsujący ogień. Oparł się bezwładnie o ścianę z zimnego metalu. Musieli postawić te ściany wokół niego, kiedy leżał nieprzytomny, ponieważ w obozie na pewno nie było takiej budowli, zanim go postrzelono.

Zaburczało mu głośno w brzuchu. Myśl o jedzeniu wywołała jednak dodatkową falę mdłości, odczuwalną nawet mimo bólu. Nie pamiętał, kiedy ostatnio coś jadł, przypominał sobie niejasno, że Clarke próbowała go nakarmić pastą proteinową, ale nie miał pojęcia, jak dawno to było.

Zacisnął powieki i spróbował myśleć o czymś innym, przywołując z pamięci ulubione wspomnienia o Clarke. Pierwszy pocałunek w lesie, gdy odłożyła na bok swoją opanowaną, poważną osobowość lekarki i zarzuciła mu ręce na szyję. Noc, kiedy pływał z nią w jeziorze, czując się tak, jakby cała planeta należała do niego i tej dziewczyny z kpiącym błyskiem w oku. Przypominał sobie nawet kilka poprzednich dni w chacie szpitalnej. Czuł wówczas, jak ból ustępuje za każdym razem, kiedy Clarke głaskała jego policzek lub całowała go w czoło, a potem – wbrew wszelkim medycznym procedurom – w szyję. Do diabła, trafienie pociskiem w ramię wydawało mu się chwilami całkiem opłacalne, jeśli dzięki temu Clarke myła go od czasu do czasu gąbką, dostarczając niezwykłych przeżyć.

Wspomnienia pozwoliły mu na chwilę odwrócić uwagę od cierpienia, które jednak powróciło ze zdwojoną siłą. Chciał podnieść rękę, żeby poprawić bandaż, i wtedy zdał sobie sprawę, że dłonie skuto mu za plecami i przymocowano do ściany. Jęknął i spróbował się przekręcić, żeby sprawdzić więzy. Przy poruszeniu ramię zapulsowało bólem, ale to nie ostudziło jego ciekawości. Nigdy wcześniej nie widział takich kajdanek. Lekkie, z cienkiej metalowej linki, która wyglądała na delikatną jak nitka, z płaskim zamkiem, łączącym obręcz. Spróbował je rozciągnąć, ale linka trzymała mocno. Poczuł, jak wpija mu się w skórę. Wydawało się, że napina się coraz mocniej, aż w końcu ściągnęła nadgarstki ciasno do siebie. Niebawem! Metal reagował na jego ruchy! Przez chwilę leżał nieruchomo, a wówczas kajdanki wyraźnie poluzowały pętlę, aż znów mógł w miarę swobodnie poruszać dłońmi.

Ramię paliło go, gdy wiercił się pod ścianą i próbował znaleźć wygodną pozycję. Stękając z wysiłku, umościł się w końcu, odchylił głowę do tyłu. Był wyczerpany, ale ból nie pozwalał mu przespać więcej niż kilka minut.

Wąskie smugi słonecznego światła docierały do wnętrza budy przez szpary pomiędzy metalowymi płytami, z których zbudowano ściany i dach. Oceniał kąt, pod jakim padało światło, i wsłuchał się

uważnie w głosy na zewnątrz. Starał się domyślić, w której części polany postawiono jego więzienie. Odległy stuk siekier rąbiących pnie na opał podpowiedział mu, że znajduje się daleko od zapasów drewna. Za ścianą, tuż obok niego, przeszła grupa chłopców plotkujących na temat jakiejś dziewczyny z „Waldena”. Oprócz ich głosów słyszał również chlupot wody przelewającej się w pojemnikach, co oznaczało, że więzienie zbudowano w pobliżu ścieżki prowadzącej do strumienia.

Wyteżył słuch, by zidentyfikować inne hałasy. Stukot drewna, energiczne trzepanie koców i plandek, głos nadgorliwego strażnika. Wśród tych wszystkich dźwięków nie było jedyne, którego Bellamy pożałował – głosu Octavii. Tak bardzo chciał usłyszeć siostrę, że powoli zaczynał odczuwać frustrację. Gdyby dotarło do niego chociaż kilka wypowiedzianych przez nią słów, potrafiłby rozpoznać, czy jest szczęśliwa, czy przerażona, bezpieczna, czy zagrożona. Nie rozpoznawał jednak żadnego z głosów niosących się po polanie. W obozie pełno było nowo przybyłych.

Bellamy nie miał już nawet sił, żeby się wściekać. Zależało mu tylko na Octavii, Clarke i Wellsie. Gdyby nie oni, nie dbałby o to, czy przeżyje, czy też umrze – czy zostanie stracony, czy może uwolniony, by spędzić resztę życia samotnie w lesie. Co jednak stanie się z jego siostrą, jeśli go zabiją? Kto o nią zadba po jego śmierci? Setka zesłańców uformowała społeczność rządzącą się własnymi prawami, ale teraz, kiedy przybyli inni koloniści, na czele z Rhodesem, prawa te uległy zawieszeniu. Wszystko mogło się zdarzyć. Nie miał pewności, czy ktokolwiek zajmie się Octavią w sytuacji, kiedy wszyscy byli zajęci sami sobą... zresztą podobnie jak w Kolonii.

Głośne łupnięcie w ścianę więzienia sprawiło, że Bellamy rzucił się w przeciwną stronę i w tej samej chwili poczuł palący ból w ramieniu.

– O rany... – jęknął.

Potem usłyszał szamotaninę i głośną kłótnię. Rozpoznał głos Wellsa.

– Zakładaj kajdanki – powiedział Wells tonem, jakiego brat nigdy jeszcze u niego nie słyszał, niskim i groźnym. – I to już! – warknął, po czym dodał: – Ani słowa. Jeżeli jeszcze raz otworzysz gębę, zastrzelę cię.

Bellamy nie znał Wellsa od tej strony. Natychmiast wyczuł, że jego przyrodni brat mówi poważnie. Niezwykle poważnie.

„Cholera, kanclerzyk zaczyna się zachowywać jak... hmm, wicekanclerzyk?”, pomyślał więzień.

Na zewnątrz zapanowała cisza. Strażnik najprawdopodobniej zastosował się do rozkazu Wellsa. Kilka sekund później drzwi więzienia stanęły otworem, a do środka wtargnęły dwie postacie – Wells z marsową miną i zaciśniętymi szczękami, a także zarumieniona, szybko oddychająca Clarke. Ruszyli ku niemu, a on poczuł ulgę, lecz także bezbrzeżne zdumienie. Czy przybyli, żeby go uratować? Ale jak, do diabła, tego dokonali?

Wezbrało w nim uczucie, którego wcześniej nie znał – wdzięczność. Nikt nigdy nie zdecydował się narazić dla niego na niebezpieczeństwo. Nikt nigdy nie pomyślał, że on, Bellamy, jest wart takiego ryzyka. Spędził całe życie, brawurowo chroniąc Octavię, ale nikt dotąd nie zrobił dla niego tego samego: nie przekazał mu swoich punktów przydziału ani nie wymykał się po godzinie policyjnej, żeby sprawdzić, jak się czuje podczas choroby.

A teraz byli tu oboje: dziewczyna, o której w Kolonii nie śmiałyby nawet marzyć, oraz brat, choć wcześniej nawet nie zdawał sobie sprawy z jego istnienia. Ryzykowali dla niego własne życie.

Clarke uklękła przy nim i powiedziała łamiącym się głosem, głaszcząc go po policzku:

– Bellamy, dobrze się czujesz?

Nigdy nie słyszał jej tak przerażonej, nigdy nie wydawała mu się równie krucha... mimo że trudno było to pogodzić z wizerunkiem dziewczyny zdecydowanej stawić czoła bandzie uzbrojonych strażników.

Bellamy skinął głową, a potem skrzywił się, kiedy Wells pociągnął za jego kajdanki, przeciągnięte przez kółko w ścianie.

– Jak zamierzasz je zdjąć? – zapytał ochrypłym głosem.

Strażnik na zewnątrz za chwilę zaalarmuje pozostałych. Jeżeli nie wydostaną się stąd szybko, żadne z nich nie dożyje najbliższego zachodu słońca.

– Nie martw się – odparł Wells. – Mamy klucz.

Clarke wyjęła z kieszeni płaski kluczyk, zrobiony z tego samego metalu co kajdanki.

– Ale jakim cudem, do cholery... Wiesz co? To nieważne. Nie chcę wiedzieć – zdecydował Bellamy. – Po prostu je zdejmij.

Wells wziął od niej klucz i zaczął grzebać przy bransoletkach. Clarke natomiast wykazała się swoim medycznym wykształceniem. Szybko zbadała ranę na jego ramieniu, mrużąc do siebie podczas odwijania bandaża. Bellamy nie mógł oderwać od niej oczu. Nawet ze zmarszczonymi brwiami, skupioną miną i cienką warstewką potu na twarzy wyglądała przepięknie.

– Zrobione – rzucił Wells, a kajdanki puściły. – Idziemy!

Objął Bellamy'ego ramieniem i dźwignął go do pozycji stojącej. Clarke wślizgnęła się pod drugie ramię rannego i pomogła mu przejść ku drzwiom. Gdy cała trójka do nich dotarła, podniosła dłoń, sygnalizując, żeby zaczekali, a sama zaczęła nadśledzać. Z początku Bellamy nie wiedział, na co czekają, ale w końcu usłyszał. Na zewnątrz rozległ się głośny trzask, a po nim – seria okrzyków z odległego krańca polany: „Atakują nas!” i „Strażnicy, do broni!”. Grupa mężczyzn przebiegła ciężko obok metalowej budy w kierunku zamieszania.

Clarke odwróciła się do Wellsa i uśmiechnęła szeroko.

– Udało jej się! Brawo, Sasha!

– Co zrobiła? – zapytał Bellamy i oparł się nieco mocniej na Wellsie. Od paru dni nie wstawał z łóżka i czuł, jakby zamiast mięśni miał galaretę.

– Przygotowała wśród drzew małą niespodziankę. Nie słyszysz? Brzmi to tak, jakby Ziemianie atakowali obóz. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Rhodes pošle wszystkich strażników w las, a my wymkniemy się z drugiej strony.

– Twoja dziewczyna to twardzielka, Wells – powiedział Bellamy ze słabym uśmiechem. – Ale czy potem da radę uciec?

– Na pewno sobie poradzi. Zaszyła się w lesie wystarczająco daleko, żeby jej nie złapali.

Clarke jeszcze przez chwilę stała przy drzwiach, nadśledzając, a potem niecierpliwie rzuciła:

– Spadajmy!

Wyślizgnęli się na zewnątrz. Droga była wolna. Wszyscy w obozie patrzyli w przeciwną stronę lub biegli w kierunku zamieszania. Bellamy, Clarke i Wells pośpieszyli za róg więzienia i – zanim ktokolwiek ich zauważył – zniknęli między drzewami.

ROZDZIAŁ 14

Wells

Szli w milczeniu. Słyszeć było tylko ich oddechy, a także trzask suchych gałązek i liści pod ich stopami. Wells, Bellamy i Clarke biegli, aż zmęczyli się tak, że w końcu zwolnili tempo do szybkiego marszu. Wells obejrzał się przez ramię, sprawdzając, jak czuje się jego przyrodni brat. Przestrzelone ramię bolało, ale Bellamy się nie skarżył. Wydawał się bardziej zaniepokojony losem Octavii niż własną raną.

– Ale czy na pewno nie pomyśli, że ją porzuciliśmy? – zapytał, pozwalając Clarke, by pomogła mu przejść przez omszały pień zagrządzający ścieżkę.

– Oczywiście, że nie – odparł Wells, zadowolony, że chociaż tak może pocieszyć Bellamy’ego. – Opowiedzieliśmy jej o planie, a ona się na niego zgodziła. Lepiej, żeby ktoś z nas pozostał w obozie i miał oko na Rhodesa.

– Poszłaby z nami, gdyby nie te dzieciaki – wtrąciła Clarke. – Tylko ona się nimi opiekuje. Swoją drogą, to zadziwiająco, że tak świetnie jej idzie.

Wells zauważył, jak strach na twarzy brata ustępuje miejsca dumie. Bellamy stwierdził:

– Zawsze wiedziałem, że to zdolna dziewczyna!

– Gdzie się umówiliśmy z Sashą? – zapytała Clarke, rozglądając się nerwowo.

Chociaż odwiedziła już wcześniej Mount Weather z Bellamym, Wells wiedział, że żadne z nich nie było pewne, czy trafiliby tam jeszcze raz.

– Znajdzie nas – odpowiedział.

Na drzewie tuż przed nimi coś zaszeleściło, a chwilę później z gałęzi zeskoczyła ciemna postać i wylądowała cicho tuż obok nich.

– Dobra, udało ci się nas wystraszyć – rzucił Wells z uśmiechem, kiedy Sasha podeszła do nich.

Wciąż nie przyzwyczał się do sposobu, w jaki potrafiła się zakamuflować w dowolnym otoczeniu. Czasem wydawało mu się, że dziewczyna zmienia kolor jak kameleony, o których czytał w dzieciństwie. Oczywiście nic podobnego się nie działo – w istocie chodziło raczej o to, że umiała doskonale znieruchomieć, prawie tak, jak gdyby przestawała oddychać. Stawała się po prostu częścią lasu.

Wziął ją w objęcia i zanurzył twarz w jej długich ciemnych włosach, które zawsze pachniały deszczem i cedrem.

– Dziękuję za pomoc – powiedział, obejmując dłońmi jej twarz i całując ją. – Było niesamowicie.

– To znaczy, że zadziałało? – zapytała Sasha, odwracając głowę, by spojrzeć na Clarke i Bellamy’ego.

– Zadziałało na sto procent! – odparł Wells.

– I co dalej? Jaki jest plan? – zadał pytanie Bellamy, któremu rana najwyraźniej doskwierała coraz bardziej.

Zbladł, a jego oddech stał się urywany.

– Zabieram was do Mount Weather – oznajmiła Sasha. – Zostaniecie tam tak długo, jak będziecie chcieli.

– Twój ludzie nie będą mieli nic przeciwko temu? – upewnił się Bellamy, przenosząc nerwowo wzrok z Clarke na Saszę.

Ta ostatnia pokręciła przecząco głową.

– Przecież to ja was przyprowadzę. Wszystko będzie dobrze – zapewniła.

– Nie powinniśmy tu dłużej stać – powiedział Wells napiętym głosem. – Jak tylko się zorientują, że nas nie ma, ruszą za nami.

– Bellamy, kochanie, możesz iść dalej? – zapytała troskliwie Clarke.

– Tak, wszystko w porządku – odpowiedział, unikając jednak jej wzroku.

Sasha ruszyła naprzód, szybko i po cichu, a oni podążyli za nią przez coraz ciemniejszy las.

– A ty? Dobrze się czujesz? – rzuciła w kierunku Wellsa, kiedy wysforowali się parę metrów przed pozostałymi.

Organizując w pośpiechu uwolnienie Bellamy’ego, nie mieli czasu porozmawiać o niczym innym poza szczegółami planu.

– Nie wiem – odparł.

Mówił prawdę. Wszystko działo się tak szybko, że nie miał czasu, by zastanowić się nad konsekwencjami ich działań. Owszem, sprzeciwili się Rhodesowi i uciekli z obozu, ale przecież Wells nie miał zamiaru stać bezczynnie i patrzeć, jak wicekanclerz z zimną krwią zarządza egzekucję jego brata. Mimo to trudno mu było się pogodzić z tym, że zostali zmuszeni do opuszczenia swojego nowego domu – domu, który sami zbudowali gołymi rękami, zaczynając od pustej polany.

– Ale ten stan nie będzie trwać wiecznie. Kiedy twój ojciec poczuje się lepiej, przyleci tutaj jednym z pozostałych lądowców i wszystko będzie dobrze.

– Niestety, nie będzie. Sasha, mój tato leży w śpiączce, a w Kolonii nie pozostał już ani jeden lądowca – odparł ostrym, gorzkim tonem.

Było mu wszystko jedno, bo sytuacja wydawała się beznadziejna. Chciał zaufać Rhodesowi? Co za idiotyzm! Powinien był zacząć działać szybciej, zanim jeszcze sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Tymi słowami mógł zranić kolejną dziewczynę – albo gorzej, sprawić, że poczułaby się winna i może nawet zaczęłaby go przeproszać, jakby zrobiła coś złego. Sasha jednak wzięła go tylko za rękę i ścisnęła pocieszająco. Mimo to świat nadal pogrywał sobie z nim nieuczciwie. Bellamy próbował ocalić siostrę. To przecież nie on pociągnął za spust, tylko jeden z ukochanych strażników wicekanclerza. Poza tym to ojciec Wellsa został postrzelony, a jeśli on sam nie uważał, że Bellamy powinien za to zapłacić, to kimże był Rhodes, by twierdzić inaczej?

„Właściwie – pomyślał z ponurym uśmiechem – kanclerz Jaha był również ojcem Bellamy’ego. Gdyby Rhodes to wiedział, prawdopodobnie dostałby palpacji”. Ta wizja bardzo spodobała się Wellsowi.

Sasha uniosła brwi, zaciekawiona jego miną.

– Właśnie wyobraziłem sobie, co by było, gdyby Rhodes dowiedział się, że jesteśmy z Bellamym braćmi – wyjaśnił.

– Pewnie miałby zawał. Czekaaj, to całkiem niezły plan! Wracam do obozu, wyrzaskuję tę wiadomość i czekam, aż facet padnie trupem. Problem rozwiązany – powiedziała ze śmiechem dziewczyna.

Ścisnął jej dłoń i stwierdził:

– Twoje pomysły nigdy nie przestaną mnie zadziwiać.

Szli dalej. Wells z roztargnieniem słuchał, jak Sasha opowiada o rozmaitych szczegółach otaczającego krajobrazu. W pewnym momencie Clarke zaczęła zasypywać ją pytaniami o gatunki zwierząt. Wells zauważył, że dziewczyna robi to głównie po to, by odciągnąć uwagę Bellamy’ego od trawiącego go bólu.

Zdawało się, że idą już od wielu godzin, gdy Sasha wskazała na małe wzniesienie, tak nieznaczne, że sami nigdy by go nie zauważyli.

– Tędy – powiedziała.

Podążyli za nią, ostrożnie odsuwając z drogi gałęzie. Wells poczuł, że grunt pod jego stopami powoli zaczyna opadać, więc zwolnił kroku, żeby nie rozpędzić się i nie wywrócić. Widok, jaki rozpostarł się przed nimi za zakrętem ścieżki, zaparł mu dech w piersiach. U stóp wzgórza, w rozległej dolinie stało miasteczko, takie jak to, o których czytał przez całe życie w książkach. Właśnie tak wyobrażał sobie osadę, którą chciał zbudować na Ziemi z setką zesłańców.

Nigdy nie widział na tej planecie niczego równie niezwykłego – takiego podziwu nie wzbudziły w nim ani ciągnące się po horyzont lasy, ani błyszcząca tafla jeziora, ani rozgwieżdżone niebo. Ziemia potrafiła być piękna na wiele sposobów. Nawet nie wyobrażał sobie wcześniej, jak wiele, ale to... to właśnie było prawdziwe życie. Wszędzie było widać jego oznaki: jaśniejące okna, za którymi przesuwwały się cienie mieszkańców, zwierzęta domowe z brzęczącą uprzężą, dym wydobywający się z dziesiątków kominów, w skomplikowanym tańcu zmierzający ku niebu, taczki chwiejące się na boki, tak jakby dopiero przed chwilą porzucono je pod płótem, piłki i zabawki, między którymi unosiło się jeszcze echo dziecięcego chichotu.

Wells zaśmiał się niepewnie, zaskoczony tym widokiem. Clarke popatrzyła na niego z uśmiechem.

– Nieźle, co? – zapytała.

Cieszył się z tego, że może dzielić z nią ten moment. Była jedyną osobą w Układzie Słonecznym, która wiedziała, jak wiele to dla niego znaczyło.

– Wygląda to... spektakularnie.

Sasha złapała go za rękę i ścisnęła porozumiewawczo.

– Chodźmy – szepnęła.

Poprowadziła ich ścieżką ze wzgórza na gruntową drogę biegnącą przez centrum osady. Wells chciwie wdychał aromaty pieczonego mięsa, a także czegoś lżejszego i słodszeo – czy ktoś piekł tu chleb?

Sasha podeszła ku frontowym drzwiom ostatniego domu w rzędzie i wmaszerowała do środka bez pukania. Podążyli za nią do pomieszczenia rozświetlanego przez małą lampkę i migoczący na kominku ogień. Pierwszą rzeczą, na jaką padł wzrok Wellsa, było wielkie olejne malowidło przedstawiające niebo rozświetlone gwiazdami. W Kolonii byłoby przechowywane za grubą kuloodporną szybą, być może w beztlenowej komorze, a tu po prostu wisiało sobie na ścianie, zaledwie kilka metrów od płomieni. Wellsowi wydawało się, że ich blask ożywia obraz. Takiego efektu nigdy nie udałooby się uzyskać z użyciem zimnego światła jarzeniówek na „Feniksie”. Tutaj gwiazdy wydawały się migotać, podobnie jak na prawdziwym niebie.

Oderwał wzrok od malowidła i spojrzął na siwobrodego mężczyznę, który właśnie powstał, by ich powitać. Stał teraz koło prostego drewnianego stołu pełnego elektronicznych części, z których większości Wells nie potrafił rozpoznać. Znajomy wydał mu się tylko staroświecki laptop z niedbale przymocowaną, sporą baterią słoneczną.

– Cześć, tato – przywitała się Sasha, występując naprzód i całując ojca w policzek. – Pamiętasz Clarke i Bellamy’ego, prawda?

Mężczyzna uniósł krzaczaste brwi.

– Jak mógłbym zapomnieć?! – Odwrócił się ku gościom i skinął głową. – Witajcie z powrotem.

– Dziękuję – odezwał się nieśmiało Bellamy. – Przepraszam, że znów pojawiając się w takim stanie.

Ojciec Sashy zerknął na jego grubo obandażowane ramię.

– Tak mi się wydaje, że to nie całkiem twoja wina, chłopcze, chociaż może i masz talent do pakowania się w kłopoty.

– „Talent” to właściwe słowo – powiedziała Clarke. – Dobrze znów pana widzieć, panie Walgrove.

– Tato, to jest Wells – rzuciła Sasha, rzucając swojemu chłopakowi ośmielające spojrzenie.

Wells wystąpił naprzód i wyciągnął dłoń.

– Miło mi pana poznać, sir.

– Ciebie też miło poznać – odparł ojciec dziewczyny i złapał jego rękę w mocny uścisk. – Mów mi Max.

Po czym zwrócił się do Bellamy’ego:

– A gdzie się podziała twoja siostra?

Wypowiedział słowo „siostra” zwyczajnie, nie krzywiąc się przy tym z pogardą, tak jak zrobiłby to wicekanclerz Rhodes. W tym świecie posiadanie rodzeństwa nie oznaczało, że rodzina zostanie napiętnowana jako nienormalna.

– Nie przyszła z nami – odpowiedział Bellamy, próbując zapanować nad głosem, ale jednocześnie rzucając Clarke niespokojne spojrzenie.

Sasha poprowadziła ich z powrotem na zewnątrz i wyjaśniła, że w tej chwili mają do dyspozycji tylko jedną wolną chatę, a w niej – pojedyncze łóżko. Wells szybko zdecydował, że powinien je zająć Bellamy, i pomógł Clarke doprowadzić go do nowego mieszkania. W tym czasie Sasha pobiegła po medykamenty dla młodej lekarki.

Kiedy już Clarke i Bellamy dotarli bezpiecznie do chaty, Sasha chwyciła dłoń Wellsa i splótła ich palce.

– No to... dokąd teraz? Możesz spać na podłodze w domu taty, albo, jeżeli nie przeszkadza ci chłód, zabiorę cię w moje ulubione miejsce.

– Hmm – powiedział, udając, że głęboko się zastanawia. – Mimo że nocowanie kilka metrów od twojego ojca brzmi zachęcająco, myślę, że wolałbym jednak opcję numer dwa.

Sasha uśmiechnęła się i poprowadziła go tą samą drogą, którą przyszedli, ku drzewom rosnącym pomiędzy ostatnimi domkami a wzgórzem. Tędy prowadził szlak do schronu pod Mount Weather.

– Mam nadzieję, że znajdę ją w ciemności... – rzekła, przesuwając dłońmi po pniu jednego z najgrubszych drzew,

– Jaką „ją”? – zapytał.

– O, właśnie tę! – oznajmiła Sasha triumfalnie. Bez oświetlenia Wells ledwie mógł rozróżnić

niewyraźny kształt drabinki linowej. – Chodź za mną – rzuciła i po cichu wspięła się na szczeble, znikając między gałęziami. Z góry dobiegł jej głos: – No, chodź, guzdrało.

Złapał z wahaniem za linę. Nie wyglądało na to, by miała utrzymać jego ciężar, ale teraz nie mógł już się wycofać, żeby nie wyjść przed dziewczyną na mięczaka. Odetchnął głęboko, postawił stopę na pierwszym szczeblu i zrobił wielki krok. Drabinka zakołysała się na boki, ale Wells zdołał się na niej utrzymać, krzywiąc usta, kiedy lina wrzynała mu się w dłonie.

Wspinał się, nie patrząc w dół, aż dotarł do małej drewnianej platformy, ukrytej w koronie drzewa. Sasha siedziała na niej, patrząc na niego kpiącym wzrokiem.

– Cudne miejsce – ocenił z uśmiechem. – Sama to zbudowałaś?

– Byłam wtedy jeszcze mała, więc ojciec mi pomagał.

– I nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy spędzili tu noc?

– Mój ojciec jest odpowiedzialny za całą naszą społeczność, więc wyobraź sobie, że jest zbyt zajęty, by przejmować się tym, gdzie śpię.

Wells prychnął.

– Żaden ojciec nie może być aż tak zajęty.

– Mówię ci, wszystko w porządku. Możemy oczywiście wrócić do domu, jeżeli poczujesz się tam lepiej.

– Nie, dzięki, tutaj czuję się swobodniej.

Przyciągnął ją do siebie, objął, a ona uśmiechnęła się i cmoknęła go czule.

– To dobrze.

– Tęskniłem za tobą przez ostatnich parę dni – stwierdził, kładąc się i pociągając ją za sobą.

– Ja też za tobą tęskniłam – odparła stłumionym głosem, przytulając się do niego.

– Dziękuję za wszystko. Nigdy nie chciałem cię obciążać własnymi problemami ani narzucać naszej obecności tutaj.

Sasha powoli usiadła i spojrzała na niego. Powiodła palcami po jego twarzy, a potem zmierzwiła mu pieszczotliwie włosy.

– Nie musisz mi dziękować, Wells. Chcę tylko, żebyście wszyscy byli bezpieczni.

– Wiem. – Chwycił jej dłoń i pocałował. – A więc... – dodał, rozglądając się naokoło – to wygląda na niezłe miejsce do spania.

– Jesteś zmęczony?

– Totalnie wyczerpany – odparł, kładąc dłoń na jej plecach i przyciągając ją do siebie, żeby znów pocałować. – A ty?

– Może nie aż tak bardzo zmęczona...

Pocałowała go po raz kolejny i cały świat odpłynął gdzieś daleko. Nie było już nowo przybyłych kolonistów, groźnych Ziemi ani Rhodesa. Tylko Sasha, tylko ich oddechy, tylko ich usta, szukające siebie w ciemności.

Poczuł nagle, że obóz oddala się o lata świetlne i wydaje się tak odległy, jak Ziemia w czasach, kiedy mieszkał jeszcze w Kolonii.

– Szaleję za tobą. Wiesz o tym, prawda? – wyszeptał, gładząc dłonią jej plecy.

– Dlaczego? Bo właśnie uwodzę cię na czubku drzewa?

– Ponieważ bez względu na wszystko przebywanie blisko ciebie sprawia, że jestem szczęśliwy. To szaleństwo, bo wszystko to dzieje się tak szybko... – wyjaśnił i pogłaskał jej policzek. – Jesteś jak narkotyk.

Sasha uśmiechnęła się.

– Chyba powinieneś popracować nad komplementami, kosmiczny chłopcze.

– Nigdy nie miałem powalającej gadki. Dużo lepiej wychodzą mi praktyczne pokazy tego, co mam na myśli.

– Och, naprawdę? – westchnęła, kiedy druga ręka Wellsa zaczęła wędrować po jej brzuchu. – Muszę uwierzyć ci na słowo... – Zadrżała, gdy jego palce znalazły się nieco niżej. – Okej, teraz to ty zacznasz doprowadzać mnie do szaleństwa.

– To świetnie – wyszeptał jej do ucha.

Może Ziemia nie okaże aż tak straszna, jak się obawiał. Z Sashą zawsze będzie czuł się tu jak w domu.

ROZDZIAŁ 15

Glass

Glass rozejrzała się wokoło. Po raz pierwszy od wylądowania odczuwała tak nabożną cześć dla ziemskiej natury. Światło słońca przesączało się przez korony drzew, rzucając na ziemię złote świetlne punkty jak tysiące małych klejnotów. Tak właśnie przez całe życie wyobrażała sobie Ziemię – spokojną i cudownie piękną.

Luke wziął ją za rękę, żeby pomóc jej zejść ze wzgórza stromym stokiem. W dolince płynął wąski strumyk o idealnie czystej wodzie, w której kołysało się tylko kilka czerwonych i żółtych liści. Kiedy do niego dotarli, Glass stanęła z wahaniem. Rozejrzała się w poszukiwaniu najlepszego miejsca do przeprawy. Zrobiła niepewny krok w kierunku wody, a wówczas Luke chwycił ją wpół zdrową ręką i przekroczył strumyk jednym susem, mimo że oboje dźwigali ciężkie bagaże.

Kiedy byli już po drugiej stronie, ostrożnie opuścił ją na ziemię, a potem znów wziął za rękę. Poszli dalej. Z początku gadali niemal bez przerwy, wykrzykiwali nazwy różnych drzew i pokazywali sobie tropy zwierząt. Po pewnym czasie umilkli jednak, zbyt poruszeni pięknem otaczającej ich przyrody, by znaleźć odpowiednie słowa. Glass czuła, że tak będzie lepiej. Wolała w milczeniu obserwować twarz Luke'a, rozjaśniającą się za każdym razem, gdy dostrzegał kolejny cud natury.

Trochę trwało, zanim tętno Glass wróciło do normy po ucieczce z obozu. Spokój lasu początkowo napełniał ją trwogą. Przerazało ją każde trzaśnięcie gałązki lub głośniejszy szelest liści. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim Rhodes zorientuje się w sytuacji i wyśle ich tropem grupę poszukiwawczą.

Jednak po kilku godzinach przestała się denerwować. Spodobał jej się milczący marsz przez las, tylko we dwójkę z Lukiem. Nie mogła uwierzyć, że wcześniej rozważali pozostanie w obozie. Tutaj powietrze było przesycone wonią mokrych liści i piżmowym aromatem kory. Docierało do niej tyle różnych bodźców, że trudno jej było ogarnąć je wszystkie naraz. Nie przypuszczała, że w porównaniu z Kolonią kolory na Ziemi mogą być tak jaskrawe i nasycone, a powietrze pachnieć tak słodko.

Szli przez większość wieczoru, potem położyli się spać i znów ruszyli, by uciec jak najdalej od Rhodesa, zanim ruszy za nimi w pogoń. Luke przystawał co pół godziny, wyławiał z kieszeni kompas i ustawiał go na ziemi, sprawdzając, czy idą dokładnie na północ, tak jak planowali. Sasha ostrzegła ich, że groźny odłam Ziemi ogłosił swoim terytorium znaczny obszar na południe od obozu kolonistów. Oczywiście nie mieli gwarancji, że na północy nie czyha na nich niebezpieczeństwo, ale mieli nadzieję, iż wędrowka w tym kierunku przynajmniej nie zaprowadzi ich prosto w paszczę lwa.

Drzewa rosły tutaj gęsto, a ich połączone korony niemal zasłaniały niebo. Mimo to bursztynowe światło przedostające się między gałęziami i coraz chłodniejsze powietrze niewątpliwie oznaczały, że dzień ma się ku końcowi.

– Chyba nam się udało. Jak myślisz, wyślą za nami pościg? – zapytała Glass znużonym tonem.

Strach i adrenalina, które trzymały ją na nogach przez cały poprzedni dzień, teraz zniknęły, więc czuła się wyczerpana.

– Nie wygląda na to – przyznał Luke z westchnieniem. Chwycił torbę Glass i zdjął ją z jej ramienia. – Odpocznijmy chwilę.

Odłożyli bagaże i podeszli do ogromnego drzewa o pniu pokrytym mchem, którego wielkie, poskręcane korzenie wystawały z ziemi na wszystkie strony. Luke podniósł ręce nad głowę i się przeciągnął, a potem położył między korzeniami.

– Chodź tu – rzucił, łapiąc Glass za rękę, i pociągnął na swoje kolana.

Roześmiała się i położyła mu dłoń na piersi.

– Mamy dla siebie całą planetę, a ty chcesz, żebyśmy usiedli razem?

– Nie mamy całej planety, ty mała imperialistko – odparł, bawiąc się kosmykiem jej włosów. – Musimy zostawić trochę miejsca dla Ziemiaków.

– Och, prawda – przytaknęła Glass z udawaną powagą. – W takim razie rzeczywiście lepiej oszczędzajmy miejsce.

Uśmiechnęła się i przełożyła jedną nogę tak, że teraz siedzieli twarzą w twarz.

– Podoba mi się ten plan – oświadczył, obejmując ją w pasie i przytulając.

Pocałował ją delikatnie w usta, a potem w podbródek, w szyję... Glass westchnęła cichutko, a on się uśmiechnął. Kolejny pocałunek trafił pod ucho, a potem Luke uniósł głowę i wyszeptał jej do ucha:

– I jak się czujesz, oszczędzając miejsce?

– Ma to... pewne zalety... – wymruczała, gładząc jego plecy.

Poważnie rzecz biorąc, czuła się znakomicie ze świadomością, że w promieniu wielu kilometrów nie ma nikogo innego. W Kolonii tysiące ludzi gnieździły się w przestrzeni przeznaczonej początkowo dla setek. Zawsze ktoś był na tyle blisko, żeby wszystko słyszeć i widzieć. Ciało ciągle ocierały się o siebie. Sąsiedzi wiedzieli o człowieku wszystko: jak się nazywa, czy ma rodzinę, co robi w pracy i po pracy. Tutaj nikt ich nie podglądał ani nie oceniał.

– Och, popatrz – powiedziała, wskazując ponad jego ramieniem na kiść małych różowych kwiatków, które dostrzegła dopiero teraz.

Odwrócił się i wyciągnął rękę po jeden z nich, ale kiedy jego palce już dotykały łodyżki, cofnął rękę.

– Jakoś nie wydaje mi się to właściwe – powiedział, zwracając się ponownie ku niej, trochę zmieszany.

– Zgoda – szepnęła i z uśmiechem przytuliła się do niego, pozwalając, by ją pocałował.

– Ale i tak szkoda – mruknął Luke. – Taki kwiat pięknie by wyglądał w twoich włosach.

– Wystarczy to sobie wyobrazić!

Pocałował ją jeszcze raz, a potem wsunął pod nią rękę i wstał, unosząc ją w górę.

– Luke! – Roześmiała się. – Co ty wyprawiasz?

Przeszedł kilka kroków i bez słowa opuścił ją delikatnie na trawę, tuż koło kępy kwiatów. Oddech Glass przyspieszył, gdy klękał koło niej. Żartobliwa mina gdzieś się ulotniła, teraz patrzyła na niego poważnie. Dotknął palcami jej włosów, a potem rozłożył je niczym wachlarz na różowych pączkach.

Serce jej przyspieszyło, lecz zmusiła się, by leżeć nieruchomo, gdy Luke pochylił się nad nią, by jeszcze raz ją pocałować. Rozchyliła lekko usta, a potem objęła go ramionami i przyciągnęła bliżej.

Zaczerpnęła powietrza, wdychając upajające połączenie zapachu kwiatów, aromatu leśnego powietrza i woni swojego mężczyzny.

– Powinniśmy ruszać dalej – powiedział w końcu Luke, patrząc w ciemniejące niebo. – Musimy znaleźć jakieś miejsce nadające się na nocleg.

Glass pozwoliła sobie na przeciągłe, zadowolone westchnienie.

– A nie możemy zostać tu na zawsze?

– Bardzo bym chciał, ale kiedy zapadną ciemności, nie będziemy tu bezpieczni. Powinniśmy znaleźć lepiej chronione miejsce.

Szli z nową energią przez kilka godzin, aż niebo zmieniło kolor z głębokiego, szarawego fioletu na aksamitną czerń. Nie było widać większości gwiazd, bo księżyc świecił tak jasno i rzucał na leśną ścieżkę przedziwne, piękne cienie. Wyglądało to tak cudownie, że Glass aż zabołało z zachwytu. Każdy nowy cud przypominał jej, jak bardzo tęskni za matką, której już nigdy nie zobaczy żywej.

Luke raptownie się zatrzymał i chwycił jej rękę. Przekrzywił głowę, nad słuchując, chociaż do uszu dziewczyny nie docierał żaden podejrzany dźwięk. Po chwili szepnął: – Widzisz to?

Z początku dostrzegła tylko cienie pomiędzy drzewami, ale kiedy pokazał, o co mu chodzi, dostrzegła mały budynek. W samym środku leśnej głuszy.

– Co to takiego? – zapytała zdenerwowana, gdy dotarło do niej, że może zawędrowali tam, gdzie nie powinni.

– Wygląda jak chatka – odparł, rozluźniając chwyt na jej dłoni.

Stąpając powoli i bezszelestnie, poprowadził ją ku budynkowi. Obeszli go szerokim łukiem, żeby dotrzeć do niego z boku. Nie była to chata z drewnianych bali, lecz mały kamienny domek, najwyraźniej w nienaruszonym stanie. Pnącza i mech porastały jego ściany, ale na pierwszy rzut oka było widać, że są solidne i dobrze zachowane.

Zatrzymali się kilka metrów przed nim. Nagły powiew zaszeleścił gałęziami drzew, a potem zapadła cisza. Oboje wstrzymali oddech, czekając na jakiś znak życia – ale się nie doczekali.

Luke podkradł się do drzwi, przyłożył do nich ucho, po czym otworzył je i wszedł do środka. Po chwili pojawił się ponownie, przywołując Glass gestem. Wzięła głęboki wdech, poprawiła torbę na ramieniu i przekroczyła próg. Przez popękane, zarośnięte kurzem okna dostawało się do środka dość światła, żeby mogli obejrzeć wnętrze.

– Och – wymamrotała Glass, na wpół z zaskoczeniem, na wpół ze smutkiem.

Wyglądało tu tak, jakby mieszkańcy domku wyszli na chwilę, lecz już do niego nie wrócili. Po przeciwnej stronie stało małe łóżko, a obok niego – stos drewnianych skrzyń zastępujący komodę. Wzrok Glass wędrował po wnętrzu, wyławiając z niego miniaturową kuchenkę jak dla lalek. Garnki i patelnie wisiały nad nią na gwoździach wbitych w ścianę. Przekrzywiony drewniany stół czekał na biesiadników przy kominku, na którym ogień wygasł już dawno temu. Obok stała miednica, a koło niej – stos czystych naczyń. Domek wyglądał, jakby od wielu lat czekał na powrót mieszkańców.

Podeszła do stołu i przesunęła dłonią po nierównym blacie. Na palcach pozostał jej kurz. Odwróciła się do Luke'a.

– Możemy tu zostać? – zapytała jakby z obawą, że domek w każdej chwili może zniknąć, okazać się ułudą.

Luke skinął głową.

– Myślę, że nawet powinniśmy. Miejsce wygląda na opuszczone, a na pewno jest tu bezpieczniej niż na zewnątrz.

– Świetnie – stwierdziła Glass, rozglądając się wokoło, wdzięczna losowi za nową szansę. Była gotowa, by rozpocząć zwykłą, domową krzątanie, która rozwiałaby uczucie samotności, zalegające tu warstwą grubszą niż kurz. Opuściła torbę na podłogę i ujęła dłoń Luke’a.

– Witaj w domu – powiedziała, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

Objął ją ramieniem i uśmiechnął się.

– Ty też witaj.

Wyszli na zewnątrz poszukać drewna na opał i sprawdzić, czy w pobliżu nie przetrwały jakieś zapasy, z których mogliby skorzystać. Za domem stała malutka, na wpół zapadnięta szopka, ale znaleźli tam tylko połamaną łopatę, zardzewiałą do tego stopnia, że nie nadawała się do niczego. Na szczęście na ziemi leżało dość suchych gałęzi, żeby nie potrzebowali siekierki. Jeszcze nie teraz.

W ciemności dosłyszeli słaby odgłos płynącej wody. Wzięli się za ręce i poszli w jego kierunku. Dom z trzech stron był otoczony drzewami, ale za nim grunt opadał stromizną w kierunku rzeki.

– Spójrz. – Luke wskazał kawał nierówno ociosanego drewna wystający z wody. – Wygląda na to, że wbili w dno rzeki jakiś pal. Ciekawe po co.

Złapał mocniej dłoń Glass i podszedł nieco bliżej, starannie wybierając drogę wśród cieni.

– Czy to... – zawiesił głos.

Przed nimi rysował się dziwny kształt składający się z ostrych krawędzi i zakrzywionych linii.

– To łódka, prawda? – zapytała Glass.

Podeszła jeszcze bliżej i dotknęła jej palcem. Burta łodzi była zimna, jak z metalu, ale wydawała się lżejsza. Kiedyś, dawno temu, była biała, lecz teraz większość farby się złuszczyła, pozostawiając wielkie plamy rdzy. Dziewczyna zerknęła do środka i zobaczyła na dnie coś, co wyglądało jak długa, płaska łopata.

– Myślisz, że nadaje się do użytku?

Luke obszedł łódkę z boku, przyglądając się jej uważnie.

– Chyba nie ma tu silnika, tylko wiosło. Myślę, że jeśli unosi się na wodzie, to można nią popłynąć. – Odwrócił się ku Glass i uśmiechnął. – Może spróbujemy, kiedy mój nadgarstek poczuje się lepiej?

– Hej, ale przecież ja mam dwie całkiem zdrowe ręce... No chyba że według ciebie się do tego nie nadają?

Luke objął ją zdrowym ramieniem.

– Wiesz doskonale, że według mnie nie ma zadania, którego byś nie potrafiła wykonać, moja mała kosmiczna spacerowiczko. Myślałem tylko, że byłoby romantycznie zabrać cię na mały rejs.

– Chyba że tak. To brzmi wspaniale.

Glass przytuliła go do siebie. Stali przez chwilę, podziwiając refleksy księżycowego światła na wodzie, a potem wrócili do domku.

Luke rozpałił w kominku, używając zapalek zabranych z obozu. W tym czasie Glass rozpakowała ich mizerne zapasy jedzenia. Oboje czuli, że byłoby nie w porządku, gdyby wzięli ze sobą racje żywnościowe na dłużej niż kilka dni.

– To kompletne wariactwo – powiedziała, podając mu suszony owoc ze swojej paczki. – Ten domek w środku lasu jest zupełnie jak z bajki.

Chłopak łyknął wody z manierki i przekazał ją dziewczynie.

– Chciałbym się dowiedzieć, co stało się z ludźmi, którzy tu mieszkali. Czy próbowali przetrwać kataklizm? A może zostali ewakuowani? – Rozejrzał się wokoło. – Wygląda na to, że opuścili to

miejsce w pośpiechu.

W jego głosie zabrzmiała nuta zadumy. Było jasne, że myślał o tym samym co Glass.

– Wiem, o co ci chodzi. To tak, jakby ten dom przechowywał ich wspomnienia jeszcze długo po ich odejściu.

Dzieci dorastające w Kolonii uważały, że wiara w duchy jest najgłupszą rzeczą na świecie, lecz na Ziemi, w tym domku, Glass zaczynała rozumieć, jak ktoś mógł uwierzyć w istnienie niematerialnych, nadnaturalnych istot.

– No dobrze, w takim razie do nas należy zastąpienie dotychczasowych wspomnień nowymi, radosnymi – rzucił przebiegle Luke. Zbliżył się do Glass i objął ją. – Nie jest ci ciepło przy ogniu? Nie chciałabyś zdjąć kurтки?

Glass uśmiechnęła się, kiedy rozpiął zamek błyskawiczny. Zamknęła oczy, a on zaczął ją całować, najpierw delikatnie i czule, po chwili nieco natarczywiej. Bardzo chciała zatracić się bez reszty w jego objęciach, lecz nie mogła pozbyć się myśli kielkującej w jej głowie: Luke się mylił. Nie można zastąpić smutnych wspomnień radosnymi.

Na tym polegał problem z cierpieniem. Nie dało się go wymazać z pamięci. Ktokolwiek go doświadczył, czuł je już zawsze.

Rytmiczny oddech Luke'a był jak kotysanka. Kiedy wdychał i wydychał powietrze, głowa Glass unosiła się i opadała na jego piersi. Zawsze zazdrościła mu umiejętności zapadania w głęboki sen – sen sprawiedliwego, jak mawiała jej matka. W głowie dziewczyny wirowały rozmaite myśli, zbyt szybko, by mogła zasnąć. Żałowała, że nie potrafi cieszyć się chwilą, rozkoszować w pełni obecnością chłopaka, ale nie umiała spojrzeć na niego bez uczucia smutku. Ich czas się kończył. Wkrótce będą musieli się rozstać, i to zanim jej chłopak odkryje tajemnicę, która mogła doprowadzić do śmierci ich obojga.

Łzy napłynęły jej do oczu. Była wdzięczna losowi, że Luke nie widzi jej twarzy. Nie wiedział, że ich wspólna przyszłość oznaczałaby tylko cierpienie i smutek. Oddechnęła głęboko kilka razy, żeby się uspokoić.

– Wszystko w porządku, kochanie? – wymamrotał przez sen.

– Świetnie – wyszeptła.

Wyciągnął rękę, nie otwierając oczu, przyciągnął ją bliżej i pocałował w czubek głowy.

– Kocham cię.

– Też cię kocham – zdołała powiedzieć, dopóki jeszcze była w stanie.

Po chwili poznała po rytmie jego oddechu, że znów mocno zasnął. Wzięła jego dłoń i ostrożnie położyła na swoim brzuchu, ciesząc się jej ciepłem na swojej skórze. Spojrzała na twarz Luke'a. We śnie zawsze wyglądał jak mały chłopczyk. Długie rzęsy spoczywały na jego policzkach. Gdyby tylko mogła mu powiedzieć o rosnącym wewnątrz niej dziecku!

Nie. Nie mógł się o tym dowiedzieć – nigdy. Glass jako siedemnastolatka miała cień szansy na ujęcie z życiem za złamanie Kodeksu Gai, ale dziewiętnastoletni Luke zostałby po prostu wyrzucony w próżnię – stracony po pobieżnym procesie. Musi więc od niego odejść, zerwać wszelkie kontakty, by nie doprowadzić do niego gończych psów rady.

– Przepraszam – wyszeptła, a po jej policzkach popłynęły łzy.

Zastanawiała się, jak bardzo będzie żałować tego wyboru.

Luke westchnął przez sen. Glass przekreśliła się i pogłaskała dłonią jego policzek. Szkoda, że nie może mu powiedzieć, o czym myśli. Podczas chaotycznej ucieczki z Kolonii i awaryjnego lądowania na Ziemi nie mieli czasu porozmawiać na temat ostatniej, druzgocącej rozmowy na statku. A może Luke chciał, żeby tak już zostało?

Glass próbowała ukryć ciężę, ale w końcu okazało się to niemożliwe. Złamanie surowych przepisów dotyczących kontroli populacji Kolonii było jedną z najpoważniejszych zbrodni, więc nawet po poronieniu Glass musiała stanąć przed obliczem kanclerza. Gdy naciskał, by ujawniła nazwisko ojca dziecka, spanikowała i skłamała. Zamiast Luke'a wyspała jego współlokatora Cartera, niebezpiecznego manipulatora, który pod nieobecność kumpla próbował ją zgwałcić.

Carter, mimo swojej podłości, nie zasłużył na śmierć, lecz właśnie tak się stało. Kanclerz przyjął, że zeznania Glass są prawdziwe, i uwięził ją, a Cartera skazał na śmierć. Rzekomego zbrodniarza ujęto i niezwłocznie wykonano wyrok.

Dziewczyna myślała, że nigdy nie zapomni wstrętu i wściekłości, jakie malowały się na twarzy Luke'a, kiedy odkrył prawdę. Mimo że jej wybaczył, martwiła się, że straciła coś, czego już nigdy nie odzyska – jego zaufanie.

Znów westchnął, objął ją i przyciągnął bliżej, nawet nie otwierając oczu. Uśmiechnęła się i pozwoliła, żeby uspokajające bicie jego serca zagłuszyło jej myśli. Przybywając na Ziemię, dostała szansę, by pozostawić za sobą potworną przeszłość i zacząć od nowa.

Zamknęła oczy i już zaczynała zasypiać, kiedy nagły hałas ją otrzeźwił. Usiadła i rozejrzała się po chacie. Czy ten dźwięk jej się przyśnił? Co to było? Odtworzyła go ponownie w pamięci – nie było to wycie zwierzęcia ani ludzki głos, a raczej jeszcze coś innego. Coś jak wezwanie, sygnał, ale bez słów. Jakaś... komunikacja? Nie miała jednak pojęcia, jakie stworzenia mogłyby się porozumiewać w ten sposób. Obóz był o wiele kilometrów od nich, a w tym miejscu nie dostrzegali żadnych innych śladów cywilizacji. Przebywali tu całkowicie sami. Zapewne był to tylko odgłos wiatru wpadającego przez komin albo coś w tym rodzaju. Nic, czym powinna się martwić.

Położyła się ponownie, przytuliła do ciepłego, rozluźnionego ciała Luke'a i w końcu zasnęła.

ROZDZIAŁ 16

Bellamy

Bellamy nie przywykł do beczynnego siedzenia na tyłku. Nie lubił czuć się bezradny ani bezużyteczny. Przyzwyczał się, że musi walczyć o wszystko, czego potrzebował – jedzenie, bezpieczeństwo, swoją siostrę i własne życie. Sytuacja, w której musiał polegać na innych ludziach, denerwowała go w najwyższym stopniu. Był jednak świadom, że kłopotów przysporzyły mu właśnie porywczy charakter i decyzje podejmowane pod wpływem impulsu. Gdyby nie próbował tak szaleńczo dostać się na pokład lądownika, którym posyłano Octavię na Ziemię, kanclerz – jego ojciec – nigdy nie zostałby postrzelony. A teraz, tyle tygodni później, Bellamy mógłby wylądować tu z drugą falą kolonistów jako pełnoprawny obywatel, nie jako skazaniec.

Usiadł na parkowej ławce w centrum miasteczka Sashy i Maksa i patrzył, jak grupka dzieci młodszych od niego o kilka lat idzie do szkoły. Trzech chłopaków rozdawało naokoło kuksańce, rzucając przy tym wyzywające okrzyki. Jeden z nich zaczął biec, a dwaj pozostali gonili go ze śmiechem. Nieco starszy chłopiec żegnał się właśnie z dziewczyną. Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo i pocałowali tak, że ktoś postronny mógłby się zarumienić.

Z drugiej strony nie miał wówczas pojęcia, że w Kolonii kończy się tlen i zaledwie parę tygodni po odlocie setki zesłańców nastąpi awaryjna ewakuacja. Nie zapowiadało się również na to, żeby dziewiętnastoletni sierota z „Waldena” miał szansę na miejsce w jednym ze statków drugiej fali... więc decyzja o wdarciu się siłą na pokład pierwszego lądownika okazała się koniec końców słuszną. W ten sposób mógł przypilnować siostry, a do tego poznać piękną, energiczną i onieśmielającą inteligentną dziewczynę, dzięki której każdy dzień zaczynał i kończył z głupawym uśmiechem zakochanego. To znaczy: wtedy, kiedy nie doprowadzała go do rozpaczyny niezrozumiałym postępowaniem.

Podniósł głowę i poszukał wzrokiem Clarke. Poproszono ją o zbadanie złamanego ramienia jakiegoś dziecka. W innych okolicznościach pobyt w miasteczku może by mu się nawet podobał. Panowały tu zarazem luz i porządek: każdy mieszkał we własnym domu i miał dość pożywienia dla siebie i innych, a nie było nadużywających władzy strażników, obserwujących ruchy wszystkich naokoło. Rządził tu ojciec Sashy, ale stylem sprawowania władzy w najmniejszym stopniu nie przypominał Rhodesa ani nawet kanclerza Jahy. Słuchał uważnie doradców i – o ile Bellamy był w stanie ocenić – poddawał najważniejsze decyzje pod głosowanie wszystkich mieszkańców. Chłopak uważał również za bardzo miłe, że nikt z nich nawet nie pomyślał, by wypominać mu posiadanie siostry. Tutaj wszyscy mieli rodzeństwo, im więcej, tym lepiej.

Mimo to panujący w miasteczku spokój w świetle ostatnich wydarzeń mógł okazać się złudny. Co się stanie, jeżeli Rhodes i jego ludzie przyjdą ich tropem? Co będzie, jeśli z powodu Bellamy’ego

idylliczna osada Ziemia stanie się sceną walk? Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby przez niego skrzywdzono niewinnych ludzi.

Zaczął niecierpliwie podrygiwać nogą. Od przybycia tutaj trzy dni wcześniej miał nerwy w strzępach. Nie wiedział, co robić. Max, Sasha i pozostali mieszkańcy opowiadali się za tym, by został z nimi. Chcieli go chronić. Nie było to w sumie takie złe – mieszkał pod prawdziwym dachem i jadł pyszne posiłki, a nie musiał przy tym tropić, polować ani własnoręcznie obdzierać zwierząt ze skóry... A w dodatku czasem jeszcze słyszał w głowie cichy głosik, mówiący, że właśnie za takim życiem tęsknił. Życzyłby sobie, by Rhodes o nim zapomniał, żeby przeszłość odeszła w niepamięć, a życie już zawsze było takie proste.

Uważnie przyjrzał się linii drzew i ścieżce prowadzącej do miasteczka, szukając wzrokiem jakichkolwiek intruzów. Nic. Od kiedy tu przybył, niemal nie zmrużył oka. Nie potrafił zasnąć. Wieczorami wyteżał słuch w oczekiwaniu zbliżających się kroków czy szelestu liści, który ostrzegłby go, że za chwilę nastąpi atak i sam zostanie pojmany.

Tak się nie dało żyć. Strach przed najgorszym dawał mu się we znaki, przez co nawet w tym sielskim otoczeniu zaczynał się czuć jak w areszcie. Od przybycia na Ziemię przywykł do spędzania samotnie w lesie przynajmniej kilku godzin dziennie. Ograniczenie się do spacerów po miasteczku było na pewno lepsze niż zamknięcie w puszcze statku kosmicznego, ale mimo to działało mu na nerwy.

Westchnął, odchylił się do tyłu na ławce i spojrzał prosto w błękit rozpościerający się nad jego głową. Co, do cholery, miał tu robić przez cały dzień? Nie mógł polować, nie mógł nawet sam zwiedzać okolicy. Dzieci musiały chodzić do szkoły, więc nie mógł z nimi grać w piłkę. Wszyscy mieli coś do roboty, tylko nie on. Rozejrzał się dookoła. Wszędzie było pełno ludzi zajętych swoimi sprawami – budowaniem, naprawianiem, czyszczeniem, doglądaniem zwierząt... Do tego wszyscy byli niebywale uprzejmi, aż czasem czuł się nieswojo. Każda osoba, którą mijał, życzyła mu dobrego dnia. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć ani nawet jaką minę zrobić – czy oczekiwali, że odpowie uśmiechem? Rzuci uprzejme „cześć”? A może wystarczyło po prostu skinąć głową?

Na szczęście wiedział, że z jego siostrą wszystko gra. Sasha już dwa razy zakradła się w pobliże obozu, żeby z daleka to sprawdzić, i przekazała Octavii wiadomość, że jej brat jest bezpieczny. Z jakiegoś powodu wicekanclerz postanowił nie mścić się na niej... przynajmniej na razie. Dlatego też Bellamy nie chciał zostawiać siostry samej dłużej, niż to konieczne. Nie mógł polegać na dobrej woli Rhodesa, jeżeli w ogóle istniała.

– Dobry! – rzucił Max, który podszedł do chłopaka tak cicho, że ten nie zauważył.

– Dobry! – odparł Bellamy, zadowolony, że ktoś odrywa go od wszystkich tych nieprzyjemnych myśli.

– Mogę się przysiąść?

– Pewnie.

Bellamy przesunął się, a starszy mężczyzna opadł na ławkę obok niego, trzymając w dłoni metalowy kubek, z którego unosiła się para. Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę, obserwując, jak ostatni spóźnialscy biegną do szkoły.

– Jak tam ramię? – zapytał Max.

– Lepiej. Dzięki, że daliście Clarke wszystkie te rzeczy. Wiem, jak są cenne, a przecież tyle już dla nas zrobiliście. – Umilkł, zastanawiając się, czy postąpi bardziej szlachetnie, czy może głupio, dzieląc się z Maksem swoimi obawami. – Myślę jednak, że nie powinienem sterczeć tutaj za długo.

– A dokąd chciałbyś odejść? – Max nie wydawał się zaskoczony, a Bellamy był wdzięczny, że tamten nie ocenia jego decyzji.

– Tego jeszcze nie przemyślałem. Wiem tylko, że nie mogę siedzieć i czekać, aż mnie dopadną. Nie mogę też pozwolić, żeby ktokolwiek z was ryzykował dla mnie życie albo zdrowie.

– Rozumiem, jak się czujesz, wiedząc, że są ludzie, którzy chcą cię skrzywdzić. Ale to nie oznacza, że mają prawo odebrać ci życie, chłopcze. Nikt nie ma takiego prawa – odparł Max, po czym umilkł na chwilę. – Weź też pod uwagę, że nikt z nas nie robi niczego, czego by sam nie chciał. Prawdę mówiąc, nie jestem przekonany, byś był gdziekolwiek bezpieczniejszy niż tutaj – ciągnął, wskazując głową las. – Są tu większe niebezpieczeństwa niż ten wasz Rhodes. Co wiesz o innych? – Max uniósł pytająco brwi. – O ludziach z miasteczka, którzy zdecydowali się odejść?

– Niewiele – przyznał Bellamy.

Kiedy był tu poprzednio, chcąc ratować Octavię, słyszał historię o kolonistach, którzy wylądowali na Ziemi jeszcze przed setką zesłańców. Ziemianie przyjęli ich do swojej wspólnoty i podzielili się żywnością, lecz nie wszyscy witali obcych równie gorąco, zwłaszcza że nowo przybyli pochodzili od ludzi, którzy kilkaset lat wcześniej uciekli statkami z umierającej Ziemi, pozostawiając innych na pewną śmierć.

Dwie grupy zawarły niepewne porozumienie – a potem wydarzyło się coś złego. Ziemskie dziecko zmarło w niejasnych okolicznościach i zapanował chaos. Część mieszkańców osady winiła za tę śmierć kolonistów, a także samego Maksa za to, że zgodził się, by obcy zamieszkali wśród miejscowych. Żądali odwetu, a gdy Max nie pozwolił im zabić kolonistów, odeszli z miasteczka, żeby zamieszkać gdzie indziej, gdzie nie sięgała jego władza.

Z tej zwariowanej historii wynikało również, że rodzice Clarke – których dziewczyna dotąd uważała za zmarłych, wyrzuconych z Kolonii w próżnię – przylecieli na Ziemię z ową pierwszą wyprawą, a po śmierci dziecka odeszli, zanim pozostałych przybyszów wygnano z ziemskiej osady.

Max pociągnął kolejny łyk swojego napoju.

– Dorastaliśmy razem, a potem wspólnie wychowywaliśmy dzieci. Myślałem, że dobrze ich znam. – Przerwał na moment, pozwalając, by przed oczami przepłynęły mu wspomnienia dawnych, dobrych czasów. – Teraz jednak ich nie poznaję. Ogarnęła ich obsesja na punkcie przemocy i posiadania. Ogłaszają swoją własnością coraz to nowe tereny. Powoduje nimi wściekłość i nie mają nic do stracenia, a przez to są bardzo, bardzo groźni.

– Czego właściwie chcą? – zapytał Bellamy, niepewny, czy chce poznać odpowiedź.

– Sam nie wiem... – westchnął Max i pogłaskał dłonią swoją siwą brodę. – Odwetu? Władzy? Czy moglibyście czegoś, czego tutaj nie mieliśmy?

Umilkli na chwilę.

– Clarke chce wyruszyć na poszukiwania rodziców – powiedział w końcu Bellamy.

– Wiem, ale to niebezpieczne. Jeżeli rozłamowcy są gotowi napadać na swoich byłych sąsiadów i przyjaciół, na pewno nie zawahają się przed zrobieniem krzywdy Clarke. A jeżeli dowiedzą się, że jest córką kolonistów z grupy, która u nas mieszkała... No cóż, nie chcę sobie nawet wyobrazić, czego mogliby się dopuścić. Griffinowie nie mieli nic wspólnego ze śmiercią tamtego chłopca, ale ci, o których tu rozmawiamy, nie kierują się rozsądkiem. – Max odwrócił się i spojrzał Bellamy'emu w twarz. – Myślisz, że twoja dziewczyna rozumie, z jakim ryzykiem wiążą się poszukiwania?

Chłopak pokręcił przecząco głową.

– Nie mam pojęcia, ale wiem jedno: nie zamierza tu siedzieć i czekać w nieskończoność. Chce

znaleźć rodziców, i to jak najszybciej. Próbowałem przekonać ją, żeby zaczekała, aż będę mógł się wybrać razem z nią. Musimy się najpierw zastanowić, dokąd mogli pójść, jednak Clarke jest zdecydowana, żeby wyruszyć jak najszybciej.

– Nie mam jej tego za złe – westchnął Max. – Też chciałbym ich znaleźć.

– Taak – przyznał Bellamy.

Świetnie wiedział, jakie to uczucie – rozpaczliwe, pierwotne pragnienie odnalezienia kogoś, kogo się kocha. Rozumiał, dlaczego Clarke chce zacząć poszukiwania, nie miał jednak zamiaru pozwolić, by przy tym zginęła.

Refleksje te przerwał nadbiegający w ich kierunku mężczyzna. Zatrzymał się przed nimi raptownie i wydyszał niemal bez tchu:

– Max, do miasta zbliża się grupa tamtych. Są jakieś sto metrów dalej, będą tu za parę minut. Aha: są uzbrojeni!

Serce podeszło Bellamy’emu do gardła. Poczuł, jak zalewa go fala wyrzutów sumienia. „Przyszli po mnie”, pomyślał.

Max skoczył na równe nogi i od razu zaczął wydawać rozkazy:

– Nadaj sygnał do wszystkich. Wyślij też grupę powitalną, żeby ich tu przyprowadziła. Mają ich przyjąć pokojowo!

Mężczyzna skinął głową i odbiegł wykonać polecenia, a Max zwrócił się do Bellamy’ego:

– Chodź za mną.

Chłopak próbował się uspokoić, ale czuł, jak narastają w nim wściekłość i strach – połączenie emocji, które zwykle popychało go do zrobienia czegoś głupiego. Potruchtał za Maksem ścieżką w kierunku ratusza, gdzie zbierali się już ludzie. Wielu z nich miało ze sobą strzelby i włócznie. Clarke, Wells i Sasha zjawili się tam kilka minut później, zaniepokojeni sytuacją, ale zdecydowani na wszystko. Sasha dołączyła do ojca na przedzie, a Wells i Clarke wmieszali się w tłum, by stanąć z tyłu, obok Bellamy’ego.

– Nie przejmuj się – powiedział do niego Wells, podczas gdy ludzie wokół nich szeptali niespokojnie. – Nie pozwolimy im cię zabrać.

Tym jednak Bellamy się nie przejmował, w każdym razie – nie najbardziej. Bardziej martwiło go, co się stanie, kiedy Ziemianie odmówią wydania go kolonistom, i co zrobi Rhodes, kiedy miejscowi mu się sprzeciwią.

Max uniósł dłoń i w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Jak większość z was już wie, nadchodzą goście! – zawołał władczym, spokojnym głosem. – Właśnie ich tu prowadzą. Przywitamy ich, wysłuchamy, czego chcą, a potem wspólnie zdecydujemy, co dalej.

Z tłumy uniósł się pomruk stłumionych pytań. Max znów podniósł rękę i wszyscy umilkli.

– Wiem, że macie masę wątpliwości. Ja też je mam. Zaczniemy jednak od wysłuchania przybyszów. Pamiętajcie, nie ma pokoju bez rozmowy w spokoju.

W sali ratusza zapadła pełna napięcia cisza. Kilka minut później paru Ziemian wprowadziło do pomieszczenia grupę strażników Rhodesa. Przy wejściu musieli oddać broń, ale poza tym w żaden sposób nie ograniczono im ruchów.

– Witajcie – zagaił Max.

Strażnicy milczeli, zachowując kamienne twarze. Rozglądali się tylko po sali, najwyraźniej oceniając ewentualne zagrożenia i planując kontrposunięcia.

– Proszę, rozgośćcie się i powiedzcie, z czym przychodzicie.

Przybysze wymienili spojrzenia. Najstarszy z nich, nazwiskiem Burnett, mężczyzna w średnim wieku, którego Bellamy pamiętał z więziennej chaty, wystąpił naprzód.

– Nie przyszliśmy tu, by skrzywdzić twoich ludzi – odezwał się zimnym, beznamietnym głosem.

Tak samo mówili inni strażnicy, zanim zawlekli więźnia do celi Odosobnienia, gdzie przepadał już na zawsze. Burnett rozglądał się teraz po pomieszczeniu, aż jego wzrok padł na Bellamy'ego. Chłopak napiął całe ciało, walcząc z pokusą, by rzucić się na oficera i zacisnąć mu dłonie na gardle.

– Mamy rozkaz, aby zabrać naszego więźnia z powrotem do obozu, to wszystko. Udzieliliście schronienia zbiegowi, który musi odpowiedzieć za swoje zbrodnie. Przekażcie go nam, a odejdziemy w pokoju – zakończył swoją przemowę.

Clarke złapała rękę Bellamy'ego i mocno ją ścisnęła. Wiedział, że poświęciłaby wszystko dla jego bezpieczeństwa, ale w tym momencie chciał tylko oszczędzić jej cierpienia.

Max zmierzył Burnetta uważnym wzrokiem, a po chwili rzekł:

– Przyjacielu, zdaję sobie sprawę, że przybyliście tu, by wykonać rozkazy. Nie mamy zamiaru sprawiać komukolwiek problemów – tu z nieodgadnioną miną rzucił Bellamy'emu spojrzenie ponad morzem głów – lecz, o ile dobrze rozumiem sytuację, ten więzień, jak go nazywacie, nie ma szans na sprawiedliwy proces. Jeśli wróci z wami do obozu, tak czy inaczej zostanie stracony.

Z tłumu rozległ się chór wstrząśniętych okrzyków i pomruk niezadowolenia. Ziemska kobieta stojąca w pobliżu Clarke i Bellamy'ego odwróciła się, by na nich popatrzeć, dostrzegła ich przerażone miny i splecione dłonie, a wówczas zmieszanie na jej twarzy ustąpiło miejsca determinacji. Trzej mężczyźni obok niej wymienili znaczące spojrzenia, po czym przesunęli się między ludźmi tak, żeby stanąć pomiędzy Bellamym i strażnikami.

– A nie interesuje nas posyłanie młodych ludzi na pewną śmierć – dokończył Max.

Burnett popatrzył na niego z rozbawieniem, a na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiešek.

– To nie była prośba z naszej strony – powiedział. – Rozumiecie, że wasza odmowa będzie miała poważne konsekwencje, nieprawdaż?

– Tak – odparł Max spokojnie, mimo że jego oczy wyglądały jak dwa kawałki lodu. – Przekazałeś to wystarczająco jasno. – Odwrócił się ku pozostałym Ziemianom. – Sądzę, że wyrażę zdanie wszystkich tu obecnych, jeśli powiem, że nie przyłożymy ręki do wykonania tego niesprawiedliwego wyroku. Wolałbym jednak, abyśmy podjęli tę decyzję razem.

Nastąpiła długa przerwa. Bellamy poczuł nagły niepokój, rozglądając się po twarzach Ziemian – w większości mu nieznanym – którzy mieli zadecydować o jego losie. Czy uczciwie było wymagać od nich tej decyzji? Prosić ich, by położyli na szali własne bezpieczeństwo, by go ochronić?

Przygotowywał się już, by wyjść naprzód i oddać się w łapy strażników, gdy Max odchrząknął i powiedział z namaszczeniem:

– Proszę o podniesienie rąk wszystkich, którzy uważają, że chłopaka należy przekazać naszym gościom.

Jeden ze strażników zachichotał, a inny zacisnął pięści, strzelając stawami. Najwidoczniej cieszyli się, wyobrażając sobie, jak przerażeni Ziemianie pozwalają, by Bellamy'ego spotkał ponury koniec.

Jednak ku zaskoczeniu chłopaka nikt nie uniósł dłoni.

– Co, do chole... – wyszeptał, nie kończąc, bo Clarke znów ścisnęła jego dłoń.

– A teraz proszę, by to samo zrobili wszyscy, którzy uważają, że Bellamy, Clarke i Wells powinni zostać tu, pod naszą ochroną!

Las rąk wystrzelił w powietrze, zasłaniając uciekinierom widok Maksa, Burnetta i pozostałych strażników. Bellamy poczuł, jak zalewa go potężna fala wdzięczności, pod naporem której ugięły mu się kolana. Przez całe jego życie w Kolonii dorośli nigdy nie wsparli go choćby symbolicznie, nie okazali mu cienia życzliwości. Nigdy, nawet wtedy, gdy on i Octavia głodowali. Ci Ziemianie jednak byli gotowi zaryzykować wszystko, i to dla kompletnie nieznanego człowieka.

Przez to sytuacja stała się jeszcze bardziej nieznośna. Byli dobrymi ludźmi i nie zasługiwali na to, by umrzeć dla jakiegoś chłopaka, który spędził dziewiętnaście lat, podejmując niemal wyłącznie katastrofalne decyzje.

Clarke objęła go w pasie i pochyliła ku niemu, pomagając utrzymać się na nogach.

– Wszystko w porządku – wyszeptała mu do ucha.

– Nie – wymamrotał pod nosem do siebie i do niej. A potem powtórzył, nieco głośniej: – Nie.

W panującym w sali gwarze nikt go nie usłyszał, z wyjątkiem Clarke i Wellsa. Dziewczyna puściła jego rękę, a Wells spojrzał na niego zmieszany.

– Bellamy, co ty wyprawiasz? – zapytała Clarke, otwierając szeroko oczy.

– Nie będę tutaj stał i patrzył, jak wszyscy ci niewinni ludzie ryzykują dla mnie swoje zdrowie i życie. Mają rodziny. Mają dzieci! Nie potrzebują takich cholernych problemów.

Wells podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Hej – powiedział. – Wyluzuj, chłopie. – Bellamy próbował strząsnąć z siebie dłoń brata, ale tamten mu nie pozwolił. – Czekaj, rozumiem, o co ci chodzi. Nie przywykłeś, żeby ktoś ci pomagał... Ale zauważ, że tym razem to już nie jest kwestia Odosobnienia za paserkę na bazarze. To wyrok śmierci. Rhodes ma zamiar cię zabić.

Bellamy pochylił się, położył dłonie na kolanach i kilka razy głęboko odetchnął, żeby się uspokoić. Wiedział, że współplemieńcy Maksa i Sashy wierzą w poczucie wspólnoty. Udowadniali to na co dzień, przejawiając wzajemną życzliwość, którą okazywali również trójce uciekinierów. Widział, z jakim szacunkiem przyjmują decyzje Maksa. Nie był jednak pewny, czy będzie w stanie unieść brzemię odpowiedzialności za ich hojność.

Clarke znów złapała go za rękę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Jeżeli nie chcesz tego zrobić dla siebie, to czy mógłbyś zrobić to dla mnie? Błagam.

Głos jej drżał i na jego dźwięk coś pękło w piersi Bellamy'ego. Nigdy nie widział Clarke tak bezbronnej, tak przerażonej. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby prosiła kogoś o cokolwiek. Jeżeli czegoś chciała, zwykle potrafiła sama się o to zatroszczyć. Tym razem to jednak nie wystarczyło. Potrzebowała pomocy.

– I dla mnie – dołączył Wells, klepiąc brata po zdrowym ramieniu.

Bellamy patrzył to na jedno, to na drugie. Jak to możliwe? Kiedy opuszczali z Octavią Kolonię, występowali sami przeciw całemu światu. A teraz pojawili się ludzie, którym na nim zależało. Miał wreszcie rodzinę.

– Dobrze – powiedział, kiwając głową na zgodę i równocześnie walcząc ze łzami wzruszenia, które natrętnie napływały mu do oczu. Po czym dodał z wymuszonym uśmiechem: – Ale tylko ten jeden raz! Jak jeszcze kiedyś ktoś skaże mnie na śmierć za to, że jestem narwanym idiotą, macie mu pozwolić, żeby wykonał wyrok!

– Umowa stoi – zgodził się Wells z uśmiechem.

– W żadnym razie! Jesteś moim narwanym idiotą – odparła kategorycznie Clarke.

Stała na palcach i pocałowała go. Bellamy objął ją i oddał pocałunek, zbyt poruszony sytuacją, by zwracać uwagę na łzy, które nabiegły mu do oczu.

ROZDZIAŁ 17

Glass

Glass otworzyła drzwi domku barkiem, ponieważ obie ręce miała zajęte. W jednej niosła wiadro wody z rzeki, w drugiej – torbę ze znalezionymi niedaleko jagodami. Położyła ją na nierównym stole, a wiadro z wodą postawiła koło miednicy. Bez zastanowienia sięgnęła na półkę po małą miseczkę. Byli tu zaledwie dwa dni, a już czuła się jak u siebie, tak jakby mieszkali tutaj z Lukiem od wielu lat.

Pierwszego ranka wyszli przed domek ostrożnie, wypatrując groźnych Ziemian, ale nie dostrzegli żadnych śladów innych ludzi. Pozwolili sobie odejść na kilka metrów od chatki w poszukiwaniu jedzenia, a w miarę jak czuli się coraz pewniej i swobodniej, podejmowali wycieczki na coraz dłuższe dystanse.

Oboje skupili się na wypatrywaniu nieprzyjaciół do tego stopnia, że niemal przegapili pasącego się w pobliżu jelenia. Glass podniosła głowę, żeby zawołać Luke'a, lecz zanim zdążyła otworzyć usta, zobaczyła stojące zaledwie o kilka metrów od niej zwierzę. Było młode i wyglądało przepięknie. Zastanawiała się, czy istniała jakaś specjalna nazwa dla małego jelenia. Miękkie, wilgotne chrapki drgały, kiedy nieufnie wachał powietrze, a wielkie brązowe oczy były zarazem słodkie i smutne. Glass ani drgnęła, w obawie, że go spłoszy. Chciała, by Luke również zobaczył jelenia, ale nie mogła się odezwać. Obserwowali się nawzajem przez dłuższą chwilę, aż w końcu pojawił się Luke i też dostrzegł zwierzę. Zamarł. Z jego miny jednoznacznie wynikało, że był pod równie wielkim wrażeniem jak ona.

Cała trójka stała bez ruchu, gapiąc się na siebie w milczeniu. Wreszcie daleki szelest z lasu sprawił, że jelonek błyskawicznie skoczył między drzewa. Kiedy zniknął, Glass westchnęła przejmująco.

- Coś niebywałego! – powiedziała z uśmiechem.
- Ano tak – zgodził się z nią Luke, przybierając jednak przy tym poważną minę.
- Co ci się nie spodobało? – zapytała, zaskoczona jego reakcją.
- Och, no bo... Chodzi o to, że jeżeli nie znajdziemy niczego innego do jedzenia, będziemy musieli, rozumiesz... – zawiesił głos.

Glass zamarła. Tak się dała oczarować jelonkowi, że nie pomyślała nawet, iż mogłaby być zmuszona go zjeść. Ta myśl sprawiła teraz, że jej żołądek wykonał salto.

- Hmm, na razie nie ma co się tym martwić – powiedziała. – Poszukajmy innego jedzenia.

Na szczęście znaleźli jagody i na pewien czas to wystarczyło. Glass wiedziała, że wkrótce się to zmieni. Tabletki do oczyszczania wody się kończyły, a w domku nie było garnka, w którym mogliby przegotowywać wodę. W nocy po podłodze przemykały dziwne stworzenia, budząc dziewczynę z głębokiego snu. Te odgłosy przyprawiały ją o gęsią skórkę. Luke śmiał się z jej obaw, kiedy

przysuwała się bliżej do niego i ciaśniej otulała oboje kocem. Ciągłe jednak powracały do nich dręczące pytania: co stanie się w najbliższej przyszłości? Czy będą mogli pozostać tu na dłużej? Czy samodzielne życie rzeczywiście było takie proste? Pamiętała ze szkoły, że na Ziemi zmieniają się pory roku. Piękne jesienne liście oznaczały, że niedługo nadejdzie zima, a w związku z tym muszą zaplanować, jak przetrwać mrozy. Glass starała się o tym nie myśleć – pewnego dnia i tak będzie musiała zacząć, a teraz chciała tylko żyć jak w bajce, w małym, czarodziejskim domku pod koronami wysokich drzew.

Luke wszedł do środka, tupiąc głośno, by pozbyć się błota z butów. Do jego gęstej, falującej czupryny przykleiło się kilka liści i igieł. Glass poczuła płynącą od niego falę świeżego sosnowego aromatu i wzięła głęboki wdech. Bliskość ukochanego mężczyzny i jego zapach sprawiały, że czuła dreszcz podniecenia.

– Kolacja? – podniosła miskę jagód z udawaną powagą. – Przygotowałam dzisiaj coś nadzwyczajnego.

– Ach, potrawka z jagód – zachwycił się, podejmując grę. – Moje ulubione danie. Czy to jakaś specjalna okazja?

Przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się łobuzersko.

– Może być i specjalna...

Luke przeszedł przez całe pomieszczenie kilkoma szybkimi krokami, objął ją i pocałował, a pocałunek ten trwał tak długo, jakby nie miał się nigdy skończyć.

Dużo później tego samego wieczoru przytuleni do siebie zasnęli przy ogniu. Glass szybko zapadła w sen. Z każdym wieczorem spędzonym w lesie czuła się coraz bardziej zrelaksowana. Niepokój i stres poprzednich kilku tygodni powoli ulatniały się z jej pamięci. Zaczęła sypiać coraz lepiej, a po każdej nocy budziła się bardziej wypoczęta. Najwyraźniej tego właśnie jej brakowało.

Kiedy zza okna rozległ się pierwszy hałas, Glass uznała, że to część jej snu. Obudziła się dopiero wówczas, gdy Luke gwałtownie usiadł, a potem wstał. Otworzyła oczy, błyskawicznie powracając do rzeczywistości. Ktoś się na nich gapił – w świetle dogasającego ognia dostrzegła, że to Ziemianin. Rozpoznała to po jego długich włosach i siermiężnym stroju. Żaden z kolonistów tak się nie ubierał. Strach posłał do jej żył falę adrenaliny, która po ułamku sekundy dotarła również do mózgu. Usłyszała dochodzący gdzieś z daleka wrzask przerażenia i dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że to ona sama tak krzyczy.

Luke zerwał się na równe nogi i sięgnął po broń, którą zabrał z obozu. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wyskoczył w ciemność, bosy i bez koszuli.

– Luke, nie! – krzyknęła za nim Glass z nutą desperacji w głosie. – Nie idź tam!

Ale on już zniknął za drzwiami. Fala paniki przygwoździła ją do podłogi, unieruchamiając skuteczniej niż jakiegokolwiek więzy. Zwalczyła ją jednak. Wybiegła za nim, potykając się i łapiąc spazmatycznie powietrze, żeby zawołać go jeszcze raz.

Na zewnątrz panowała ciemność i dopiero po chwili wzrok Glass przystosował się do niej. Poczowała gwałtowną ulgę, widząc Luke'a stojącego zaledwie kilka metrów dalej, tyłem do niej. Trzymał pistolet wysoko w powietrzu, z lufą skierowaną w niebo. Naprzeciw w półkolu stało trzech mężczyzn i kobieta, ubranych podobnie jak Sasha, w strojach ze skóry i z wełny, ale na tym podobieństwa się kończyły. Ich twarze wyglądały jak okrutne maski, a oczy lśniły czystą złościwością, gdy wymieniali między sobą rozbawione spojrzenia.

Stali tak naprzeciwko siebie bez ruchu, w milczeniu. Ziemianie dzierżyli włócznie gotowe do ataku, wydawało się, że czekają tylko na jakiś sygnał. Glass podbiegła do Luke'a, zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać. Złapał ją i pchnął za siebie. Poczwała, że chłopak ma mięśnie napięte do granic możliwości. Był gotów do walki.

Wysunęła zza niego głowę i odezwała się do Ziemian łamiącym głosem:

– Proszę... Nie chcemy nikogo zranić. Jesteśmy przyjaciółmi Sashy. Nie róbcie nam nic złego!

– Och, więc jesteście przyjaciółmi Sashy? – zadrwił ochryple jeden z mężczyzn. – Dobrze, w takim razie zabijemy was natychmiast, zamiast zostawiać na wpół żywych, żeby zwierzęta dokończyły dzieła. Potraktujcie to jako wyjątkową uprzejmość.

Luke spróbował odepchnąć ją dalej od siebie i napastników. Nastąpiła długa, przerażająca pauza, podczas której każda ze stron czekała, aż przeciwnik zacznie działać. W końcu jeden z Ziemian – mężczyzna, którego twarz widziała wcześniej w oknie – wystąpił naprzód i z agresją w głosie rzucił:

– Próbowaliśmy ostrzec waszych przyjaciół. Okazaliśmy litość, zabijając tylko jednego z nich. Zdawaliście sobie sprawę z tego, że jesteście niemile widziani, a jednak sprowadziliście tu jeszcze więcej ludzi! Dostyc tego!

– To nie tak! – wykrzyknęła Glass. – Nie wiedzieliśmy... Nie było sposobu, żeby porozumieć się z Kolonią. Więcej nas już tu nie przyleci, przysięgam!

W tym momencie głos odmówił jej posłuszeństwa, częściowo ze strachu, a częściowo dlatego, że zdała sobie sprawę z okrutnej prawdy własnych słów. Jeśli komuś nie udało się dostać do lądowika, zegnał się właśnie z życiem na jednym z trzech statków Kolonii.

Ziemska kobieta wykrzywiła się do niej dziko.

– Przysięgasz? Kiedyś już uwierzyliśmy w przysięgi nieznajomych i zapłaciliśmy za to najwyższą cenę!

Skinęła dłonią na mężczyznę, który wznosił włócznie i wycelował prosto w serce Luke'a.

– Stójcie! – wrzasnął Luke. – Proszę. Nie chcę nikogo skrzywdzić, ale mam broń. Nie zmuszajcie mnie, żebym jej użył.

Mężczyzna zawahał się, jakby rozważał słowa chłopaka, ale tylko przez moment, bo zaraz potem zrobił jeszcze jeden ostrożny krok naprzód.

Nagle padł strzał, aż Glass zadzwoniło w uszach. Ostre kłasnęcie odbiło się echem od pni drzew i wróciło do nich. Luke wygarnął w niebo, nie celując w Ziemian, lecz to wystarczyło, żeby ich wystraszyć. Rozbiegli się w podskokach, znikając w ciemności.

Na ten widok Glass poczuła tak wielką ulgę, że nie od razu zdała sobie sprawę z tego, co zaszło. W tej samej chwili, gdy Luke pociągnął za spust, kątem oka dostrzegła rozmazany ruch. Czy któryś z nich zdążył czymś rzucić? Odwróciła się ku swojemu mężczyźnie i zamarła w przerażeniu. Stał naprzeciwko niej zaskoczony, z szeroko otwartymi oczami. Z jego ust nie dochodził żaden dźwięk. Podążyła wzrokiem w dół ciała, poprzez opuszczone ramiona aż do dłoni, ciasno obejmujących lewą nogę. Spomiędzy palców ciekła obficie krew, a tuż obok jego stopy leżała włócznia.

– Luke! – wykrzyknęła. – Luke, nie!

Opadł na kolana.

Podbiegła, rzucając się koło niego na ziemię. Złapała go za ramię, jakby próbowała zatrzymać go przy sobie i nie dać mu odejść tam, gdzie nie będzie mogła za nim podążyć.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała, żałując, że nie potrafi całkowicie pozbyć się paniki z głosu. Dla dobra Luke'a musiała się uspokoić i wymyślić, jak mu pomóc. – Chodźmy do domku.

Spojrzała w dół i zbladła. Nawet w słabym świetle księżycy widziała, jak trawa wokół nogi chłopaka barwi się ciemną czerwienią.

Wzięła go pod ramię i spróbowała pociągnąć, ale zatrzymała się, kiedy zareagował okrzykiem bólu.

– Pomóż mi wstać – jęknął przez zaciśnięte zęby. – Resztą zajmiemy się w środku.

Oparł się na ramieniu Glass i wstał na jednej nodze. Dziewczyna usiłowała utrzymać nerwy na wodzy i zapomnieć o tym, że od najbliższego punktu, gdzie mogli otrzymać pomoc lekarza, dzielili ich dwa dni marszu. Jak mogli być tak lekkomyślni, żeby oddalić się samotnie od obozu?

– Nie martw się – wycedził Luke, krzywiąc się przy każdym skoku. Próbował jednocześnie dostrzec w ciemności wśród drzew jakiegokolwiek sygnały obecności Ziemian. – Nie jest tak źle... – Ale nawet on nie potrafił udawać, że się nie boi.

Oboje wiedzieli, że kłamie. Wiedzieli też, co się stanie, jeżeli jego rana szybko się nie zagoi.

Glass zostanie całkiem sama. W środku lasu, otoczona przez wrogów.

ROZDZIAŁ 18

Clarke

Nastrój w miasteczku Ziemiaków zmienił się diametralnie. Słońce zachodziło za horyzont, a wraz z nim zniknęło gorączkowe podniecenie, które sprawiło, że podczas konfrontacji z ludźmi Rhodesa wszystkim mieszkańcom krew szybciej płynęła w żyłach. Poza tym nic się nie zmieniło: współplemieńcy Maksa i Sashy wciąż byli przekonani, że należy chronić Bellamy'ego. Nawet jeżeli wcześniej nie zdawali sobie z tego sprawy, spotkanie ze strażnikami uzmysłowiło im, jak niebezpiecznie byłoby zgodzić się na żądania kolonistów. Twarze im spoważniały, zaczęli rozmawiać ściszymi głosami, pośpiesznie zaganiaли dzieci do domów i ryglowali drzwi.

Clarke siedziała przed chatą, ścigając się ze słońcem. Chciała ponownie założyć Bellamy'emu szwy pozrywane w trakcie ucieczki i bała się, że nie zdąży tego zrobić za dnia, a w sztucznym świetle będzie to bardzo utrudnione.

– Zdejmij koszulę – poleciła, gdy usadowili się na kępie trawy, na którą padały jeszcze słoneczne promienie.

Chłopak wydawał się zaskoczony. Uniósł głowę i rozejrzał się, czy w pobliżu nie ma innych ludzi.

– Co? Tutaj?

– Tak, tutaj. W chacie jest za ciemno – odparła, a gdy dalej się wahał, uniosła brwi. – Ho ho, od kiedy to Bellamy'ego Blake'a trzeba dwa razy prosić, żeby się rozebrał?

– Clarke, daj spokój. Miejscowi i tak myślą, że jestem szalonym uciekinierem, przez którego wszystkich ich pozabijają. Naprawdę muszę być jeszcze do tego półna gima szalonym uciekinierem?

– Tak, chyba że chcesz zostać martwym półnagim uciekinierem. Muszę poprawić te szwy.

Westchnął dramatycznie, złapał zdrową ręką za brzeg koszuli i ściągnął ją przez głowę.

– Dziękuję – powiedziała Clarke, powściągnając uśmiech.

Bellamy jako pacjent zachowywał się niemal tak samo jak dzieci, którymi zajmowała się kiedyś w centrum medycznym Kolonii. To w nim najbardziej kochała. Potrafił w jednej chwili być myśliwym lub uzbrojonym w łuk wojownikiem, a w następnej – psotnym dzieckiem chlapiącym się w strumieniu. Uwielbiała te nagłe zmiany ról. Świadczyły wszak o tym, że jej chłopak stara się w pełni korzystać z życia. Ostatnie tygodnie na Ziemi były wyczerpujące, przeżyli wiele przerażających przygód, ale zdarzyły się w tym czasie także chwile doprawdy magiczne. Nauczyła się oglądać nieujarzmioną przyrodę planety romantycznymi oczami Bellamy'ego. Większość zesłańców wolała wieczorami plotkować przy ognisku, ale on preferował towarzystwo drzew zamiast ludzi. Clarke kochała spacerować z nim po lesie, patrząc, jak porzuca maskę aroganta i rozgląda się wokoło z zachwytem, podziwiając piękno natury.

Tymczasem kazała mu się położyć, a sama nawlekła igłę, którą właśnie wysterylizowała nad

ogniem.

– Chcesz, żebym się zorientowała, czy mają tu środki przeciwbólowe? – zapytała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Zamknął oczy i pokręcił głową, mrużąc:

– Nie, już i tak sprawiam im dość kłopotów. Nie chcę jeszcze używać ich lekarstw.

Clarke zacisnęła usta, ale zdecydowała, że nie rozpocznie dyskusji na ten temat. Wiedziała, że nie należy spierać się z Bellamym, gdy się przy czymś uparł. Ścisnęła jego ramię, żeby się nie ruszał, ale też i po to, by się uspokoić.

– Dobrze. Głęboki wdech, poproszę.

Przekłuła igłą skórę, próbując nie zwracać uwagi na jego reakcję. Bellamy wzdrygnął się i syknął z bólu. Mogła tylko postarać się zszyć ranę szybko i dokładnie – tak, by skrócić całą procedurę do minimum.

– Świetnie to znosisz – powiedziała, wyciągając igłę i przygotowując się do założenia następnego szwu.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że nieźle się przy tym bawisz – wycedził w odpowiedzi przez zaciśnięte zęby.

– Jak tam, wszystko w porządku? – zawołał ktoś.

Clarke nie odwróciła głowy, ale usłyszała głosy zbliżających się Maksa, Wellsa, i być może także Sashy.

– Super! – odparł Bellamy, zanim zdążyła odpowiedzieć. – Clarke folguje swoim sadystycznym instynktom. Normalna... – Tu znów głośno jęknął. – Pozwalam jej to robić co wieczór...

– Nie ruszaj się – przerwała mu dziewczyna. Delikatnie ściągnęła nić i spojrzała z satysfakcją na napiętą skórę. – Bo inaczej ręka mi się może omsknąć i jeszcze przypadkiem zaszyję ci buzię.

Sasha stwierdziła ze śmiechem:

– Ale z was dziwna para!

– ...powiedziała ziemską laską, której chłopak spadł z nieba – zdołał zaripostować Bellamy przez zaciśnięte zęby.

Clarke zawiązała nitkę i oderwała nadmiar. Ścisnęła kolano pacjenta, dając mu do zrozumienia, żeby siadł.

– Zrobione.

Spojrzał na szwy i skinął głową z uznaniem.

– Dobra robota, pani doktor – powiedział tak głośno, żeby wszyscy usłyszeli, a potem uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie. – Dziękuję – wyszeptał, pocałował ją w czubek głowy i sięgnął po koszulę.

– Powinniście schować się już pod dach – poradził Max, patrząc w kierunku drzew otaczających miasteczko. – Nie sądzę, żeby wasi ludzie mieli zamiar przedsięwziąć cokolwiek dziś wieczorem, ale gdyby jednak, to nie ma najmniejszego powodu, żeby ułatwiać im robotę.

Wells odchrząknął.

– Właśnie chciałem o tym z tobą pogadać. Orientujesz się równie dobrze jak ja, że to tylko kwestia czasu, zanim strażnicy wrócą, najprawdopodobniej w większej liczbie i z bronią. Z tego, co wiemy o wicekanclerzu, nie będzie się specjalnie przejmował, jeśli w walce ucierpią niewinni ludzie. Zapewne uważa, że udzielając schronienia Bellamy'emu, wypowiedzieliście mu wojnę. – Przerwał i spojrzał na Sashę, która skinęła głową. – Myślę, że bezpieczniej byłoby się przenieść do

środku. Pod ziemię – do schronu pod Mount Weather.

Max spojrział na niego.

– Pod ziemię... – powtórzył kwaśno, ściągając usta tak jak Rhodes, wymawiający słowo „siostra”.

– To potężna forteca, prawda? – zapytała Clarke. – Jeżeli mogła wytrzymać wybuchy o mocy setek kiloton, a potem dziesiątki lat promieniowania, to na pewno wytrzyma atak kilku strażników.

Max posłał Sashy spojrzenie, którego Clarke nie zrozumiała, ale na tyle wymowne, by nerwowo przygryzła wargę. W końcu przemówił napiętym głosem:

– Doskonale znamy możliwości Mount Weather. Nasi przodkowie mieszkali tam przez stulecia, chowając całe pokolenia swoich zmarłych. Żyli i umierali w schronie, nie oglądając nawet skrawka nieba. Kiedy w końcu wróciliśmy na powierzchnię, przysięgliśmy, że już tu pozostaniemy i nigdy nie pozwolimy, by cokolwiek – ani ktokolwiek – znów zmusiło nas do zejścia pod ziemię.

Clarke, która przez całe życie mieszkała na stacji kosmicznej i wciąż jeszcze czuła dreszcz podniecenia, biorąc co rano po przebudzeniu haust rześkiego porannego powietrza, doskonale rozumiała punkt widzenia Maksa. Jeśli jednak alternatywą byłoby żyć pod ziemią lub umrzeć na powierzchni, wiedziałyby, co wybrać.

– Rhodes nie zrezygnuje, dopóki nie dostanie tego, czego chce – powiedziała. – I nie dba o to, ilu waszych ludzi będzie musiał zabić przy okazji.

Twarz Maksa stężała.

– Odpieraliśmy już ataki i wiemy, jak się bronić – oznajmił.

– Z takimi napastnikami jeszcze nie walczyliście! – zaprotestował Wells. – To wyszkoleni żołnierze, mała armia. Wiem, że inni Ziemianie są niebezpieczni, ale nawet nie dorastają do pięt ludziom wicekanclerza.

Max zamilkł. Mimo że nadal wydawał się nieprzekonany, Clarke wiedziała, że rozważa słowa Wellsa.

Pierwsza przemówiła Sasha:

– Tato, powinniśmy posłuchać Wellsa. Wie, o czym mówi. Wcale nie chcę wracać pod ziemię, nie bardziej niż ty, ale myślę, że w tym wypadku może się to okazać potrzebne.

Max spojrział na nią z lekkim zaskoczeniem, a potem wyraz jego twarzy uległ zmianie, jak gdyby zobaczył swoją córkę w nowym świetle i zaakceptował to, że nie jest już dzieckiem, tylko dorosłą osobą, która ma własne zdanie. Na ten widok Clarke przypomniała sobie długie dyskusje toczone z ojcem na temat jej szkolenia medycznego lub jego badań – i poczuła ukłucie w sercu. W ciągu roku poprzedzającego aresztowanie ojciec zaczął traktować ją jak zaufanego kolegę, a nawet przyjaciela. Czy kiedykolwiek będzie miała szansę opowiedzieć mu o swoich przygodach na Ziemi? Czy zada mu jeszcze kiedyś pytania, które przechowywała w pamięci specjalnie dla niego?

W końcu Max kiwnął głową.

– Zgoda. Zrobimy to na spokojnie. Musimy też wytłumaczyć naszym, że to tylko ostrożność. Wyślemy sygnał i zaraz potem zaczniemy przenosić ludzi do środka. Wells, chodź ze mną. Podczas ewakuacji opowiesz nam o Rhodesie i jego strategii.

Po krótkiej konferencji z doradcami Max zdecydował, że wszyscy przeniosą się do wnętrza Mount Weather jeszcze tej nocy. Wysłał przodem kilku techników, by przygotowali fortecę na przyjęcie ludzi, a potem spędził resztę wieczoru, chodząc od domu do domu i wyjaśniając sytuację.

Do północy wszyscy mieszkańcy zebrali się u podnóża góry, przygotowani do spędzenia nocy

w jej wnętrzu po raz pierwszy od dziesięcioleci. Większość niosła jedzenie oraz ubrania i prowadziła dzieci, dzierżące ulubione zabawki.

Max stał przy ogromnych metalowych wrotach, wbudowanych w stok góry, a teraz szeroko otwartych, by wpuścić do środka strumień ludzi. Bellamy i Clarke pozostali na zewnątrz razem z Wellsem i Sashą, dopóki niemal wszyscy nie znaleźli się wewnątrz. Wówczas Clarke zapytała Maksa:

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Jasne, upewnij się, że wszystkich rozlokowano. Miejsca jest więcej, niż potrzeba, ale niektóre pomieszczenia trudno znaleźć. Jeżeli ktokolwiek się zgubi, poproś, żeby poczekał na mnie. Za parę minut będę na dole.

Clarke skinęła głową, chwyciła dłoń Bellamy’ego, a potem poprowadziła go przez wrota i dalej, po stromych, wąskich schodach, które zdawały się wieść w głąb trzewi Ziemi. Oboje odwiedzili już Mount Weather, ale wtedy uważali wszystkich Ziemiaków za wrogów, więc nie poświęcili zbyt dużo czasu na podziwianie wystroju. A przecież nie była to ciemna, nieprzyjazna jaskinia, lecz bunkier o wyrafinowanej konstrukcji, wybudowany przez najlepszych inżynierów w Ameryce, by przetrwać każdy kataklizm.

Clarke i Bellamy dotarli do pierwszego korytarza w skrzydle mieszkalnym, jasno oświetlonego pomieszczenia z drzwiami do pokoiów po obu stronach. Na jego końcu stała kobieta trzymająca za ręce dwie małe dziewczynki. Dzieci wyglądały na wystraszone.

– Czy potrzebuje pani pomocy? – spytała Clarke.

– Te wszystkie pokoje są już pozajmowane – powiedziała kobieta z nutą niepokoju w głosie.

– Proszę się nie martwić. Piętro niżej jest jeszcze jedna taka sekcja – wyjaśniła Clarke. – Jeśli chwilę pani zaczeka, pójde przodem i znajdę dla pani pokój.

– Moja lala jest zmęczona – poskarżyła się jedna z dziewczynek, unosząc drewnianą zabawkę w górę. – Musi iść do łóżeczka.

– Zaraz temu zaradzimy. Wiesz co? Kiedy mnie nie będzie, możesz opowiedzieć mojemu przyjacielowi wszystko o swojej lali.

– Co? – Bellamy posłał jej oburzone spojrzenie. – Idę z tobą!

– Żadnego niepotrzebnego wysiłku, proszę pana. Oficjalne zalecenie lekarza.

Chłopak przewrócił oczami, a potem westchnął i kucnął przy dziewczynce. Odchodząc w poszukiwaniu noclegu, dosłyszała jeszcze, jak pyta:

– No to jaki jest ulubiony sposób polowania twojej lali? Czy woli włócznię, czy łuk i strzały?

Clarke uśmiechnęła się, wyobrażając sobie zmieszanie na twarzy dziewczynki. Skręciła na schody prowadzące w dół i jeszcze raz, w korytarz, który – jak sądziła – powinien zaprowadzić ją do pokoiów. Rozkład pomieszczeń był tu jednak inny niż piętro wyżej. Wycofała się i zaczęła szukać w przeciwnym kierunku, ale ta próba również skończyła się niepowodzeniem.

Korytarze w tym skrzydle wyglądały inaczej, tak jakby tej części podziemi nie przeznaczono do zamieszkania. Zauważyła, że jest tu mniej drzwi, a całość wygląda bardziej użytkowo, jakby znajdowały się tu magazyny albo pomieszczenia gospodarcze. I rzeczywiście, na pierwszych drzwiach widniał napis: „Oczyszczalnia ścieków. Wstęp tylko dla upoważnionych służb”. Ponieważ wszyscy upoważnieni do wejścia nie żyli przynajmniej od paru stuleci, pomyślała, że nic się nie stanie, jeśli rzuci okiem do środka. Nacisnęła kłamekę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

Przeszła więc do następnych, po przeciwnej stronie korytarza. Tabliczka na nich głosiła:

„Radiostacja. Wstęp tylko dla upoważnionych służb”. Clarke zamarła. Radio? Nie pomyślała o tym, ale oczywiście, że ludzie zamknięci w bunkrze musieli się jakoś komunikować z resztą świata... Tylko z kim? Jeżeli nawet chcieliby użyć tego pomieszczenia zgodnie z przeznaczeniem, to przecież nie pozostał nikt, z kim można nawiązać połączenie. Chyba że... były jeszcze inne bunkry? Inne wersje Mount Weather?

Clarke przez dłuższą chwilę gapiła się na napis, a w jej głowie zaczęła kiełkować dziwna myśl. Nie potrafiła jeszcze ująć jej w słowa, ale coś w tych drzwiach – w napisie na tabliczce – wydawało jej się znajome. Chwyciła za klamkę, ale ten pokój też był zamknięty.

– Clarke? Znalazłaś więcej pokoiów? – głos Bellamy’ego dobiegał z daleka, ale wyraźnie było w nim słyhać zaniepokojenie. – Clarke?

– Tu jestem! – odrzyknęła.

Odwróciła się i pobiegła korytarzem w kierunku głosu.

Skończyli rozlokowywać Ziemiaków, a potem poszli razem z Maksem, Wellsem i Sashą pomóc w inwentaryzacji zapasów. Po drodze do pomieszczenia, w którym kiedyś znajdowała się kafeeteria, Max wyjaśnił im, że jego ludzie utrzymywali pomieszczenia Mount Weather w stanie nadającym się do użycia w każdej chwili, na wypadek sytuacji takiej jak ta.

– No to doskonale się tu orientujecie – stwierdziła Clarke.

– Właściwie to urodziłem się tutaj – przyznał Max ku jej zaskoczeniu. – Byłem ostatnim dzieckiem, które przyszło na świat pod Mount Weather. Kilka miesięcy po moich narodzinach okazało się, że promieniowanie na zewnątrz spadło w końcu do bezpiecznego poziomu, i wszyscy przenieśliśmy się na powierzchnię. A jednak ciągle spędzam tu sporo czasu. Zawsze lubiłem myszkować po zakamarkach bunkra, bo dorośli rzadko kiedy tu zaglądali.

– Ja myślę! A skoro już jesteśmy przy myszkowaniu... – powiedziała Clarke, ostrożnie dobierając słowa, ponieważ nie chciała wyjść na wścibską osobę. – Znalazłam dzisiaj radiostację. Do czego jej używano?

– Szczerze mówiąc, głównie do bezowocnego kręcenia gałkami – odparł Max, wzruszając ramionami. – Każde pokolenie w ciągu ubiegłych stuleci wysyłało regularnie sygnały radiowe, ale nikt nigdy nie doczekał się odpowiedzi. O ile wiemy, nie było na Ziemi nikogo, kto mógłby odpowiedzieć.

Clarke poczuła nieoczekiwaną falę rozczarowania, ale potem w jej głowie pojawiło się kolejne pytanie.

– Czy naukowcy, którzy przybyli w pierwszym lądowniku, używali tej aparatury?

Max spojrział na nią zaintrygowany, starając się odgadnąć, dokąd prowadzi jej pytanie.

– A wiesz, że tak. No cóż, przynajmniej próbowali. Zadawali mnóstwo pytań na temat nadajnika i nawet pozwoliłem im go wypróbować, ale powiedziałem przy tym to samo, co tobie teraz...

Clarke przerwała mu:

– A ma pan klucz?

– Tak, mam. Chcesz tam wejść?

– O tak, proszę! Byłoby wspaniale!

Bellamy rzucił jej pytające spojrzenie, ale uciekła wzrokiem, usilnie próbując przypomnieć sobie pewne wydarzenia z przeszłości. Na dobrą sprawę nie wiedziała, czy było to jej własne wspomnienie, czy też...

Clarke zmusiła się, by odetchnąć głęboko, tak jak to robiła przed każdą skomplikowaną operacją, przy której asystowała doktorowi Lahiriemu. Tym razem jednak nie miała w planach odstawiania niczyjej zastawki trójdzielnej za pomocą skalpela. Wzięta się w garść i... weszła w główną aleję bazaru na „Feniksie”.

Nie znosiła wielkiej, zawsze zatłoczonej hali, gdzie człowiek cały czas na kogoś wpadał, niezależnie od tego, gdzie się obrócił. Nie cierpiała targowania się, a już najbardziej nienawidziła pogaduszek ze sprzedawcami, podczas których musiała udawać, że interesuje ją informacja, jakoby w danej koszulce znajdowało się dziesięć, nie, nawet piętnaście procent włókien pochodzenia ziemskiego. Jutro jednak wypadały urodziny Wellsa, a Clarke bardzo chciała znaleźć idealny prezent.

Niestety, w tej samej chwili, gdy w końcu znalazła odwagę, by wejść między stragany, w polu widzenia zjawily się Glass i Cora. Wówczas Clarke schowała się za rogiem. Za żadne skarby nie potrafiłaby wybrać prezentu dla Wellsa, gdyby stały jej nad głową, patrzyły i komentowały głośno jej pomysły, zachowując się tak, jakby nie mogła ich słyszeć. Po prostu wróci tu później, ot co. Tymczasem tamte dziewczyny zaczęły oglądać skrawki materiału z zainteresowaniem, jakie Clarke rezerwowała wyłącznie dla próbek tkanki w laboratorium.

– Przecież nic nie szkodzi popatrzeć – usłyszała dobiegający z niedaleka znajomy męski głos.

– Davidzie, doskonale wiesz, że na bazarze nie znajdziemy nic nawet zbliżonego do tego, czego potrzebujemy. Cała ta technologia została rozkradziona wiele lat temu. Moglibyśmy ewentualnie sprawdzić na czarnym rynku, gdzieś na „Waldenie”, jeżeli uważasz, że gra jest warta świeczki.

Clarke wstrzymała oddech. Wyjrzała ostrożnie zza rogu i dostrzegła swoich rodziców. Matka nie chodziła na bazar od wieków, a co do ojca, to dziewczyna nie pamiętała, żeby kiedykolwiek się tu pojawił. Co, u licha, robili tu oboje w środku dnia, kiedy powinni pracować w laboratoriach?

– Radio działa – mówił właśnie pan Griffin. – Musimy tylko znaleźć sposób na wzmocnienie sygnału. To naprawdę powinno być proste. Potrzebujemy paru elektronicznych części.

– Wszystko to pięknie i ładnie, poza tym, że na drugim końcu nie ma nikogo, z kim można porozmawiać!

– Jeśli ktokolwiek dostał się do stacji pod Mount Weather albo innego z bunkrów CDC, mają dostęp do radia. Musimy się tylko upewnić...

– Zdajesz sobie sprawę z tego, jak to brzmi? To prawdziwe szaleństwo – przerwała mu matka Clarke, ścisząc głos. – Szanse, że wszystko zadziała, są nieskończenie małe.

– A co, jeżeli nie jestem wariatem? Co, jeśli tam na dole są ludzie i próbują się z nami skontaktować? Nie chciałabyś ich powiadomić, że nie są sami? – Griffin na chwilę przerwał.

Trzeba przyznać, że Bellamy, Wells i Sasha nie pukali się w głowę, kiedy Clarke opowiedziała im o swoich rodzicach i o tym, że według niej mogli wiedzieć o radiostacji z Mount Weather. To była zwariowana hipoteza, ale nie bardziej zwariowana niż odkrycie Bellamy’ego i Wellsa, iż są braćmi, czy też Clarke – że jej rodzice przebywali na Ziemi przez cały czas, gdy opłakiwała ich śmierć.

Zamek głośno szcęknął i Max otworzył drzwi. Dawno nieużywane zawiasy zgrzytnęły przy tym głośno. Mężczyzna odsunął się i gestem zaprosił Clarke do środka. Z wahaniem weszła do małego pokoju, w którym mogło zmieścić się wygodnie najwyżej troje, może czworo ludzi. Całą ścianę zajmowały głośniki, przełączniki i panele kontrolne. Na pozostałych trzech wisiały instrukcje i zestawy znaków. Wzrok dziewczyny spoczął na plakacie przedstawiającym liczne flagi z długimi ciągami cyfr. Pod nimi widniały podpisy:

Parliament Hill, Ottawa

CDC – Centrum Kontroli i Prewencji Chorób

10 Downing Street, Londyn

Palacio Nacional, Mexico City

CIA

MI6

Kantei, Tokio

Kreml, Moskwa

– Kiedy po raz ostatni wysyłaliście jakieś sygnały? – zapytała Clarke.

– Około miesiąca temu – odpowiedział Max. – I za parę tygodni spróbujemy znowu, ale szczerze mówiąc, robimy to tylko w ramach konserwacji sprzętu, żeby się upewnić, że jeszcze działa. Nigdy nie usłyszeliśmy odpowiedzi, ani słowa, ani choćby piknięcia.

– Wiem, ale brak odzewu nie oznacza, że moi rodzice nie mieli racji. Może kiedy spróbuję, używając tego samego sprzętu co oni, to dowiem się, dokąd poszli?

– No cóż, możliwe – rzekł Max, kiwając głową z namysłem. – Zostawiam cię w takim razie sam na sam z aparaturą. Powodzenia.

Clarke podeszła do ściany z kontrolkami. Ręce jej się trzęsły. Po prawej wysoko piętrzyły się ustawione jeden na drugim nadajniki, odbiorniki i wzmacniacze. Przypominające macki kable rozmaitych kolorów i grubości wystawały z gniazdek. Przesunęła dłonią po maszynerii, bojąc się nacisnąć dowolny guzik. Powoli czytała oznaczenia, zawierające litery i cyfry, jakich nigdy wcześniej nie widziała: kHz, km, GHZ, μ m.

Jeden z przełączników wydawał się opisany czytelnie: „Włączony/Wyłączony”. Clarke wciągnęła powietrze, a potem go przesunęła. Rozległo się głośne kliknięcie i cała aparatura ożyła, jakby ktoś potraktował ją defibrylatorem. Zapaliły się światełka, ze środka dobiegło brzęczenie i ciche zgrzyty, a potem kliknięcia i trzaski. W końcu pokój wypełnił się niskim, cichym buczeniem, które stawało się coraz głośniejsze i bardziej jednostajne. Działo na nią hipnotyzująco, obiecując, że gdzieś tam być może żyją jeszcze inni ludzie. Rozumiała teraz, dlaczego jej rodzice tu przychodzili. Chcieli na własne uszy przekonać się o wielkości planety, usłyszeć ten dający nadzieję dźwięk.

Clarke dostrzegła pod główną konsolą niewielką szufladkę. Otworzyła ją i znalazła w niej książeczkę – instrukcję obsługi. Pożółkłe strony szeleściły, kiedy je przewracała, wczytując się w kolejne punkty.

Nie miała pojęcia, ile czasu tu spędziła – równie dobrze mógł już nadejść ranek. Naciskała guziki i delikatnie przesuwiała pokręta o milimetr w prawo lub w lewo. Za każdym razem, gdy zmieniała któreś z ustawień, buczenie w głośnikach również ulegało zmianie, niemal niedostrzegalnie, lecz ona potrafiła rozróżnić między stanem „przed” i „po”, podobnie jak rozpoznawała subtelne różnice akcentów z „Feniksa” i „Waldena”. Przez cały ten czas czuła się tak, jakby w pokoju byli również jej rodzice. Siedzieli tutaj wiele miesięcy temu i słuchali tego samego niekończącego się dźwięku. Podobnie jak ona, obracali pokrętłami i wyteżali słuch, starając się dociec, czy jest jakieś inteligentne życie poza okolicą Mount Weather. Musiała tylko poświęcić tyle samo czasu, ile oni, żeby dowiedzieć się, co odkryli – i dokąd ich to zaprowadziło.

Kiedy Bellamy przyszedł, żeby sprawdzić, co tam u niej, Clarke aż trzęsła się z emocji.

– No i jak ci tam i... – Zanim skończył, podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Zaśmiał się, ale zaraz potem jęknął, odwzajemniając jej uścisk zdrowym ramieniem.

– Przepraszam – powiedziała, rumieniąc się. – Ale ze mnie lekarz, nie ma co. Nic ci nie zrobiłam? Uśmiechnął się szeroko.

– Nie, wszystko w porządku. Co usłyszałaś przez tę maszynę, że tak cię nosi? – zapytał, wskazując na radio.

– Nic. Eter jest pusty – odparła z szerokim uśmiechem. – Coś niesamowitego!

Bellamy uniósł brwi, udając zaskoczenie.

– Eee, nie jestem naukowcem ani żadnym jajogłowym, ale co w tym niesamowitego?

Klepnęła go w zdrowe ramię.

– To, że radiostacja w ogóle działa, oznacza, że mam w końcu szansę, by znaleźć trop. Rodzice

myśleli, że gdzieś tam może być więcej ludzi. – Zatoczyła ramieniem krąg, obejmujący sufit, Mount Weather i cały świat. – Może radio podsunęło im, dokąd powinni pójść? Muszę tylko domyślić się, co odkryli. To już jakiś początek!

– O rany – powiedział Bellamy, odwzajemniając jej uśmiech. – Clarke, to niebywałe.

Zaraz potem jednak jego uśmiech ustąpił miejsca zmartwionej minie.

– Coś nie tak?

Pokręcił głową.

– Nie chciałbym ci psuć zabawy i naprawdę cieszę się, że znalazłaś jakiś punkt zaczepienia, ale to w niczym nie zmienia naszej sytuacji. Ciągłe jest tu dla nas niebezpiecznie, przynajmniej na razie – powiedział przepaszająco.

Chwyciła jego dłoń i splotła z nim palce.

– Wiem, ale to mnie nie powstrzyma.

– W takim razie idę z tobą.

– Miałam nadzieję, że to powiesz.

Uśmiechnęła się, wspięła się na palce i go pocałowała.

– Prawdę mówiąc, powinniśmy wyruszyć jak najszybciej. Jutro albo nawet natychmiast – stwierdził.

Clarke cofnęła się o krok i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Bellamy, o czym ty mówisz? Nie możemy odejść. Nie teraz, gdy całe miasteczko przeniosło się do wnętrza góry, żeby cię chronić.

– O to mi właśnie chodzi: nie powinni byli tego robić. Nikt nie jest wart tyle, żeby przez niego narażać na niebezpieczeństwo całą społeczność, a już na pewno nie ja.

– Przecież już to przerabialiśmy – sprzeciwiła się, ściskając jego dłoń. – To coś więcej niż...

– Clarke, proszę, posłuchaj – przerwał jej i westchnął. – Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Chodzi o to, że... przez całe życie spotkałem niewielu ludzi, którzy mnie kochali. Wygląda na to, że za każdym razem, kiedy ktoś zaczyna o mnie dbać, dzieje się z nim coś złego. Moja mama, Lilly, Octavia... – nie dokończył.

Ogarnęło ją nagle niemal bolesne współczucie dla tego chłopca, którym nikt się nie zajmował, który musiał dorosnąć szybciej niż rówieśnicy.

– Czy myślisz, że gdyby wiedziały, że tak się to skończy, kochałyby cię chociaż ociupinkę mniej? – zapytała, wytrzymując jego wzrok.

– Ja tylko... nienawidzę sytuacji, gdy ludzie przeze mnie są narażeni na niebezpieczeństwo. Nigdy bym sobie nie darował, gdyby spotkało cię coś złego – odparł, muskając palcem jej policzek i posyłając smutny uśmiech. – Nie jestem taki zdolny jak ty. Jeżeli coś ci się stanie, nie będę w stanie cię pozszywać.

– Mówisz poważnie? Kiedy przyleciałam, miałam w głowie totalny chaos. Po tym wszystkim, co stało się z moimi rodzicami, Wellsem, Lilly, a potem jeszcze Thalią. Byłam zdruzgotana, a ty poskładałeś mnie z powrotem.

– Wcale nie byłaś zdruzgotana – zaprzeczył Bellamy głosem czułym jak pieszczota. – Byłaś najsilniejszą, najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. Wciąż nie wiem, czym sobie zasłużyłem na takie szczęście.

– Co mam zrobić, by cię przekonać, że w tym wypadku to ja jestem szczęściarą? – powiedziała i pocałowała go, mocniej niż przedtem, pozwalając, by pocałunek ten przekazał wszystkie emocje,

których nie potrafiła wyrazić słowami.

Gdy Bellamy w końcu był w stanie oderwać się od niej, objął ją i uśmiechnął się.

– Myślę, że jesteś na dobrej drodze, ale gdybym był na twoim miejscu, pewnie starałbym się być jeszcze troszeczkę bardziej przekonujący...

Przyciągnął ją do siebie i cofnął się o krok, opierając się plecami o ścianę. Zaśmiał się, gdy chwyciła go za koszulę i pociągnęła w dół, na podłogę.

ROZDZIAŁ 19

Wells

Wells nie spał dobrze tej nocy. Godzinami przewracał się z boku na bok na twardym materacu. Warunki nie były tragiczne, jak na podziemny bunkier, i na pewno lepsze niż goła ziemia w obozie. Jego umysł pracował bez przerwy, a do tego wyczuwał pod sobą każdą nierówność i zmarszczkę materiału. Dwa straszne obrazy pojawiały się na zmianę w jego skołatanej głowie – pierwszy z nich przedstawiał nieruchome, zimne ciało Bellamy’ego, leżące samotnie w lesie na czerwonym od krwi mchu. Drugi był równie przerażający: dziesiątki zwłok Ziemian, rozciągniętych na trawie i gankach ich domów, w tym wiele dzieci, wszyscy zmasakrowani przez Rhodesa i jego ludzi.

W którymś momencie musiał jednak odpłynąć w objęcia Morfeusza, bo kiedy otworzył oczy, leżał z głową na brzuchu Sashy, która rozczesywała mu palcami włosy.

– Jak się czujesz? – spytała z troską w głosie. – Miałeś chyba jakieś koszmarne sny?

– Tak... dzięki, wszystko w porządku – powiedział.

Zdał sobie jednak sprawę, że mija się z prawdą. Nie zniósłby śmierci Bellamy’ego, który okazał się nie tylko jego przyrodnim bratem, ale także wiernym przyjacielem. Wolałby raczej sam umrzeć, niż oddać go w ręce człowieka takiego jak wicekanclerz. Mimo to nie potrafił przejść do porządku dziennego nad olbrzymim ryzykiem, jakie podejmowali Ziemianie, decydując o przyjęciu Bellamy’ego pod swoje skrzydła. Podobnie jak w wypadku wielu decyzji podejmowanych swego czasu przez jego ojca, Wells wiedział, że i tym razem rozwiązanie nie będzie łatwe.

Sasha westchnęła przeciągle, ale nic nie powiedziała. Nie musiała. Wells uwielbiał, kiedy nadawali na tych samych falach i nie musieli nic mówić.

– Niedługo będzie po wszystkim – rzuciła w końcu, wciąż bawiąc się z roztargnieniem jego czupryną. – Postraszymy Rhodesa, aż w końcu uzna, że jeden Bellamy nie jest wart zachodu. A potem wszystko wróci do normy.

Wells podciągnął się tak, by opierać się o wezglowie łóżka obok niej.

– A co właściwie oznacza dla nas ta „norma”? – zapytał z zakłopotanym uśmiechem. – Do niedawna siedziałas w naszym obozie zamknięta jako jeniec.

Sashę złapano na czatach w pobliżu obozu zaraz po zniknięciu Octavii, toteż nic dziwnego, że zesłańcy wzięli ją za szpiega nieprzyjaciół.

– Pewnie będziemy musieli wyznaczyć nową normę. Zostaniesz tutaj i przekażesz nam wszystkie te bezużyteczne rzeczy, których dowiedziałeś się w kosmosie, a my w zamian nauczymy cię, jak przeżyć na Ziemi.

– Hej! – wykrzyknął, udając obrazę. – Przeżyliśmy już niejedno i dawaliśmy sobie nieźle radę, jeszcze zanim się pojawiłaś!

– Świetnie, panie ważniaku. W takim razie może wyrównam rachunki i zacznę traktować cię teraz jako mojego jeńca? – Co rzekłszy, usiadła okrakiem na jego nogach i oparła dłonie na jego piersi.

– Z miłą chęcią spędzę resztę życia jako twój więzień, jeżeli tak to ma wyglądać!

Odpowiedziała uśmiechem i dała mu żartobliwego kuksańca w ramię.

– Pytam poważnie. Zostaniesz tu z nami?

Wells zastanowił się chwilę. Do tego stopnia skupił się na bieżących sprawach – ratowaniu Bellamy’ego, a potem powstrzymaniu Rhodesa – że nie miał czasu pomyśleć o tym, co będzie później. Uważał za oczywiste, że nie może wrócić do obozu. Nie chciał już nigdy oglądać wicekanclerza, nawet jeśli oznaczało to porzucenie wszystkiego, co zbudował tak wielkim wysiłkiem. Czy jednak mógł zostać na stałe z Ziemianami? Czym miałby się tu zająć? Jak mógłby być dla nich użyteczny? Kiedy napotkał wzrok Sashy, w jednej chwili zrozumiał, że nigdzie się nie wybiera. Chciał, by jej twarz była pierwszą rzeczą, jaką będzie oglądał każdego ranka, i ostatnią – co wieczór przed zaśnięciem. Jego umysł zalał potop nowych obrazów, pomysłów, które nigdy wcześniej nie przyszłyby mu do głowy, ale w jakiś sposób wydawały się całkiem realne, kiedy patrzył na Saszę. Może któregoś dnia będą mieli własną chatę w osadzie Ziemian? Ta myśl sprawiła, że serce skurczyło mu się gwałtownie z tęsknoty, jakiej nigdy dotąd nie czuł. Takiego życia chciał! O takie właśnie walczył!

– Tak, zostaję – powiedział.

Pogłaskał jej policzek, a potem, powodowany irracjonalną obawą, że Sasha w jakiś sposób odebrała wizję, która pojawiła się w jego głowie, dodał z uśmiechem:

– Twój jeńiec nigdzie się nie wybiera.

– I dobrze – roześmiała się i wyslizgnęła się z łóżka. – W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby chwilę tutaj na mnie zaczekać.

Wells patrzył, jak Sasha wkłada buty.

– Dokąd idziesz?

– Okazało się, że na dole nie ma tak dużo żywności, jak myśleliśmy. Skoczę na górę i przyniosę więcej zapasów z magazynu.

– Pójdę z tobą – zaproponował, zwieszając nogi z łóżka.

– Co to, to nie. Jeżeli strażnicy Rhodesa cię dostrzegą, pójdą za tobą, żeby dowiedzieć się, gdzie jest Bellamy. A poza tym... – Chwyciła go za kostki i uniosła jego nogi z powrotem na łóżko – ...powinieneś złapać trochę snu. Nasz generał musi być w formie, jak przyjdzie co do czego.

– O czym ty mówisz, dziewczyno? To ty jesteś mózgiem całej tej operacji. Nie pójdziesz chyba na górę sama, prawda?

– Ależ oczywiście, że tak. Będzie szybciej i bezpieczniej, świetnie o tym wiesz. – Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. – Poza tym zaraz wracam.

Wells spędził poranek na przeglądaniu zakurzonej broni, przechowywanej w jednym z magazynów bunkra. Ziemianie mieli tylko kilka karabinów i już przydzielono je tym, którzy najlepiej potrafili się nimi posługiwać, ale im więcej ludzi zdołaliby uzbroić, tym lepiej. Większość broni białej była zbyt stępiona, by dało się jej użyć, ale w zbrojowni znajdowały się również takie ostrza, które warto było wydać Ziemianom na wypadek walki wręcz.

W porze obiadowej przysiadł na twardej ławce i powoli przeżuwał włókniste suszone mięso z racji żywnościowej. Gdzie się podziewała Sasha? Rozejrzył się po kafeterii, spodziewając się

dostrzec jej jasne oczy i kruczoczną czuprynę, ale najwyraźniej jej tu nie było. Natomiast przy drugim końcu stołu siedzieli przytuleni Clarke i Bellamy.

– Hej! – zawołał do nich Wells. – Widzieliście może Saszę?

Pokręcili przecząco głowami i wymienili szybkie, zmieszane spojrzenia.

– A dokąd poszła? – zapytała Clarke, wstając. – Może jej poszukam?

– Nie, nie trzeba – odparł.

Wstał i pośpiesznie podszedł do stołu obok, gdzie Max skrupulatnie badał stare plany jakiejś konstrukcji. W innych okolicznościach Wells byłby zachwycony, mogąc osobiście obejrzeć taki rarytas, ale w tej chwili mógł myśleć tylko o jednym.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale może wiesz, czy Sasha już wróciła.

Max błyskawicznie uniósł wzrok znad papierów.

– A skąd miałyby wrócić?

Wells otworzył usta, żeby odpowiedzieć, po czym zamknął je niepewnie. Pytanie Makska całkowicie zbiło go z tropu. Czy tamten nie wiedział, że jego własna córka poszła po żywność do wioski? Nie zameldowała mu o tym przed wyjściem?

Max odepchnął krzesło i skoczył na równe nogi. Całe jego ciało wyrażało niepokój.

– Chłopcze, dokąd poszła Sasha?!

– Myślałem, że wiesz – odparł Wells ochryłym szeptem. – Ona... wróciła na powierzchnię... żeby przynieść jakąś żywność...

– Co zrobiła?!

Max walnął pięścią w stół, sprawiając, że kilka osób w ich otoczeniu podskoczyło. Odwrócił się na pięcie i wrzasnął na całą kafeterię:

– Sasha wyszła z Mount Weather! Czy ktokolwiek widział, żeby wracała?

Na tę wieść dziesiątki oczu rozszerzyły się ze zdumienia, wszyscy w zasięgu wzroku zaczęli przecząco kręcić głowami, a po pomieszczeniu rozszedł się pomruk zaniepokojenia.

– Cholera jasna! – zaklął Max pod nosem, a potem zwrócił się do Wellsa: – Powinienem być wiedzieć, że spróbuje to zrobić bez niczyjej pomocy. Mieliśmy zamiar wysłać grupę dziś wieczorem, po zachodzie słońca, ale ona martwiła się, że ludzie zgłodnieją już wcześniej.

– Tak mi przykro, Max. Nie zdawałem sobie sprawy, że...

– To nie twoja wina – uciął tamten, najwyraźniej chcąc zakończyć rozmowę.

– Sir? – zawołał ktoś od wejścia. – Wszyscy pozostali są wewnątrz. Musiała iść sama.

Patrząc na nagle pobladłą i zmartwiałą twarz Makska, Wells poczuł się, jakby serce przeszła mu strzała. Dowódca Ziemi wziął się jednak w garść i zaczął wydawać rozkazy. Przekazał na czas poszukiwań komendę kobiecie o imieniu Jane i pośpiesznie podążył ku wyjściu. Ludzie odwracali się, śledząc go wzrokiem, a kilku z nich powstało, by dołączyć do niego.

Tuż przed wyjściem z kafeterii Max odwrócił się jeszcze raz do Wellsa.

– Zostań tu – polecił krótko. – Na zewnątrz jest niebezpiecznie.

Wells opadł na ławę, zbyt ogłuszony, by rozsądnie myśleć. Clarke i Bellamy podeszli do niego, ale nawet na nich nie spojrzął.

– Spróbujemy się zorientować, czy będziemy mogli pomóc – oświadczyła Clarke.

Skinął głową, a oni wyszli z kafeterii.

Po chwili Wells podniósł wzrok i osłupiał. Pozostał w wielkiej jadalni zupełnie sam. Nagle poczuł, że nie usiedzi tu ani chwili dłużej. Nie w sytuacji, gdy Sasha znajdowała się

w niebezpieczeństwie. Max rozkazał mu zostać w Mount Weather, ale nie mógł przecież siedzieć na tyłku i beczynnie czekać na powrót tamtych. Nie obchodziło go, czy ktoś ma coś przeciwko temu. Postanowił natychmiast ruszyć za swoją dziewczyną.

Przebiegł przez pusty korytarz. Słyszał za rogiem głosy i szcęk broni. To zespół ratunkowy kompletował uzbrojenie – łuki, strzały i włócznie. Skręcił w kolejne przejście, a potem zaczął wspinać się po stromych, kręconych schodach, zanim ktokolwiek zdążył go zauważyć.

Kilka minut później wyszedł na zalany słońcem świat i odczekał chwilę, mrugając, zanim jego wzrok przystosował się do nowego oświetlenia. W lesie wokół niego panowała wręcz nienaturalna cisza. Uważnie rozejrzał się między drzewami, tak jak go uczyła Sasha. Nie dostrzegł nic poza poszyciem i liśćmi, ruszył więc naprzód, w kierunku osady, tak szybko i cicho, jak potrafił.

Miasteczko wyglądało na wymarłe. Z kominów nie unosił się dym, a na trawie nie było widać ani jednego dziecka. Przystanął, by się upewnić, czy dalszy marsz będzie bezpieczny. Z tego miejsca wydawało mu się, że domy wyglądają tak samo jak wtedy, gdy opuszczali je ich mieszkańcy – zupełnie tak, jakby zostawili wszystko, co mieli, i zniknęli.

W połowie prowadzącej w dół ścieżki usłyszał dźwięk dobiegający z krzaków po prawej. Zamarł. Serce obijało mu się rozpaczliwie o żebra. Dźwięk rozległ się znowu, tym razem głośniejszy.

– Pomocy... – błagał ktoś drżącym głosem. – Proszę, niech mi ktoś pomoże...

Ciało Wellsa przeszył lodowaty dreszcz przerażenia, gorszego niż to, co przeżywał poprzedniej nocy podczas koszmarnych snów.

To była Sasha.

Chłopak zanurkował w krzaki, tam, skąd dochodził jej głos.

– Sasha! – wykrzyknął. – To ja! Już idę!

Przedzierał się między drzewami, potykając o poplątane pnącza i korzenie, a każdy krok prowadził go głębiej w gęstwinię.

Żaden z potwornych obrazów, które prześladowały go przez całą noc, nie przygotował go na to, co zobaczył, kiedy ją w końcu odnalazł. Leżała skulona na boku i skąpana we krwi.

– Nie!!! – ryknął głosem przeszywającym powietrze niczym ostrze noża.

Rzucił się na kolana przy Sashy i złapał jej dłoń. Na jej brzuchu rozlewała się coraz większa plama głębokiej czerwieni. Podciągnął jej koszulę i zobaczył głęboką ranę poniżej żeber.

– Sasha! Znalazłem cię, jesteś już bezpieczna! Zabiorę cię do domu, dobrze?

Nie odpowiedziała. Jej powieki zatrzepotały i dziewczyna straciła przytomność. Podniósł ją ostrożnie, uważając na głowę, która opadła bezwładnie na bok i kołysała się, kiedy biegł z powrotem pod górę, w kierunku głównego wejścia do Mount Weather.

Poruszał się najszybciej, jak potrafił, dysząc, ignorując kłujący ból w boku i ryzyko ataku ze strony ludzi Rhodesa, którzy z pewnością byli gdzieś w pobliżu. Aż chciało mu się wrzasnąć pod ich adresem: „Przyjdźcie i spróbujcie mnie złapać! Tylko spróbujcie mnie zranić, a rozszarpie was na strzępy!”.

Po kilkudziesięciu metrach usłyszał, że ktoś go woła. Grupa Ziemiaków zmateriałizowała się wokół niego spomiędzy drzew. To ci, którzy wyruszyli po nim na poszukiwania Sashy.

– Żyje! – wykrzyknął rozpaczliwie. – Ale musimy wnieść ją szybko do środka!

Ratownicy uformowali wokół niego ochronny krąg, biegnąc z uniesioną bronią, aż dotarli do skalnej ściany z ciężkimi wrotami prowadzącymi do wnętrza bunkra. Jeden z nich otworzył je, a Wells wpadł do środka.

Max stał tuż przy wejściu. Gdy zobaczył Wellsa, nadzieja rozświetliła jego twarz, ale natychmiast zgasła na widok córki.

– Nie... – wyszeptał, opierając się bezsilnie o ścianę. – Nie, Sasha... – Zatoczył się i ukrył twarz w dłoniach. – Sasha, kochanie...

– Wszystko będzie dobrze – wydyszał Wells. – Musimy tylko zabrać ją do Clarke!

Jedna z kobiet pobiegła przodem, a Max pomógł Wellsowi znieść Sashę po schodach. Chłopak czuł się tak, jakby śnił na jawie albo patrzył na całą tę scenę gdzieś z wysoka. Światło i dźwięk wydawały się dobiegać z daleka, z końca długiego tunelu. To nie mogło się dziać naprawdę! To musiał być jeden z koszmarów Wellsa. Za chwilę zobaczy Sashę uśmiechającą się do niego, jej długie włosy połaskoczą go w nos i pomogą mu się obudzić, a ona wyszepcze mu prosto do ucha: „Dzień dobry”...

– Stary szpital... jest tuż... za rogiem – powiedział Max, dysząc z wysiłkiem.

Skręcili, starszy mężczyzna otworzył drzwi i przytrzymał je, podczas gdy Wells wbiegł do środka i ułożył Sashę na stole operacyjnym. Max włączył światła. Chłopak trzymał ją za dłoń, która była przerażająco zimna. W panice uniósł jej powieki, tak jak robiła to Clarke – setki razy przez ostatnich kilka tygodni. Źrenice Sashy uciekły w głąb czaszki, oddychała płytko i z trudem.

– Kochanie – błagał Wells. – Sasha, proszę, zostań z nami. Słyszysz? Proszę, nie odchodź.

Poruszyła lekko głową w słabym geście potwierdzenia, a on poczuł, jak coś pęka mu w piersi, a całe ciało zalewa mu fala ulgi.

– Och, dzięki Bogu!

Max podbiegł do nich i złapał jej drugą dłoń.

– Wytrzymaj, już niedługo. Pomoc już nadchodzi. Trzymaj się, dziewczyno.

– Nie możemy pozwolić, żeby znów straciła przytomność – powiedział Wells, odwracając się ku drzwiom, tak jakby jego wzrok mógł przyspieszyć pojawienie się Clarke. – Niech mówi.

– Co się stało? – zapytał Max, odgarniając włosy z jej bladego, spoconego czoła.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie usłyszeli żadnego dźwięku. Ojciec pochylił się nad nią i przybliżył ucho do jej ust. Chwilę później spojrział na Wellsa.

– Snajperzy – rzekł ponuro.

Sasha znów spróbowała przemówić i tym razem obaj ją usłyszeli.

– Zdążyłam dojść do magazynu. Nie zauważyłam ich... – wyszeptała urywanym głosem.

Clarke wpadła do szpitalnej sali jak burza, a chwilę później dołączył do niej Bellamy. W dwóch susach znalazła się przy stole, złapała nadgarstek Sashy i sprawdziła jej puls. Nic nie powiedziała, ale Wells mógł odczytać diagnozę z jej oczu. Wiedział, że jest źle. Podniosła koszulę rannej i odsłoniła głęboką ranę w jej brzuchu.

– Została postrzelona... i straciła dużo krwi – powiedziała.

Max zacisnął zęby w milczeniu. Clarke odwróciła się na pięcie i zaczęła badać zawartość kolejnych szuflad. Wyciągnęła strzykawkę, którą napełniła lekiem z fiolki. Wkłuła się w ramię Sashy i wstrzyknęła w nie przejrzysty płyn. Ciało rannej natychmiast się odprężyło, a jej oddech wyrównał. Młoda lekarka zbadała uważnie jej brzuch. Wells poluzował uścisk na dłoni Sashy. Max stał w milczeniu ze zwieszoną głową.

– Teraz jest jej wygodniej – powiedziała powoli Clarke, odwracając się do mężczyzn.

– I co dalej? – spytał Wells. – Dasz radę wyciągnąć pocisk? A może przeszedł na wylot?

Clarke nie odpowiedziała. Stała, patrząc na niego, a jej oczy wypełniały się łzami.

– No, co jest, Clarke?! – warknął. – Jaki masz plan? Czego potrzebujesz, żeby ją wyleczyć?!

– Wells... – Podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. – Sasha straciła mnóstwo krwi.

Nie mogę tak po prostu...

Jednym szarpnięciem strząsnął jej rękę, aż się zachłysnęła.

– To znajdź gdzieś krew i zrób jej transfuzję. Weź moją! – Podciągnął rękaw i położył łokieć na stole. – Na co czekasz? Idź po igłę czy czego tam jeszcze potrzebujesz!

Clarke zamknęła na chwilę oczy, po czym odwróciła się do Maksa i przemówiła drżącym głosem:

– Jeżeli spróbuję operować Sashę bez aparatury do podtrzymywania życia, umrze po kilku minutach. Uważam, że tak... będzie lepiej. Odpoczywa sobie, a wy będziecie mogli spędzić z nią trochę czasu, zanim...

Max gapił się na nią, a w sumie – poprzez nią. Jego szeroko otwarte oczy przypominały oczy ślepeca, tak jakby wzrok mu się wyłączył, ponieważ rzeczywistość była dlań zbyt straszna, by ją oglądać. Potem jednak wyraz jego twarzy uległ zmianie i spojrzał na Clarke w miarę przytomnie.

– Dobrze – powiedział tak cicho, że Wells nie wiedział, czy słowa te rzeczywiście padły, czy to tylko jego wyobraźnia.

Max pochylił się nad córką, wciąż dzierżąc jej dłoń, a drugą ręką pogładził ją po włosach.

– Sasha... słyszysz mnie? Bardzo cię kocham. Najbardziej ze wszystkich.

– Też... cię... kocham... – wydyszała z trudem, a jej oczy pozostały zamknięte. – Przepraszam...

– Nie masz za co przepraszać... – Głos Maksa załamał się, a mężczyzna zdusił szloch. – Moja dzielna dziewczynka!

– Wells... – wymówiła jego imię ochryple.

Podszedł i uściśnął drugą dłoń dziewczyny, splatając jej palce ze swoimi.

– Jestem tutaj. Nigdzie się nie wybieram,

Stali, połączeni w ten sposób, a czas mijał. Clarke czekała czujnie z boku, gotowa w każdej chwili podać rannej następną dawkę środka przeciwbólowego, a Bellamy objął ją od tyłu ramionami. Wells czuwał po prawej stronie, trzymając dłoń dziewczyny i odgarniając niesforne włosy z jej czoła. Max ścisnął drugą rękę i pochylił się nad nią, by szeptać córce prosto do ucha słowa pocieszenia. Jego łzy spadały na jej policzki. Zaczęła oddychać coraz wolniej. Organizm Sashy powoli przestawał funkcjonować, a oni stali bezradnie naokoło, nie mogąc tego powstrzymać.

Gdyby Wells mógł wyrwać serce ze swojej piersi, żeby zastąpić słabnące serce Sashy, nie wahałby się jednej chwili. Nie cierpiałby ani w połowie tak bardzo, jak w tym momencie. Z każdym wysiłonym oddechem dziewczyny czuł, że jego żebra zaciskają się wokół płuc, niemal doprowadzając go do omdlenia... a mimo to ciągle pozostawał przytomny. Stał przez cały czas przy stole, pochłaniając wzrokiem Sashę, jej długie, drżące rzęsy i piegi, które tak kochał. Jeszcze niedawno myślał, że będzie je oglądał już zawsze, tak jak gwiazdy na niebie.

Może i znał Sashę zaledwie od kilku tygodni, ale w tym czasie zmieniło się całe jego życie. Na początku był zagubiony i wystraszony. Udawał, że dowodzi setką, ale w rzeczywistości czuł się jak oszust. Tymczasem ona w niego uwierzyła, pomogła mu zostać przywódcą, którym zawsze chciał być, i przez cały ten czas służyła mu za wzór odwagi, altruizmu oraz szlachetności.

– Kocham cię – wyszeptał, całując jej czoło, powieki, a w końcu usta.

Westchnął, pragnąc, by jego oddech ożywił ją na nowo. Z radością wystawiłby się na ogień wroga i przyjął tysiąc pocisków, jeżeli oszczędziłoby to Sashy tego jednego, śmiertelnego postrzału, a jej ojcu – cierpienia. Wiedział, że nigdy nie wybaczy sobie ani człowiekowi, który jej to zrobił.

Sasha odetchnęła głęboko – po raz ostatni. Clarke skoczyła ku niej i spróbowała reanimacji, podczas gdy Max i Wells patrzyli na to z bezsilną rozpaczą. Po kilku minutach – najdłuższych minutach w życiu Wellsa – przyłożyła ucho do piersi Sashy, nasłuchiwała przez chwilę, po czym uniosła głowę. Z jej oczu płynęły łzy.

– Nie... – wyszeptał Wells, nie potrafiąc spojrzeć w oczy ani jej, ani Maksowi.

Koniec.

Ktoś, być może Bellamy, objął go ramieniem. Wells ledwie to zauważył. Czuł tylko olbrzymi ciężar miażdżący mu żebra, jakby jego klatka piersiowa implodowała. A potem wszystko naokoło pogrążyło się w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 20

Glass

Luke był cały rozpalony – miał wysoką temperaturę. To było widać na pierwszy rzut oka. Oczy miał szkliste, a mimo że na twarzy gościł rumieniec, jego wargi były suche i popękane. Gorączkowo szukała w pamięci domowych kuracji, jakie stosowała jej mama, kiedy Glass w dzieciństwie zdarzyło się zachorować. Przyłożyła mokrą szmatkę do czoła chłopaka, odkryła go i zdjęła mu koszulę, by chłodne powietrze z uchylonego okna mogło owiewać jego ciało. Siedziała przy nim od paru godzin i podawała mu wodę w kubku. Nie potrafiła jednak nic poradzić na straszliwą ranę w nodze.

Ostrze włóczni głęboko przecięło jego udo. Glass, wciągnąwszy go do domku i ułożywszy wygodnie na podłodze, rozerwała nogawkę spodni, by zorientować się w sytuacji. Przez krew i brud dostrzegła przeraźliwie białą kość.

Przez pierwszą godzinę próbowali oboje powstrzymać krwawienie, zaciskając opaskę wokół uda powyżej rany, ale nie udało im się to. Glass patrzyła z przerażeniem, jak Luke coraz bardziej blednie, a na drewnianej podłodze rośnie kałuża krwi.

– Chyba powinienem skauteryzować ranę – stwierdził w końcu, siląc się na spokojny ton, chociaż Glass widziała, że boi się i cierpi niewyobrażalne katusze.

– Co to znaczy? – zapytała, rzucając przesiąknięty krwią bandaż za siebie i sięgając po czysty skrawek materiału.

– Jeżeli przypalę zranione miejsce, udo przestanie krwawić i nie dojdzie do infekcji – wyjaśnił i wskazał gestem żarzące się węgle na kominku. – Możesz dorzucić drewna i rozpaść ogień na nowo?

Glass pośpiesznie dorzuciła kilka szczap do dogasającego ognia, wstrzymując oddech podczas rozniecania ognia.

– Teraz weź tę metalową rzecz – polecił, wskazując długie, cienkie narzędzie, które pierwszego wieczoru znaleźli oparte o kominek. – Włóż ją do ognia, powinna się rozgrzać wystarczająco mocno.

Nie odpowiedziała, ale patrzyła z rosnącym przerażeniem, jak metal zaczął przybierać jasnoczerwony kolor.

– Jesteś pewien, że tak to ma wyglądać? – zapytała z powątpiewaniem.

Luke przytaknął.

– Przynies to tu. Tylko uważaj, nie dotknij rozgrzanego końca.

Glass powoli podeszła z pogrzebaczem i klękła koło chłopaka. Zaczepnęła powietrza.

– Dobra, teraz chciałbym, żebyś na „trzy” przycisnęła pręt do rany.

Zaczęła się trząść. Nagle cały świat wokół niej zawirował.

– Luke, nie mogę. Przepraszam!

Skrzywił się, czując, że nadchodzi kolejna fala bólu.

– Już dobrze, podaj mi to.

– O Boże... – wyszeptała.

Przekazała mu pogrzebacz i ściskając jego dłoń. Była zimna, ale zarazem spocona.

– Nie patrz – wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

Chwilę później w pomieszczeniu rozległo się okropne skwierczenie i rozszedł się swąd palonego mięsa, a Luke wrzasnął. Pot skropił mu się na czole. Wydawało się, że nigdy nie przestanie krzyczeć, ale nadal przyciskał rozgrzaną metalową końcówkę do ciała. Kiedy skończył, z jękiem odrzucił pogrzebacz, który stuknął o deski i potoczył się w kąt.

Przez chwilę wydawało się, że drastyczne rozwiązanie zadziałało. Rana przestała krwawić, a Luke wreszcie mógł odpocząć chociaż przez kilka godzin. Niestety następnego dnia rano okazało się, że ma gorączkę. Cała noga była czerwona, gorąca i nabrzmiąta. Najwidoczniej wdała się poważna infekcja. Chłopak budził się co jakiś czas, dygocząc z bólu, a po chwili znów tracił przytomność. W końcu Glass pojęła, że jeśli chce, by ranny przeżył, powinni wrócić do obozu. Gdyby tylko mogli znaleźć Clarke! Prawdopodobieństwo powrotu było jednak mniejsze niż szansa na cudowne ozdrowienie Luke'a. Nie mógł stać, a co dopiero maszerować przez dwa dni, w dodatku na zewnątrz czyhali na nich Ziemianie. Wyczuwała ich obecność równie wyraźnie, jak podwyższoną temperaturę opuchniętej nogi chłopaka.

Nigdy nie była tak samotna, nawet podczas długich miesięcy spędzonych w Odosobnieniu. Tam przynajmniej widywała koleżankę z celi i strażników, a poza tym ktoś przynosił jej jedzenie. Tutaj, w towarzystwie nieprzytomnego Luke'a, zagrożona kolejnym atakiem, czuła się przerażona i odizolowana od reszty świata. Nie mogła nawet wezwać nikogo na pomoc. Jednym okiem doglądała rannego, a drugim wypatrywała zagrożenia w otaczającym domek lesie. Nasłuchiwała tak czujnie, że rozboleła ją głowa, mimo to jednak dalej nadstawiała uszu. Każdy dźwięk, każdy trzask nadepniętej gałązki mógł ostrzec ją o powrocie nieprzyjaciela.

Stała teraz przy frontowych drzwiach, nerwowo rozglądając się po krzakach i szukając jakichkolwiek odstępstw od normy. Chłodne leśne powietrze owiewało jej twarz. Wróciły wspomnienia radosnych dni. Jeszcze tak niedawno oboje cieszyli się drzewami i światłem księżyca odbijającym się w wodzie – całym pięknem otaczającego ich świata, które zbladnie i przestanie mieć znaczenie, jeżeli zabraknie przy niej Luke'a... który właśnie poruszył się za nią niespokojnie na zaimprovizowanym łóżku. Przebiegła przez pokój i złapała go za rękę, gładząc go po czole.

– Luke? Słyszysz mnie?

Jego powieki zadrgały, ale się nie podniosły. Poruszył wargami, z których jednak nie wydobył się żaden dźwięk. Ścisnęła jego dłoń i pochyliła się, by wyszeptać mu do ucha:

– Będzie dobrze. Wyzdrowiejesz, na pewno. Coś wymyślę...

– Spóźnię się na patrol – wymamrotał, rzucając się na boki tak, jakby próbował wstać z łóżka.

– Nie, wszystko w porządku – uspokoiła go i położyła mu dłoń na ramieniu. Czy myślał, że wciąż jeszcze jest na statku? – Niczym się nie przejmuj.

Luke z wysiłkiem kiwnął głową i opadł na posłanie, po czym błyskawicznie zasnął. Uścisk na dłoni Glass zelżał, toteż mogła delikatnie położyć jego ramię na łóżku. Sprawdziła stan zranionej nogi. Zaczerwienienie na skórze rozlewało się od kolana po biodro. Nie знаła się na tych sprawach, ale miała dość rozsądku, by wiedzieć, że jeśli nie sprowadzi jakiejś pomocy, Luke umrze. Musieli

uciekać. Już. Teraz.

Siadła przy drewnianym kuchennym stole i spróbowała uporządkować myśli, a najważniejsze – przestać się bać. Strach, który od wielu dni pożerał jej umysł, nie pomoże im się stąd wydostać. Musiała pomyśleć. Powinni wrócić do obozu, bo to jedyna szansa, by Luke uzyskał pomoc. Trzeba tylko znaleźć sposób na przetransportowanie tam rannego, który ledwie chodził, i to tylko z jej pomocą, a przy tym uniknąć spotkania z Ziemianami. W porównaniu z tym problemem spacer w próżni nagle wydał jej się prostym zadaniem. Jakim cudem zdołają poruszać się dość szybko, by uciec wrogom, jeśli Luke znajduje się w tak kiepskim stanie?

Glass rozejrzała się po wnętrzu domku, szukając natchnienia. Dławiący strach powoli zaczął mijać i nareszcie mogła działać racjonalnie. Tak, gdyby udało jej się dojść z nim do rzeki... To mogłoby się udać... Ale jak go tam przetransportować? Jej wzrok padł na dziwne urządzenie, nad którym łamali sobie głowę, gdy zobaczyli je po raz pierwszy. Stało oparte o ścianę, za miotłą i innymi starożytnymi przyborami do sprzątanía. Przeszła przed pokój, wydobyła je z kąta i położyła na podłodze. Było tak wysokie jak ona, składało się z długich drewnianych listew i przypominało deskę, ale z zagiętymi końcami. Do jednego z nich przywiązano linkę.

Przypominało jej rzecz, o której uczono ją kiedyś w szkole – ziemskie dzieci używały takiego czegoś do jeżdżenia po śniegu. Spróbowała przypomnieć sobie nazwę tego sprzętu. Ślizgawka? Szranki? Glass nacisnęła na listwy nogą, testując ich wytrzymałość. Wydawały się stare, ale solidne. Jeżeli da radę położyć na nich Luke'a, mogłaby go pociągnąć, ale musi najpierw dokonać kilku przeróbek.

Wstała, pozbierała kilka przedmiotów z wyposażenia domku i położyła je na podłodze obok... sanek! Prawidłowa nazwa to sanki, teraz była tego pewna. Musiała tylko sprawić, żeby zadziałały tak, jak chciała. Mocowała znalezione dodatki na różne sposoby, sprawdzała je, potem usiłowała znaleźć inny sposób. W końcu ponuro potrząsnęła głową. Gdyby ktoś powiedział jej sześć miesięcy temu – czy nawet sześć tygodni – że będzie próbowała sklecić coś sensownego ze złomu znalezionego w opuszczonym ziemskim domku, żeby przewieźć swojego śmiertelnie rannego chłopaka przez las, roześmiałyby się temu komuś prosto w twarz i zapytała, czy czasem nie nadużył bimbrowego i sprzedawanego nielegalnie na „Arkadii”.

Cofnęła się o krok i oceniła swoje dzieło. Będzie działać. Musi działać. Glass użyje linki, żeby ciągnąć Luke'a za sobą. Chłopak nie spadnie, ponieważ pocięła koc na długie paski, którymi przywiąże jego ciało, ramiona i zdrową nogę do sanek.

Był to szczyt prowizorki, ale jeżeli dopisze im szczęście, dowiezie rannego do rzeki. Tylko tyle było jej trzeba.

Podeszła do niego i delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Luke – wyszeptała mu do ucha. – Za chwilę wyruszamy, rozumiesz? Musimy dotrzeć z powrotem do obozu.

Nie odpowiedział. Wsunęła ramiona pod jego plecy, złapała go wpół i ze stęknieniem przeciągnęła na podłogę. Wzdrygnął się, gdy poruszyła jego zranioną nogą, ale się nie obudził. Przeciągnęła go na sanki, a potem zawiązała wokół jego ciała paski z koca. Pochyliła się, złapała linkę, owinęła ją wokół dłoni i wstała. Zrobiła kilka kroków naprzód, a sanie z cennym ładunkiem przesunęły się za nią. To działało!

Złapała jego broń – chociażnie była pewna, czy potrafi jej użyć – i poczłapała ku drzwiom. W ostatniej chwili odwróciła się i zabrała ze stołu paczkę zapalek, w razie gdyby podczas wędrówki

musiała rozpalić ognisko. Z ciężarem za plecami czuła się dziwnie, jakby środek ciężkości przesunął się gdzie indziej, ale szybko nauczyła się poruszać z obciążeniem. Nie oglądając się za siebie, wyszła z domku, wyciągając sanki z zawartością na polanę przed domkiem.

Trach! Szybko odwróciła głowę w poszukiwaniu źródła dźwięku. Trach! I jeszcze raz!

Spojrzała między drzewa. W ciemności każdy cień wyglądał jak nieprzyjaciel.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do domku, gwałtownie pociągając za sobą Luke'a. Kątem oka zauważyła jakiś ruch i poczuła, jak coś przelatuje jej koło ucha.

Naparła na linę, słysząc, jak ranny jęczy z bólu. Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i wpadła do środka w tej samej chwili, gdy w futrynie utkwiała strzała z łuku, w tym samym miejscu, gdzie jeszcze ułamek sekundy wcześniej znajdowała się głowa dziewczyny.

Sanie wśliznęły się za nią do domku. Puściła uprząż i zatrzasnęła drzwi, w które natychmiast wbiły się dwie kolejne strzały. Podparła je całym ciałem, dzierżąc broń w spoconej dłoni. Rozejrzała się po wnętrzu domku. Czy zdoła zabarykadować wejście? Czy napastnicy mogą wówczas wedrzeć się przez okna?

Zasunęła rygiel w drzwiach. Z wahaniem uniosła pistolet Luke'a. Musiała się natychmiast opanować. Jeżeli jeden z Ziemiaków wskoczy przez okno, czy potrafi stawić mu czoła? Czy zdobędzie się na to, by strzelić do żywej istoty? Nawet jeśli zdoła to zrobić, najwyraźniej na zewnątrz czekało ich więcej. Jedna dziewczyna, która nigdy w życiu nie pociągnęła za spust, nie była równorzędnym przeciwnikiem dla grupy morderczych Ziemiaków.

Z sanek dobiegł ją jęk Luke'a.

– Wszystko będzie dobrze, zaraz coś wymyślę – powiedziała pośpiesznie i skrzywiła się, zniechęcona własnym kłamstwem.

Jak zdoła uciec z domku otoczonego przez wściekłych Ziemiaków? Ostrożnie zerknęła przez okno. Promienie zachodzącego słońca igrały z cieniami, utrudniając obserwację, mimo to dostrzegła w lesie ruch. Ciemne postacie przemykały między drzewami, dzierżąc łuki i topory.

Glass oparła się o drzwi i zamknęła oczy. To był koniec. Tym razem wykończą Luke'a i ją też zabiją. Czekala, aż rozlegną się coraz bliższe kroki, a potem okna wylecą z ram, a drzwi za nią zostaną brutalnie wyważone.

Tymczasem słyszała tylko szum wiatru i odległy plusk rzeki. Napastnicy najwyraźniej czekali, aż wyjdzie. Czy przez cały czas czaili się na zewnątrz, by oddać czysty strzał, kiedy Glass się pojawi? Zapędzili ją w kozi róg. Nie miała dokąd uciekać, mogła tylko czekać, aż wrogowie się zniecierpliwia i wyłamią drzwi albo wedrą się przez okna. Jej myśli galopowały, szukając jakiejś drogi ucieczki.

Nawet gdyby zdołała odwrócić ich uwagę na wystarczająco długi okres, by uciec z domku i nie zostać naszpikowana strzałami, co dalej?

W panice rozglądała się po pomieszczeniu. Rozpaczliwie szukała wzrokiem czegoś – czegokolwiek – co rozproszyłoby uwagę nieprzyjaciół i kupiło trochę czasu jej i Luke'owi. Nic nie przychodziło jej do głowy. Już miała wrzasnąć z frustracji, gdy zdała sobie sprawę, że przecież trzyma coś w ręku. Ścisnęła ten przedmiot tak mocno, że prawie o nim zapomniała. Rozprostowała palce i popatrzyła na zgniecione w dłoni pudełko zapalek, które złapała, wychodząc.

W jej głowie zarysował się rozpaczliwy, idiotyczny plan. Jeśli nie mogła wyprzedzić strzał Ziemiaków, musiała znaleźć drogę ucieczki, która nie wymagałaby od niej biegu. Zanim dobrze przemyślała nową taktykę, już wprowadziła ją w czyn.

Przeczłała się po podłodze i usiadła pod oknem przy frontowych drzwiach. Owinęła pasek wydarty z prześcieradła wokół kawałka drewna z kominka, a następnie zapaliła zapalniczkę. Zbliżyła ją do materiału i kilka sekund później trzymała już w dłoni płonąca żagiew.

Płomień urósł, a Glass odetchnęła głęboko i odliczyła w myślach: „Trzy, dwa, jeden i...” Skoczyła do okna, ogarnęła otoczenie szybkim spojrzeniem, po czym rzuciła pochodnię na stos drewna do kominka, który ułożył pod ścianą domku Luke, zanim go zraniono.

Padła z powrotem na podłogę i czekała. Na zewnątrz panowała cisza. Przez jedną bolesną chwilę pomyślała, że jej plan spalił na panewce. Potem usłyszała ostry trzask, a po nim cichy szum, kiedy stos drewna zajmował się ogniem. W domku pojaśniało. Płomienie dotarły do poszycia i zaczęły rozprzestrzeniać się w kierunku lasu. Miała nadzieję, że właśnie tak się stanie.

Odwróciła się do Luke’a. Nie ruszał się, był ledwie przytomny, oddychał płytko, a skóra na jego czole drgała. Gdyby nie przeżył, Glass również wolałaby umrzeć. Była tego pewna równie mocno, jak swojego imienia i nazwiska.

Płomienie huczały coraz głośniejsze. Po kilku minutach poczuła, że atmosfera we wnętrzu domku uległa zmianie. Przeklęła w myślach, gdy zdała sobie sprawę, co zrobiła – owszem, budynek zbudowano z kamienia, ale nie ochroni ich to przed śmiercią, jeśli ogień otoczy ich ze wszystkich stron, a dym udusi. Przez okno wpadały już pierwsze kłęby, widoczne w migoczącym świetle ognia.

Glass przesunęła się bliżej drzwi, przygotowana na szybką ewakuację. Gdy dym zaczął wypełniać pokój, ściągnęła koc z Luke’a i zwilżyła materiał resztką wody. Usłyszała z zewnątrz głosy nawołujące przez polanę.

Klęknęła obok rannego i przykryła się razem z nim zmoczonym kocem. Powietrze stawało się coraz gorętsze, a spod koca dostrzegała migotanie pomarańczowych płomieni za oknem. Ludzie na zewnątrz śmiali się i wiwatowali. Dobrze, niech myślą, że wygrali. Niech myślą, że Glass i Luke już nie żyją – może dzięki temu napastnicy będą zbyt wstrząśnięci ich widokiem, kiedy para spróbuje uciekać.

Luke poruszył się na saniach i cicho jęknął.

– Przepraszam – powiedziała. – Powinłam sprowadzić pomoc wcześniej. Niedobrze, że zostaliśmy tu tak długo.

Powietrze było już tak gorące, że Glass niemal czuła, jak jej skóra topi się i zaczyna schodzić wielkimi płatami. Przez okna wpadały kłęby gęstego dymu, zasłaniając widok i utrudniając oddychanie. Skuliła się pod kocem, próbując ocenić, jak długo jeszcze wytrzymają, zanim będzie za późno na ucieczkę. Jeżeli będą czekać zbyt długo, płomienie otoczą cały dom, odcinając wszystkie drogi ucieczki, a oni uduszą się dymem. Mimo że oczy ją szczypały, podniosła się z podłogi i podbiegła do drzwi. Teraz albo nigdy.

Otworzyła je jednym szarpnięciem i wyjrzała na zewnątrz. Zapadła już noc, a ryczące, jaskrawopomarańczowe płomienie siały w okolicy spustoszenie, rzucając na ścianę drzew chaotyczną pantomimę światła i cienia.

Złapała za linkę sań, skuliła się pod kocem i ruszyła na zewnątrz. Po wyjściu z rozgrzanego jak piec wnętrza domku zachłysnęła się chłodnym powietrzem.

Luke jęknął, gdy ciągnęła go po nierównej ścieżce w dół ku rzece. Biegła, przez kilka długich sekund, mając w uszach tylko trzask ognia. Kiedy dotarła do łodzi i zaczęła spychać ją na wodę, usłyszała pierwsze wrzaski. Płomienie i dym nie wystarczyły, by zamaskować ich ucieczkę.

– Luke – odezwała się do niego, ściągając go z sań. – Musisz mi pomóc. Tylko przez moment.

Otworzył nagle oczy. Poczwała, jak jego mięśnie napinają się w wysiłku. Stał na zdrowej nodze, a ona wsunęła się pod jego ramię. Pokuśtykali razem do łodzi i kiedy niemal zwałił się do jej wnętrza, Glass zrobiła, co w jej mocy, by złagodzić jego upadek. Wrzuciła za nim do środka sanki, a potem wypchnęła łódź dalej na wodę.

Koło jej głowy przeleciały pierwsze strzały i wylądowały z pluskiem w wodzie. Słyszała coraz bliższy łoskot stóp zbiegających ku nim z góry. Ze wszystkich sił napała na burtę łodzi, popychając ją ku głównemu nurtowi. Wskoczyła do niej w ostatniej sekundzie, niemal chybiając celu, gdy prąd wody porwał łódź i pociągnął ją w dół rzeki.

Uniosła głowę i zobaczyła na tle płonącego domku grupę cieni zbiegających po stromym brzegu, więc błyskawicznie opadła na dno łodzi obok Luke'a. Usłyszała, jak kolejne strzały rykoszetują od metalowych burt.

Po chwili fale rzeki całkowicie przejęły kontrolę nad ruchami ich statku i wyraźnie nabrali prędkości. Ostrożnie wystawiła głowę nad krawędź burty i dostrzegła biegnące za nimi brzegiem niemal nieludzkie sylwetki, wyraźnie widoczne na tle coraz odleglejszych płomieni.

Schowała się znowu, ponieważ od burty odbiło się jeszcze kilka strzał, lecz po chwili nurt uniósł ich za zakręt. Minęło parę pełnych napięcia minut, aż w końcu Glass usiadła, złapała wiosło i zaczęła nim pracować, próbując zwiększyć prędkość łodzi. Gdy w końcu wydawało się, że zostawili nieprzyjaciół z tyłu, usiłowała za pomocą wiosła zbliżyć się do brzegu, ale była na to za słaba. Serce waliło jej z wysiłku, a tymczasem ich statek spływał szybko z prądem. Nie miała pojęcia, czy zmiierzają we właściwym kierunku – żeby zorientować się w położeniu, musiałyby użyć kompasu Luke'a. Jeśli miał rację, i rzeczywiście poprzednio kierowali się na północ od obozu, to teraz powinni płynąć na południe.

Po półgodzinie koryto rzeki zwęziło się do tego stopnia, że Glass mogła wskoczyć do lodowatej wody i przyciągnąć łódź do brzegu. Wyciągnęła z torby kompas i postawiła go na ziemi, tak jak pokazywał jej Luke. Dzięki opatrności zmiierzali na południe, a przynajmniej na południowy wschód. Miała nadzieję, że powrót na właściwy szlak nie będzie zbyt trudny. A gdyby tak jeszcze dała radę poruszać się z Lukiem...

– Jeszcze raz, kochanie – poprosiła. – Chciałabym, żebyś wstał i przeszedł ze mną parę kroków.

Jęknął, ale kiedy wyciągnęła go z łodzi, z jej pomocą zdołał wstać. Znowu przekuśtykali przez płyciznę, aż dotarli do brzegu i padli ze zmęczenia. Łódź, pozbawiona obciążenia, zatańczyła się na wodzie, a prąd szybko uniósł ją w dół rzeki, w ciemność. Glass po cichu umieściła ranego na saniach i znowu sięgnęła po linę.

„A teraz trzymaj się, Luke”, pomyślała sobie. Napała na uprząż całym ciężarem ciała. Sanie ruszyły za nią, z początku opornie, lecz po chwili była w stanie przyspieszyć kroku.

Plusk fal stopniowo zostawał za nimi. Zagłębiali się w las, lecz dziewczyna zbytnio się bała, by stanąć i spojrzeć za siebie. Musiała iść naprzód. Musiała znaleźć kogoś, kto pomoże Luke'owi, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

ROZDZIAŁ 21

Wells

To wszystko jego wina. Wszystko.

Wells walnął pięścią w kamienną ścianę najmocniej, jak potrafił. Krew popłynęła mu po knykciach, ale nie czuł fizycznego bólu, tylko brzemie konsekwencji własnych głupich, samolubnych pomyłek, piętrzących się coraz wyżej i wyżej. Ich stos mógł zawalić się w każdej chwili, pogrzebać go i zmiażdżyć nieznośnym ciężarem.

Nie przypuszczał, że kiedykolwiek poczuje się gorzej niż po aresztowaniu Clarke lub śmierci matki. A jednak znalazł się na dnie najgłębszego dołka w życiu. Rozejrzał się po małym pokoiku, szukając jeszcze czegoś, w co mógłby kopnąć lub uderzyć, lecz znalazł tylko wąskie łóżko. To samo, na którym Sasha spała zaledwie kilka godzin temu... a teraz nie żyła.

Padł na materac. Leżał na wznak, a ból w jego piersi był niemal namacalny. Czuł się tak, jakby mógł go złapać w dłoń. Zakrył twarz ramionami. Chciał zasłonić przed sobą samą całą świat, wyłączyć mózg, odepchnąć wszystko i wszystkich. Pożądał nicości. Miał ochotę odpłynąć w nieskończoną ciszę głębokiego kosmosu. Gdyby znajdował się w Kolonii, nie wahałby się ani chwili: otworzyłby śluzę i rzucił się w próżnię bez kombinezonu.

Zakończyłby to wszystko, gdyby potrafił. Gdyby sądził, że to komukolwiek pomoże, usunąłby siebie z tego równania. Zbyt się jednak wstydził, by zostawić przyjaciół samych, zwłaszcza w tym bałaganie, do którego sam doprowadził. Jak jednak miał go uporządkować? Sporu pomiędzy Ziemią i Rhodesem nie dało się załagodzić ot tak. Nie można było przywrócić życia Sashy ani skleić złamanego serca Maksa.

Gdyby tylko mógł powstrzymać sam siebie, zanim jeszcze zapoczątkował sekwencję zdarzeń, która do tego wszystkiego doprowadziła! Gdyby nie powiększył wycieku powietrza w feralnej śluzie, to lądowiki nie musiałyby wystartować tak nagle. Koloniści mieliby wówczas więcej czasu, by przygotować je do lotu i może nawet zdołaliby wysłać na Ziemię więcej ludzi. Tymczasem każdy, kto nie zdołał wywalczyć sobie miejsca na pokładzie lądowika, został na orbicie i właśnie umierał, w miarę jak z Kolonii ubywało tlenu.

Gdyby nie zainscenizował udawanego ataku, by odbić Bellamy'ego z więzienia, może Rhodes i jego ludzie nie baliby się wojowniczego odłamu Ziemi tak bardzo – i nie uciekali się tak chętnie do przemocy, w efekcie której zginęła Sasha. A gdyby on, Wells, się z nią nie związał, to pewnie żyłaby długo i szczęśliwie, sama lub z kimś innym.

Zdawało mu się, że udusi się pod ciężarem tych myśli. Łapał powietrze płytkimi, urywanymi haustami i czuł, jak ogarnia go panika. Nie mógł nigdzie uciec ani zrobić czy powiedzieć niczego, co naprawiłoby sytuację. Był w pułapce.

Właśnie doszedł do wniosku, że najlepiej byłoby wybiec z pokoju i w ogóle opuścić Mount Weather, kiedy usłyszał, jak znajomy głos wypowiada jego imię. Otworzył oczy i na tle światła z korytarza zobaczył w drzwiach sylwetkę Clarke.

– Mogę wejść? – zapytała.

Wells podniósł się gwałtownie, oparł plecami o ścianę i schował twarz w dłoniach. Dziewczyna usiadła koło niego na łóżku. Trwali tak w milczeniu przez kilka minut.

– Chciałabym móc powiedzieć coś, co by ci pomogło – odezwała się w końcu.

– Nie ma takich słów – odparł martwo.

Położyła dłoń na jego ramieniu, a on się wzdrygnął. W pierwszej chwili obruszyła się, ale potem chwyciła go mocniej i ścisnęła.

– Wiem, co czujesz. Też straciłam mnóstwo ludzi i wiem, że słowa nic nie zmieniają.

Nie podniósł głowy, ale był zadowolony, że nie zaczęła wygadywać bzdur, na przykład o tym, że Sasha znajduje się teraz w lepszym miejscu. Nasłuchał się tego dość, kiedy zmarła jego matka, chociaż wtedy przynajmniej częściowo w to wierzył. Wyobrażał sobie mamę na Ziemi, zjednoczoną po śmierci z prawdziwą ojczyzną ludzkości, a nie skazaną na wieczność pośród zimnych, bezdusznych gwiazd. Tym razem było inaczej. Sasha za życia mieszkała tam, gdzie powinna, a teraz... przebywała w nicości, zbyt wcześnie wygnana ze świata, który kochała.

– Tak mi przykro, Wells – wyszeptała Clarke. – Sasha była taka cudowna. Mądra, silna... i szlachetna. Tak jak ty. Razem tworzyliście parę, która mogła być wzorem dla innych.

– Ja miałbym być szlachetny? – To słowo nabrzmiało w ustach Wellsa goryczą. – Clarke, daj spokój. Jestem mordercą!

– Mordercą? Wells, nie! W tym, co się stało, nie ma cienia twojej winy. Wiesz przecież doskonale!

– To wyłącznie moja wina. W stu procentach – odparł, po czym wstał z łóżka i zaczął przemierzać pokój w tę i w tę jak Odosobniony więzień odliczający godziny do egzekucji.

– O czym ty mówisz? – Clarke patrzyła na niego z troską i przejęciem w oczach.

– To przeze mnie stało się to wszystko. Jestem samolubnym łajdakiem, który niszczy ludzi na swojej drodze, gdziekolwiek się ruszy. Gdyby nie ja, wszyscy tam na górze – wzniosł wskazujący palec ku sufitowi – żyliby jeszcze!

Clarke również się podniosła i podeszła do niego z wahaniem.

– Wells, jesteś zmęczony. Chyba powinieneś się położyć jeszcze na chwilę. Poczujesz się lepiej, kiedy odpoczniesz.

Miała rację. Wells naprawdę był wyczerpany, ale nie tylko dlatego, że był świadkiem śmierci ukochanej dziewczyny. Wykończył się do reszty, usiłując dotrzymać swojej największej tajemnicy. Padł z powrotem na łóżko. Clarke usiadła koło niego i objęła go.

Nie miał nic do stracenia, i tak już sobą pogardzał. Nie miało najmniejszego znaczenia, czy inni też będą czuli do niego pogardę.

– Jest coś, czego ci jeszcze nie powiedziałem, Clarke.

Napięła wszystkie mięśnie, ale nic nie powiedziała. Czekała, aż chłopak dokończy myśl.

– Zepsułem służbę na „Feniksie”.

– Co?!

Nie patrzył na nią, ale świetnie słyszał zmieszanie i niedowierzanie w jej głosie.

– Była uszkodzona już wcześniej, a ja tylko powiększyłem dziurę, żeby powietrze uciekało

szybciej i zesłali cię na Ziemię jeszcze przed osiemnastymi urodzinami. Chcieli cię zabić, Clarke. Nie mogłem pozwolić, żeby tak się stało. Nie po tym, co już ci wcześniej zrobiłem. Przecież to przede wszystkim przeze mnie zostałaś Odosobniona.

Clarke wciąż milczała, więc chłopak mówił dalej. W jego głosie słychać było dziwne, odrętwiające połączenie ulgi i przerażenia. Wyrzucał z siebie słowa, które przez tyle miesięcy obawiał się wypowiedzieć.

– To z mojego powodu koloniści musieli opuścić statek w takim pośpiechu, a tak wielu ludzi utknęło w Kolonii, dusząc się z braku tlenu. To ja im to zrobiłem.

Nadal milczała, więc w końcu zmusił się, by na nią popatrzeć, przygotowany na spojrzenie pełne strachu i pogardy. Okazało się jednak, że na twarzy Clarke widać raczej smutek. Z szeroko otwartymi oczami wyglądała zupełnie bezbrinnie, niemal jak dziecko.

– Zrobiłeś to... dla mnie?

Wells powoli skinął głową.

– Musiałem. Podśluchałem rozmowę ojca z Rhodesem, stąd wiedziałem, co planują. Chcieli cię albo zabić, albo wysłać na Ziemię... A ja w tej sytuacji nie mogłem za cholere dopuścić do opcji numer jeden.

Gdy Clarke znów się odezwała, w jej głosie ku jego zaskoczeniu nie było wzgardy, tylko smutek.

– Gdybym wiedziała... nie pozwoliłabym ci tego zrobić. Wolałabym umrzeć, niż narazić na niebezpieczeństwo tylu ludzi.

– Wiem – odparł i znów ukrył twarz w dłoniach, bo policzki płonęły mu ze wstydu. – To był szalony i samolubny postępek. Byłem przekonany, że nie umiałbym żyć w zgodzie ze sobą samym, gdybyś umarła, ale teraz i tak nie potrafię się pogodzić z tym, co zrobiłem – Zaśmiał się krótko i gorzko. – Oczywiście teraz rozumiem, że najwłaściwszą rzeczą byłoby wtedy samobójstwo. Gdybym wyszedł przez tą śluzę w próżnię, oszczędziłbym wszystkim mnóstwo bólu i cierpienia.

– Wells, nie mów tak! – Przysunęła się, by spojrzeć mu prosto w oczy. – Tak, masz rację, to była pomyłka... i to ogromna. Ale nie przekreśliła wszystkich tych nieprawdopodobnych rzeczy, których udało ci się dokonać. Pomyśl o tych, których ocaliłeś. Gdybyś nie uszkodził śluzę, stracono by nas, zamiast posłać na Ziemię. Nie tylko mnie. Molly, Octavię, Erika. Poza tym dzięki tobie udało nam się przetrwać tutaj, w obozie.

– Z ledwością. Przecież to ty wszystkich leczyłaś, ja tylko narąbałem trochę drewna na ognisko.

– Nie, Wells, zmieniłeś dziką, niebezpieczną planetę w nasz własny dom. Sprawileś, że dostrzegliśmy swój potencjał, a potem go wykorzystaliśmy. Zobaczyliśmy, co możemy osiągnąć, jeżeli będziemy działać razem. Zainspirowałeś nas. Wydobyłeś na wierzch to, co było w nas najlepsze.

To samo uwielbiał u Sashy – sposób, w jaki motywowała go do bycia lepszym człowiekiem i przywódcą. Zawiódł ją i nawet Clarke nie mogła go przekonać, że było inaczej, ale nie oznaczało to, że powinien przestać próbować. Był jej to winien.

– Ja... już sam nie wiem, co teraz robić – przyznał cicho.

– Na początek mógłbyś na przykład sobie wybaczyć. Chociaż trochę...

Wells nie miał pojęcia, czy to możliwe. Spędził całe życie, zjawiając się we właściwym miejscu i czasie, robiąc to, co mu kazano, tak, jak się tego spodziewano. Zawsze postępował w zgodzie z zasadami moralności, dokonywał właściwych wyborów, nie biorąc pod uwagę własnych uczuć. A jednak w najważniejszym momencie zawiódł, a w efekcie ucierpiały tysiące ludzi. To było

niewybaczalne.

Clarke znała go doskonale. Kiedy z nią rozmawiał, czasem czuł się tak, jakby głośno myślał. Teraz też wiedziała, w jaką strunę uderzyć:

– Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że nie lubisz okazywać emocji, ale czasem powinienes. Trzeba wykorzystać te uczucia w jakimś celu. Być człowiekiem. To pozwoli ci zostać jeszcze lepszym przywódcą.

Ujął jej dłoń i uścisnął. Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszeli ruch i głosy dobiegające z korytarza. Zerwali się z łóżka i wybiegli z pokoju, dołączając do tłumu przemieszczającego się w kierunku hali.

Max stał przed nimi w olbrzymim pomieszczeniu, które stało się ich centrum dowodzenia. Twarz miał wyzutą z emocji, a przygarbione ramiona wyglądały dziwnie nie na miejscu. Z jego oczu zniknął dawny ogień.

– Mamy gości – ogłosił, zapraszając gestem do siebie kogoś niewidocznego. Setki głów odwróciły się, w poszukiwaniu nowych przybyszów. – Nie martwcie się, żaden z nich nie jest uzbrojony. Sprawdziliśmy to.

Wells i Clarke odetchnęli z ulgą, rozpoznając kilkanaście osób spośród setki zesłańców. Grupę prowadzili Eric i Felix.

– Czy przysłała was Rhodes? – zapytał Max.

Tłum wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

– Nie – odparł spokojnie Eric, kręcąc przecząco głową. – Przybyliśmy, by do was dołączyć. Nie chcemy mieć już nic wspólnego z Rhodesem ani pozostałymi kolonistami.

Max zmierzył ich przenikliwym spojrzeniem. Lata doświadczenia wyostrzyły u niego umiejętność oceniania ludzkiego charakteru.

– A to dlaczego? – zapytał.

Eric popatrzył na niego i odpowiedział:

– Ponieważ całkowicie przejęli władzę w obozie. Teraz to już nie jest to samo miejsce, które zbudowaliśmy. Nie ma mowy o dyskusji ani współpracy. Rhodes rozkazuje ludziom, co mają robić, a strażnicy pilnują, żeby to zostało wykonane, tak jak w Kolonii. Więzienie wybudowane dla Bellamy'ego pęka w szwach. Jakby tego było mało, pobili jedną kobietę tak mocno, że chyba nie będzie mogła już chodzić. – Przerwał, rozejrzał się po tłumie Ziemi, patrzących na niego z wahaniem, aż dostrzegł Wellsa i zwrócił się do niego: – Kiedy ty dowodziłeś, działało się o wiele lepiej. Byłeś symbolem czegoś, o co warto walczyć.

Smutek trzymający Wellsa w żelaznym uścisku jakby zelżał. Wydało mu się, że widzi gdzieś daleko słabe światełko nadziei.

Max odchrząknął znacząco i wszyscy spojrzeli na niego.

– W takim razie możecie zostać wśród nas. Będziecie mile widziani i pomożemy wam w osiedleniu, ale przedtem muszę zapytać: czy orientujecie się, co może planować wicekanclerz Rhodes?

– Tak – przyznał Felix, występując naprzód. – Między innymi dlatego zdecydowaliśmy się tu przyjść. Zgłosiłem się na ochotnika do pomocy strażnikom, więc słyszałem, o czym rozmawiają. Nie wierzą, żeby istniały dwie oddzielne grupy Ziemi. Uważają was za niebezpiecznych i nie zdołaliśmy ich przekonać, że jest inaczej. Sądzą, że wszyscy działacie razem przeciw nim.

– Dlatego właśnie planują atak – wszedł mu w słowo Eric. – I to na całego. Mają więcej broni,

niż nam się z początku wydawało. Odkryliśmy, że zgromadzili broń i amunicję w tajnym składzie w lesie.

Pomieszczenie wypełnił gwar niespokojnych głosów, ale Max ani drgnął. Znow wyglądał tak jak kiedyś, a w jego oczach zapaliło się dawne światło.

– Chcecie walczyć u naszego boku? – zapytał zesłańców.

Eric, Felix i pozostali energicznie kiwali głowami. Wells poczuł, jak rozsadza go wdzięczność i duma.

– To świetnie. Sądzę, że teraz, z waszym wsparciem, mamy szansę na zwycięstwo – powiedział Max i posępnie potrząsnął głową. – Wszystko to zaczęło się od pomocy udzielonej waszym przyjaciółom, ale teraz wyraźnie widać, że nie dało się uniknąć większego konfliktu. Prędzej czy później Rhodes i tak wciągnąłby nas w wojnę. Lepiej załatwmy to szybko, zanim... – zaczerpnął głęboko powietrza. – ...zanim jeszcze ktoś ucierpi.

Bellamy podbiegł do Erika i spytał:

– A co z Octavią? Jest z wami? Wszystko u niej w porządku?

– Tak, w najlepszym... Jednak nie przyszła razem z nami. To była dla niej trudna decyzja, ale uważała, że powinna zostać z dziećmi, zwłaszcza teraz, kiedy sytuacja zrobiła się niebezpieczna – odparł tamten, twarz mu złagodniała i pocieszającym gestem położył dłoń na ramieniu Bellamy'ego.

– Nie martw się – wtrącił Wells. – Jak już skopiemy Rhodesowi tyłek, będzie można ich wszystkich tu przyprowadzić. Octavię, dzieciaki i każdego, kto zechce.

Bellamy kiwnął głową, a niepewność w jego oczach ustąpiła miejsca determinacji. Wells dobrze wiedział, że jego brat przygotowuje się wewnątrz do walki. Tak jak i pozostali.

Max pogrążył się w rozmowie ze swoimi zastępcami i było jasne, że zaczęli już rozważać plany bitwy. Zerknął przelotnie na Wellsa, który odwrócił wzrok, wciąż jeszcze niegotowy, by spojrzeć mężczyźnie prosto w oczy. Młody Jaha był pewny, że ostatnią rzeczą, której potrzebuje teraz Max, jest widok chłopaka, przez którego zginęła jego córka. Jednak ku jego zaskoczeniu przywódca Ziemiaków zawołał go po imieniu:

– Podejdz tu, Wells! Potrzebujemy twojej rady.

ROZDZIAŁ 22

Clarke

Clarke spędzała każdą wolną chwilę w pomieszczeniu radiostacji. Dzisiaj również tam siedziała. Po zebraniu, na którym omawiali z Maksym strategię, rozeszli się każde w swoją stronę, by przygotować się do bitwy. Eric powiedział im, że Rhodes planuje atak tuż przed świtem następnego dnia, czyli za osiem godzin.

Zgodzili się, że najlepiej poczekać na kolonistów w Mount Weather, gdzie Ziemiańskie mieli przewagę w postaci solidnych umocnień bunkra, chronionego dodatkowo ze wszystkich stron przez formacje skalne, oraz dzięki szczegółowej znajomości terenu, a tej brakowało Rhodesowi i jego ludziom. Ziemiańskie wysłali już do lasu grupę bojowników, którzy wspięli się na drzewa, gdzie pozostawali niewidoczni aż do rozpoczęcia bitwy. Kiedy atakujący koloniści już przejdą pod nimi, ziemscy żołnierze opuszczą swoją kryjówkę, a wówczas wicekanclerz i jego ludzie znajdą się w kleszczach między tym oddziałem a głównymi siłami oczekującymi w Mount Weather.

Ten plan miał wiele słabych punktów, ale lepszego nie wymyślili. Musieli polegać na elemencie zaskoczenia – i na szczęście. Podczas gdy inni nerwowo przemierzali korytarze, oczekując sygnału „na pozycje!”, Clarke znalazła schronienie w radiostacji. Tam niemal czuła obecność rodziców, dzięki czemu łatwiej jej było zachować spokój i nadzieję.

W ciszy panującej w pomieszczeniu mogła również na nowo przemyśleć wszystko to, co powiedział jej Wells. Nawet gdyby poproszono ją, by wyobraziła sobie najgorszy koszmar z tym chłopakiem w roli głównej, nie przyszedłoby jej do głowy, że był zdolny do takich czynów. Naraził na niebezpieczeństwo wszystkich kolonistów, co do jednego, tylko po to, by dać jej szansę dożycia osiemnastych urodzin. Poczwała nagle falę potwornych mdłości. Prawie wszyscy ludzie, których znała, zmarli z jej powodu – przez to, co zrobił Wells, aby ją ocalić. Z drugiej strony jednak nie powinna go pochopnie oceniać. Kiedy odkryła, że jej rodzice prowadzą badania nad promieniowaniem, wykorzystując w charakterze królików doświadczalnych niezarejestrowane dzieci z centrum opieki, nie zrobiła nic, żeby ich powstrzymać. Clarke wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, jak to jest, kiedy się stawia ukochanych ludzi ponad wszystko. Spędziła większą część życia, postrzegając świat w czerni i bieli, oddzielając dobro od zła tak swobodnie, jak komórki roślinne od zwierzęcych podczas egzaminu z biologii. Ostatni rok brutalnie zburzył ten porządek i nauczył ją, że pewne reguły mogą być względne.

Wszystkie te myśli przemykały jej przez głowę, gdy manipulowała gałkami i przełącznikami radia. Głośny, stały szum wypełniał pokój, odbijając się od kamiennych ścian. Spróbowała innej kombinacji przełączników i szum stał się nieco głębszy, ale za to po chwili dołączył do niego wysoki pisk. Pochyliła się ku aparaturze i spojrzała uważniej. Tego dźwięku jeszcze nie słyszała. Delikatnie

przekręciła gałkę ząbek dalej. Pisk ucichł i przez sekundę znów było słyhać tylko jednostajny szum. Serce Clarke zamarło.

Wówczas za zasłoną zakłóceń usłyszała jeszcze coś innego. Dźwięk był tak słaby jak czyjś szept na wietrze. Z początku nie potrafiła go zidentyfikować, a mimo to wydawał jej się znajomy. Stopniowo rósł, tak jakby się do niej zbliżał. Przysunęła głowę do głośnika, wyęzając słuch. Nie była pewna, co właściwie słyszy. Czy to możliwe, żeby...? Pokręciła głową. Chyba za dużo sobie wyobrażała, a rozpacz prowadziła ją prosto do szaleństwa.

Po chwili dźwięk zabrzmiał głośniej i wyraźniej. To był na pewno ludzki głos. Nie wydawało się jej, rzeczywiście go usłyszała. Przeszedł ją dreszcz, a serce zaczęło bić mocniej. Znała ten głos!

To była jej mama.

Teraz dało się wyróżnić poszczególne słowa.

– Próba połączenia – mówiła mama Clarke obojętnym tonem, tak jakby wypowiadała te słowa wcześniej już tysiąc razy. – Próba połączenia. Alfa, Bravo, Charlie, próba połączenia.

Clarke zamknęła oczy i pozwoliła, by głos matki przepływał przez nią, wypełniając ją cudowną mieszanką ulgi i radości, jak dźwięk bijącego serca u pacjenta, u którego wcześniej stwierdzono jego zatrzymanie. Ręka jej się trzęsła, gdy sięgała do guzika włączającego nadawanie.

– Mamo! – zawołała do mikrofonu, dygocąc z emocji. – Czy... czy to ty?

W eterze zapanowała cisza, a Clarke wstrzymała oddech na tak długo, aż poczuła ból w klatce piersiowej.

– Clarke? Clarke?! – dobiegło w końcu z głośnika.

To niewątpliwie była jej mama. A potem dziewczyna usłyszała w tle męski głos należący do jej taty. A więc to prawda! Rodzice Clarke żyli!

– Clarke, skąd nadajesz? – zapytała matka, a mimo zakłóceń w jej głosie słyhać było niedowierzanie i zaskoczenie. – Czy jesteś na Ziemi?

– Tak... jestem tutaj. Ja... – I w tej chwili Clarke zaszlochała, a łzy popłynęły po jej twarzy.

– Córeczko, co się dzieje? Dobrze się czujesz?

Próbowała powiedzieć matce, że czuje się świetnie, ale mogła tylko łkać. Przez wiele miesięcy Odosobnienia dławiła łzy, które teraz płynęły szeroką strugą. Wcześniej wierzyła, że została sama we Wszechświecie. Teraz jej serce wypełniała radość tak wielka, że niemal bolesna, aż nie mogła powstrzymać płaczu.

– Clarke, mój Boże, co się dzieje? Gdzie jesteś?

Wytarła nos wierzchem dłoni i spróbowała złapać oddech.

– Wszystko w porządku, nie mogę tylko uwierzyć, że z wami rozmawiam. Powiedziano mi, że zostaliście straceni. Myślałam, że... że nie żyjecie!

W tym momencie przypomniały jej się wszystkie rozmowy, które toczyła z rodzicami we własnej głowie przez ostatnie półtora roku, wyobrażając sobie, co by powiedzieli, gdyby zrelacjonowała im swój proces, działania Wellsa, a nade wszystko – reakcję na piękno Ziemi. Przez osiemnaście miesięcy nie doczekała się odpowiedzi na swoje błagania i modlitwy. Teraz jednak dławiące milczenie zostało przerwane, a z serca spadł jej kamień, z którego rozmiaru nie zdawała sobie dotąd sprawy.

– Już dobrze, Clarke. Jesteśmy tu, cali i zdrowi. A gdzie ty jesteś? – Głos jej ojca brzmiał pewnie i uspokajająco.

– Jestem w Mount Weather – odpowiedziała, wycierając nos rękawem. – A wy?

– Och, Cla... – zaczęła jej mama, ale nagle transmisja się urwała.

Zamiast głosu dziewczyna usłyszała znów wysoki pisk.

– Neeee! – wrzasnęła Clarke. – Nie, nie, nie!

Zaczęła gorączkowo kręcić gałkami i strzelać przełącznikami, ale nie mogła już odnaleźć właściwej częstotliwości. Łzy radości ustąpiły miejsca frustracji. Czuła się teraz tak, jakby znów straciła rodziców.

– Cholera jasna! – krzyknęła, uderzając dłonią w konsolę.

Musi znów złapać odpowiednią falę! Zanim jednak zdołała cegokolwiek spróbować, drzwi otworzyły się z trzaskiem i kilku ludzi Maksa wpadło do pokoju.

– Clarke, nadchodzą – rzucił pośpiesznie jeden z nich. – Musimy iść na pozycje.

– Ale to za wcześnie – odparła zaskoczona. – Jakim cudem dotarli tutaj tak szybko?

– Nie wiemy, ale czas ruszać.

Spróbowała pojąć, co to może znaczyć, i zakręciło jej się w głowie. Rhodes i jego ludzie przygotowywali się do ataku na Mount Weather.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi...

– Mimo to musimy iść – stwierdził mężczyzna.

Clarke zerwała się z krzesła i otarła łzy z twarzy, wdzięczna losowi za to, że wszyscy byli zbyt zajęci, by zapytać, dlaczego płakała. Nie oglądając się na błyskające światła, starała się zapomnieć o szumie i trzaskach zakłóceń dobiegających z głośników. Wybiegła z pomieszczenia, by przygotować się do walki.

ROZDZIAŁ 23

Bellamy

Bellamy'ego nie bolało już ramię. Adrenalina krążąca w jego żyłach była lepsza od jakiegokolwiek środka przeciwbólowego. Przeszłował z nogi na nogę i zacierał ręce. Aż go świerzbilo, żeby chwycić za broń. Nie mógł zdecydować, co by wolał – postać perfekcyjnie wycelowaną strzałę prosto w gardło Rhodesa czy może raczej wbić z rozmachem włócznię w jego pierś.

Ziemiańskie gromadziły się już w centrum dowodzenia. Wielu dorosłych zdążyło się uzbroić w noże, włocznie i rozmaite łuki, podczas gdy inni byli gotowi poprowadzić dzieci i starszych mieszkańców do kryjówek w głębi fortecy. Bellamy sięgnął po łuk i ze zmarszczonym czołem sprawdził naciąg cięciwy.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zapytała spokojnie Clarke. – Bellamy, przecież zostałeś postrzelony. Jeszcze dużo czasu minie, zanim całkiem wrócisz do zdrowia.

– Nie wysilaj się, Griffin – odparł, przebierając wśród strzał. – Wiesz, że za cholerę nie wysiedzę na miejscu, kiedy ci ludzie będą ryzykowali dla mnie życie.

– No dobrze, tylko uważaj – odpowiedziała z ociąganiem.

Twarz miała bladą, a oczy zaczerwienione od łez. Spędzili razem kilka minut, przygotowując się do walki. Wtedy opowiedziała mu o urwanej rozmowie z rodzicami. Nie mieli jednak czasu, by świętować ten mały cud. Oboje skupili się na tym, co czekało ich już niedługo: bitwa, podczas której mieli zamiar walczyć tak, by wicekanclerz Rhodes pożałował, że kiedykolwiek postawił stopę na Ziemi.

– „Uważaj” to moje drugie imię – rzucił, odkładając na bok kilka strzał, które pomyślnie przeszły kontrolę.

Uśmiechnęła się.

– A wydawało mi się, że to samo mówiłeś kiedyś o „Zagrożeniu” i „Zwycięzcy”.

– Zgadza się, to właśnie ja. Bellamy Uważaj Zagrożenie Zwycięzca Blake.

– Zaczynam ci zazdrościć. Dlaczego ja nie mam żadnego drugiego imienia?

– Och, mogę na poczekaniu wymyślić parę takich, które będą do ciebie pasowały – oznajmił, obejmując ją w talii. – Zobaczmy, może tak: Clarke Mądrała... Dyktatorka...

Przewróciła oczami i uderzyła go żartobliwie w ramię. Uśmiechnął się łobuzersko, przyciągnął ją bliżej, pochylił się i wyszeptał do ucha:

– Błyskotliwa i Seksowna Griffin.

– Nie jestem przekonana, czy to wszystko zmieści się na wizytówce, ale podoba mi się.

– Wszyscy gotowi? – zapytał Wells, podchodząc do nich energicznym krokiem. Jego postawa

uległa całkowitej przemianie. Chociaż miał na sobie tylko spłowieła, poplamiona koszulka i poszarpane, przykrótkie spodnie, poruszał się tak, jakby wciąż nosił oficerski mundur. Kilka tygodni temu Bellamy zareagowałby na taki widok irytacją, ale teraz był wdzięczny losowi, że ma brata otrzaskanego z wojskowym rzemiosłem.

– Jestem bardziej niż gotowy – powiedział, próbując dodać wszystkim naokoło otuchy.

Uniósł pięść, żeby przybić żółwika z bladym i zdenerwowanym Feliksem.

– Nie mogę się doczekać, żeby skopać parę strażniczych tyłków! – dodał i uśmiechnął się szelmowsko do Wellsa.

– Chciałbym być tak pewny siebie! – stwierdził Felix.

– To nie pewność siebie, lecz arogancja – wyjaśnił Bellamy. – A to wielka różnica.

– Cokolwiek to jest, brzmi świetnie – podsumował Wells ku zaskoczeniu Bellamy’ego. – Będziemy tego potrzebować, i to sporo.

Na skinięcie Maksa młody Jaha przeszedł przez salę i stanął koło niego. Mimo atmosfery rozgorączkowania gwar tłumu szybko ucichł.

– Przyjaciele – przemówił Max poważnie – dotarły do nas wiadomości, że ponad dwudziestu kolonistów zbliża się do Mount Weather. Za chwilę udamy się na wyznaczone pozycje i przygotujemy do walki. Przybyli dużo wcześniej, niż się ich spodziewaliśmy, ale bądźcie pewni, że nasz opór nie będzie przez to słabszy. Pamiętajcie: nie chcemy nikogo skrzywdzić, tylko zapobiec bezsensownym aktom przemocy. Jeżeli będziemy zmuszeni użyć siły, żeby się obronić, to jej użyjemy, lecz nie taki jest nasz cel.

Po czym odwrócił się do Wellsa, który odchrząknął i zabrał głos:

– Tak jak się spodziewaliśmy, mają ze sobą karabiny... i to całkiem sporo, więc bądźcie ostrożni i nie podejmujcie niepotrzebnego ryzyka. Mimo że wróg dysponuje bronią palną, nie jest niepokonany.

Wells zaczął objaśniać szczegóły szkolenia strażników, formacje, jakich używają, i taktykę, którą najprawdopodobniej zastosują. Bellamy dopiero teraz docenił w pełni to, że mają po swojej stronie oficera straży obeznanego z procedurami Kolonii.

Max przejął pałeczkę.

– Trzeba pamiętać, że nie walczymy tylko o to, by ochronić tych młodych ludzi, którzy zwrócili się do nas o pomoc. Stajemy do walki o nasz model życia. Próbowaliśmy negocjować z nowymi sąsiadami, ale w miarę rozmów stawało się jasne, że nie cenią sobie pokoju i współpracy. Jeżeli nie poradzimy sobie z nimi teraz, kto wie, czego spróbują następnym razem... – Tu przerwał i rozejrzał się po pomieszczeniu. – Straciłem już córkę... I nie mógłbym znieść utraty kogokolwiek z was – dodał. Zaczerpnął powietrza i przemówił z nową siłą: – Nasi przodkowie i my walczyliśmy z licznymi przeciwnościami i mimo wszystko udało nam się zwyciężyć. Inni pozostawili Ziemię na pastwę losu, ale my zostaliśmy i wywalczyliśmy sobie na niej własne miejsce.

Z tłumu padło kilka okrzyków, a Max się uśmiechnął.

– To nasze terytorium, nasza planeta! Teraz nadszedł czas, by zdecydować, jak wiele jesteśmy skłonni poświęcić w jej obronie.

Wells również się uśmiechnął i podał dłoń Maksowi. Starszy mężczyzna uścisnął ją obiema rękami, a potem przyciągnął młodzieńca do siebie i objął ramieniem.

– Czy wszyscy są gotowi? – zapytał Wells, zwracając się do tłumu.

Wojenny okrzyk wstrząsnął surowymi kamiennymi ścianami, gdy zgromadzeni unieśli pięści,

włócznie, strzały i noże, potem zaś – już w milczeniu – podążyli do wyjść. Wyślizgnęli się na zewnątrz i zaczęli zajmować pozycje w mrocznym lesie wokół Mount Weather.

Clarke przewiesiła przez ramię torbę z medykamentami i sięgnęła po długi nóż.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Bellamy, którego podniecenie ustąpiło w tym momencie miejsca lodowatemu strachowi.

Wysunęła brodę do przodu i zmierzyła go swoim najbardziej upartym spojrzeniem.

– Za chwilę na zewnątrz ludzie zaczną robić sobie krzywdę, a wtedy będę im potrzebna.

Bellamy otworzył usta, by zaprotestować, ale zamknął je czym prędzej, gdy zdał sobie sprawę, jak samolubny byłby to protest. Clarke miała rację. Jako osoba dysponująca największym medycznym doświadczeniem rzeczywiście mogła okazać się pomocna na polu walki.

– W takim razie proszę, żebyś była bardzo, bardzo ostrożna – powiedział w końcu. – Obiecujesz?

– Obiecuję.

Bellamy uniósł jej twarz ku swojej.

– Clarke, cokolwiek się zdarzy, chcę, żebyś wiedziała...

Pokręciła głową i przerwała mu pocałunkiem.

– Nie mów tak – rzuciła zdecydowanie. – Wszystko będzie w porządku.

Uśmiechnął się do niej.

– Widzę, że zaczynasz łapać, o co chodzi z tą arogancją!

– Uczyłam się od najlepszych.

Odpowiedział jej pocałunkiem, po czym złapał łuk i ruszył w kierunku schodów.

– Bellamy! – zawołał Wells, podbiegając do niego. – Słuchaj, wiem, że ci się to nie spodoba, ale uważamy, że najlepiej dla wszystkich byłoby, gdybyś został w środku.

– Cooo? – Chłopak aż zmrużył oczy, jakby usłyszał właśnie obelgę. – Nie mówisz chyba poważnie? Za cholere tu nie zostanę. Nie boję się Rhodesa ani żadnego strażnika. Niech no tylko spróbują znów mnie złapać!

– Właśnie o to chodzi. Za dobry z ciebie cel. Będziesz zagrożeniem dla wszystkich wokół siebie. Wiem, że świetnie walczysz, jesteś jednym z naszych najlepszych wojowników, ale nie warto tak ryzykować.

Bellamy gapił się na Wellsa, walcząc z gniewem i oburzeniem, które przelewały mu się w głowie. Co, do cholery, myślał sobie ten Jaha, próbując trzymać go z daleka od pola walki? Czy to, że chodził z córką przywódcy Ziemi, automatycznie czyniło go zastępcą Maksa? Złośliwe pytania powoli formujące mu się pod czaszką zniknęły jednak tak szybko, jak się pojawiły. Wells miał rację. Tu chodziło o coś więcej niż sam Bellamy i jego zemsta. Powinien podjąć decyzję najlepszą dla grupy, czyli – w tym wypadku – przywarować.

Posłał Clarke żalospny uśmiech, kładąc łuk na podłódze, a potem odwrócił się do Wellsa i uściśnął mu dłoń.

– Uważaj na siebie, chłopie. I daj niezły wycisk Rhodesowi w moim imieniu!

Wells wyszczerzył zęby, przyciągnął do siebie brata i uściśnął go.

– Niedługo się zobaczymy – zapewnił go, cofnął się o krok i spojrzął na Clarke. – Gotowa do wymarszu?

Skinęła głową, po czym jeszcze raz odwróciła się do Bellamy'ego, a on objął ją i przytulił. Przez chwilę trwali tak, ona z policzkiem na jego piersi, on całujący ją w czubek głowy, aż w końcu odsunęli się od siebie.

– Kocham cię – powiedział.

– Kocham cię – powtórzyła jak echo.

– Opiekuj się nią, Wells! – zawołał po chwili Bellamy, kiedy tamtych dwoje już wspinało się na górę.

Brat odwrócił się, spojrział na niego poważnie i kiwnął głową.

– A ty, Clarke, opiekuj się nim – powiedział Bellamy, tym razem nieco ciszej. – Miejcie oko na siebie nawzajem...

Chwilę później zniknęli za zakrętem schodów.

Bellamy nie był pewien, ile razy przemierzył korytarze Mount Weather, ale nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu. Musiał się poruszać. W bunkrze panowała upiorna cisza. Minął kwadrans, a potem dwadzieścia minut. Nie mógł już tego znieść! Wbiegł na górę kręconymi schodami i otworzył gwałtownie drzwi. Stał przez chwilę w ciemności, nasłuchując, czy bitwa już się rozpoczęła.

W końcu rozbrzmiał długi, niski gwizd, a po nim trzy krótkie świsty odbijające się echem pod kamiennym sufitem. Ludzie Rhodesa byli blisko. Bellamy wstrzymał oddech. Kilka sekund później usłyszał pierwszy strzał, po nim kolejny, a później – całą kanonadę, zbyt wiele wystrzałów naraz, żeby dało się je zliczyć. Towarzyszyły im błyski karabinowego ognia, wyraźnie widoczne w mroku. Dziesiątki strzał i włóczni przemknęły z szumem, kierując się z drzew w dół. Rozpaczliwe wrzaski wzbijały się w niebo, dochodząc jakby z trzewi Ziemi. Zaraz potem, materializując się jakimś tajemniczym sposobem w ciemności, z lasu zaczął spływać strumień rannych kobiet i mężczyzn, którzy wypełniali polanę wokół Mount Weather – byli wśród nich zarówno koloniści, jak i Ziemianie. Łączyło ich jedno: wszyscy broczyli krwią i jęczeli z bólu. To była rzeź równie krwawa, jak katastrofa lądowców po ewakuacji Kolonii.

Niewiele myśląc, Bellamy wyskoczył na zewnątrz. Wyciągnął pałkę z dłoni rannego Ziemianina i ruszył naprzód, dziko nią wymachując. Powalił kilku wrogów, zanim trzech Ziemian chwyciło go za ramiona i zbiło z nóg. Pociągnęli go z powrotem do wnętrza Mount Weather, mimo że kopał i ze wszystkich sił starał się uwolnić.

– Puśćcie mnie! – wył. – Chcę walczyć tak jak inni!

– Musisz zejść z widoku – upomniała go jedna z kobiet.

Bellamy natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. Dlaczego znów pozwolił, żeby go poniosło? Przestał stawiać opór i pobiegł w kierunku wrót do bunkra. Ziemianie otoczyli go ochronnym kręgiem i biegli razem z nim. Zanim dotarli do bezpiecznego schronienia, mężczyzna po jego prawej stronie krzyknął i upadł. Bellamy zamarł i spojrział z przerażeniem na krew buchającą z piersi leżącego, który mimo to podniósł rękę i pokazał Bellamy'emu, żeby uciekał. Chłopak skoczył naprzód, najszybciej jak potrafił. Jeszcze tylko kilkanaście metrów... Czuł, że napastnicy są tuż za nim, niemal dyszą mu w kark. Napiął mięśnie i pobiegł jeszcze szybciej, czując palący ból wysiłku w całym ciele.

Był już niemal przy drzwiach bunkra, gdy nagle wszystko wokół ucichło.

– Stój, Blake, albo ich wszystkich zastrzelę! – warknął męski głos gdzieś z tyłu.

Bellamy gwałtownie się zatrzymał. Dysząc po biegu, odwrócił się i zobaczył nadciągającą grupę zakrwawionych strażników, z karabinami wycelowanymi prosto w niego. Dwóch Ziemian chroniących chłopaka zasłoniło go i uniosło włócznie, a on sam zacisnął dłonie w pięści. Serce biło mu tak mocno, że cały się trząsał w rytm jego uderzeń.

Na czoło oddziału wysunął się kolonista w oficerskim mundurze. To był Burnett, adiutant Rhodesa. Oczy mu się zaświeciły na widok Bellamy'ego.

– Odsunąć się – rozkazał dwóm Ziemianom stojącym pomiędzy nim a jego zdobyczą.

– Co to, to nie! – odparł jeden z mężczyzn, przesuając przed sobą drzewcem włóczni w geście odmowy.

– Kim jest dla was ten chłopak? – warknął Burnett. – Dlaczego chcecie umrzeć w jego obronie?

– Dlatego, że nie chcemy, by Ziemią rządziła banda takich dupków jak ty – odparł spokojnie Ziemianin. – Uciekaj stąd! – wrzasnął przez ramię do Bellamy'ego.

Chłopak zaczął się powoli wycofywać w kierunku wrót. Za Burnettem pojawiło się jeszcze więcej kolonistów z karabinami. Bellamy ruszył biegiem. Usłyszał dwa ostre trzaski wystrzałów i głuchy łomot dwóch ciał padających na ziemię. Zachłusnął się, ale nadal biegł. W chwili kiedy kładł dłoń na kłamce wrót, ponownie rozległ się głos Burnetta.

– Mamy twoją siostrę!

Bellamy zamarł. Nie mógł złapać oddechu, tak jakby słowa strażnika owiwały mu szubieniczną pętlę wokół szyi.

– Co chcecie jej zrobić? – zapytał zduszonym głosem, odwracając się ku wrogom.

– Niewiele było trzeba, żebyś zostawił siostrę samą, co? Jak na kogoś, który tak wariował, żeby ją chronić...

– Wreszcie zaczęła normalnie żyć – powiedział Bellamy powoli, niepewny, czy mówi bardziej do siebie, czy do Burnetta. – Dowiedziała się, co oznacza prawdziwe szczęście.

– A teraz wie również, jak to jest siedzieć w więzieniu – wycedził przez zęby oficer.

Bellamy poczuł, jak wzbiera w nim rozgrzany do białości gniew.

– Przecież nie popełniła żadnego przestępstwa!

– Och, nie przejmuj się, chłopcze. Nie zrobiliśmy jej krzywdy... jeszcze. Sugerowałbym jednak, żebyś poszedł z nami po dobroci. W przeciwnym razie nie będę mógł zapewnić panie Blake bezpieczeństwa.

Bellamy skrzywił się, kiedy wyobraźnia podsunęła mu straszny obraz: Octavia zakuta w kajdanki, w więzieniu, tak jak on jeszcze kilka dni wcześniej, z mokrą od łez bladą twarzą, wzywa pomocy, wołając brata, który zostawił ją samą z wrogiem, chociaż przysiągł jej bronić.

– Skąd mam wiedzieć, że mówicie prawdę? – zapytał, próbując zyskać na czasie i obmyślić swój następny krok.

Burnett uniósł brew, odwrócił się i przenikliwie gwizdnął. Chwilę później spoza drzew wyszło na polanę czterech strażników, ciągnąc za sobą dwie postacie. Przez ułamek sekundy Bellamy czuł ulgę: żadną z nich nie była Octavia.

Potem jednak po plecach spłynął mu zimny pot.

Złapali Clarke i Wellsa.

Jeńcy mieli ręce związane za plecami, do ust wepchnięto im kneble. Z oczu Clarke wzywały strach i wściekłość, kiedy piorunowała wzrokiem pilnujących jej mężczyzn. Wells rzucał się na boki, rozpaczliwie próbując wyrwać się z uścisku napastników.

– Jak widzisz, chciałbym, żebyś poszedł z nami, spokojnie i bez walki – oznajmił Burnett. – W innym wypadku nie pozostawisz nam wielkiego wyboru i będziemy musieli zrobić coś, czego nie chcemy.

„Oho, nie chcecie jak cholera! Akurat, ty sadystyczny łajdaku!”, pomyślał Bellamy. Spojrzał

Clarke prosto w oczy. Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym dziewczyna niemal niedostrzegalnie pokręciła głową. Wiedział, co chciała mu przekazać: „Nie rób tego. Nie poddawaj się ze względu na nas”.

Było już za późno. Rhodes i Burnett wygrali. Bellamy nie mógł pozwolić, by Clarke i Wells znaleźli się w niebezpieczeństwie. Już i tak ryzykowali dla niego zbyt wiele.

– Puśćcie ich – powiedział, rzucając łuk i idąc z uniesionymi nad głową rękami w kierunku Burnetta. – Zrobię wszystko, co chcecie.

Strażnicy rzucili się ku niemu, unieruchomili mu ręce, po czym sprawnie skrępowali mu je za plecami.

– Sądzę, że zatrzymamy was wszystkich – rzucił Burnett.

Jego ludzie popchnęli Bellamy’ego ku Clarke i Wellse. Czuł teraz koło siebie ciepło ciała dziewczyny. Przesunął się tak, by ich ramiona ocierały się o siebie. Burnett dał rozkaz wymarszu i strażnicy ruszyli, popychając trójkę jeńców przed sobą.

Szli gęsiego przez las, Bellamy za Clarke, a przed Wellsem. Mimo że marsz ze związanymi rękami był niewygodny, dziewczyna trzymała głowę wysoko, a ramiona prosto. „Ona jest nieustraszona”, myślał Bellamy, podziwiając jej odwagę. Najdziwniejsze, że on sam również się nie bał. Postąpił właściwie. Nikt inny przez niego nie umrze, a jeżeli nawet oznaczało to jego egzekucję – niech i tak będzie. Wolałby raczej tego wieczoru wystawić się na salwę tysiąca pocisków, niż spędzić kolejny dzień, zastanawiając się, kto jeszcze ucierpi z jego powodu.

Podniósł głowę, żeby spojrzeć na gwiazdy błyszczące na niebie widocznym pomiędzy gałęziami. Lata spędzone na orbicie, w Kolonii, wydały mu się nagle odległym snem. Teraz tutaj był jego dom. Poczł się jednym z Ziemiaków.

– Mam nadzieję, że podoba ci się ten widok – odezwał się z tyłu Burnett. – Twoja egzekucja nastąpi o świcie.

Bellamy zrozumiał, że przybył na Ziemię tylko po to, by znaleźć tu śmierć.

ROZDZIAŁ 24

Glass

Ziemia nie wyglądała już tak pięknie. Każdy kilometr lasu teraz był tylko kolejnym odcinkiem do przejścia. Musiała go pokonać, żeby ocalić Luke'a, z każdą chwilą coraz słabszego.

„Może powinniśmy byli umrzeć tam, w górze, z całą resztą kolonistów? Może w ogóle nie powinniśmy tu przylatywać?”, pomyślała posępnie. A jednak nie, nie chciałyby, żeby zginęli w ten sposób, samotni i przerażeni. Luke poruszył się gwałtownie przez sen. Wstała, a nogi ugięły się pod nią ze zmęczenia. Pogłaskała nieogolony policzek chłopaka i dotknęła jego warg. Poczła rozpacz na myśl o tym, że mógłby umrzeć. Jak Ziemia miałaby nadal istnieć bez Luke'a? Jak sama Glass miałaby dalej żyć? Nie. Nie pozwoli mu odejść z tego świata. Była mu to winna... i nie tylko to.

Z każdym przebytym krokiem nabierała doświadczenia w ciągnięciu sań z ładunkiem, czuła jednak, że jej ciało jest równie znużone jak umysł. Coraz bardziej martwiła się, że zmierza w niewłaściwym kierunku. Kompas twierdził, że idzie na południe, ale okolica wciąż wyglądała nieznajomo. Czy przypadkiem nie minęła już obozu?

W południe była cała mokra od potu. Bolały ją plecy, a nogi trzęsły się z wyczerpania. Nie miała pojęcia, jaki dystans dzieli ją jeszcze od celu podróży. Musiała odpocząć. Zatrzymała się, zdjęła uprząż przez głowę i wepchnęła sanie pod drzewo. Luke poruszył się i jęknął z bólu. Uklękła przy jego boku.

– Hej – wyszeptwała, całując go w czoło.

Wyczuła przy tym, że wciąż jest rozpalony. Gorączka trawiła go już od paru dni. Jak mogła myśleć, że jej się to uda? Że samodzielnie zdoła dociągnąć rannego do obozu? Nie miała siły, by go unieść, a tym bardziej obronić przed drapieżnikami, gdyby się pojawiły. Jeżeli znów zostaną zaatakowani, będzie to zapewne ostatni raz.

Stanąc z rękami opartymi na biodrach i spojrzawszy w niebo. Powoli wypuściła powietrze, próbując się uspokoić. Potrafi to zrobić. Nie tylko potrafi – musi to zrobić! Popatrzyła na pień drzewa, pod którym spoczywały sanie. Parę metrów nad głową zobaczyła coś jakby wgłębienie, jaśniejsze niż pobrużdżona kora naokoło. Stąpnęła na palcach i wyciągnęła szyję jak najwyżej, mrużąc oczy. W końcu zdała sobie sprawę z tego, na co patrzy, i krzyknęła, a potem roześmiała się w głos. W środku lasu i tak nikt nie mógł jej usłyszeć, a Luke był przecież nieprzytomny. Okolice wyglądała na zupełną dziczą, nietkniętą ludzką stopą, a mimo to w korze wycięta była wiadomość. Glass właśnie ją odczytała: R ♥ S.

Poczła się tak, jakby usłyszała głos z przeszłości, który zapewnił ją, że wszystko dobrze się skończy. R i S wyznali sobie miłość tutaj, pod drzewem, gdzie Glass walczyła teraz z własnym zmęčeniem, by ocalić chłopaka, którego kochała. W innych okolicznościach mogliby wyrwać

z Lukiem swoje inicjały tak jak ich poprzednicy... A właśnie, ciekawe, kim byli? I jak dawno siedzieli tu razem? Czy byli młodzi, czy starzy? Dopiero co zakochani, czy małżonkowie z wieloletnim stażem? Może mieszkali w tych okolicach jeszcze przed kataklizmem i nie przeżyli go? W takim razie nie wiedzieli, jak potworne przejścia czekają ludzkość. Byli jednak pewni, że się kochają, i pozostawili symbol swojego uczucia dla przyszłych pokoleń. Widok tego dawno zapomnianego znaku poruszył strunę w sercu Glass. R i S nie mogli wiedzieć, że pewnego dnia dziewczyna z kosmosu natknie się na ich wiadomość. Czy miałoby to dla nich jakiegokolwiek znaczenie? Pewnie nie. Obchodziła ich tylko własna miłość... a przynajmniej tak powinno być.

Glass spojrzała na Luke'a, którego pierś unosiła się i opadała rytmicznie. Bez względu na to, jak była przestraszona, niezależnie od tego, czy uda im się wrócić do obozu, mieli dużo szczęścia, że żyli, istnieli tu i teraz. Mieli tylko tę chwilę. Jeżeli chcieli przeżyć ich więcej, musiała o nie powalczyć – dla nich obojga. Schyliła się i z nową energią zarzuciła sobie linę na ramiona.

Muszą wrócić w bezpieczne miejsce. Teraz za żadne skarby nie mogła się poddać.

Przecisnęła się przez wyjątkowo gęste krzaki i zobaczyła coś, od czego serce podeszło jej do gardła. Zza drzew połyskiwała tafla jeziora. Czy jednak było to... ? Z pewnością wszystkie jeziora na Ziemi wyglądały podobnie. Podeszła bliżej i nagle dostrzegła czerniejące na przeciwnym brzegu osmalone wraki łodowników.

Wrzasnęła triumfalnie i gdyby nie potężne zmęczenie, zaczęłaby skakać z radości. Prawie dotarła do celu! Od obozu dzieliło ją zaledwie kilka kilometrów. Kiedy jednak przyjrzała się stromemu brzegowi po przeciwnej stronie jeziora, jej entuzjazm nieco osłabł. Przeciągnięcie sań z rannym naokoło jeziora zabierze jej wiele godzin. Czy Luke wytrzyma tak długo? Jeśli nie... No cóż, mogła tylko mieć nadzieję, że w takim wypadku sama też wkrótce umrze ze zgryzoty. Wolałaby raczej spocząć na wieki u boku Luke'a, cicha i nieruchoma, niż spędzić resztę życia z brzemieniem cięższym niż sanie – ze złamanym sercem.

ROZDZIAŁ 25

Wells

Wells chwiejnym krokiem wkroczył do obozu za Clarke i Bellamym. Skute za plecami dłonie zdrętwiały mu od kajdanek. Twarz piekła od gałęzi i cierni, które podrapały go podczas marszu przez las.

Stali przed więzieniem, a jeden ze strażników wyciągał im szmaciane kneble. Wells poruszył powoli szczęką, a potem kilka razy otworzył i zamknął usta, próbując odzyskać czucie.

– Czekać tutaj! – polecił strażnik i wlaźł do środka, podczas gdy wartownik miał na nich oko.

Wells, Bellamy i Clarke skorzystali z okazji, by się rozejrzeć po obozie. Wells od razu zauważył, że panują tu zupełnie inne porządki niż kilka dni wcześniej, gdy go opuszczali. Jedno spojrzenie na zdumione twarze pozostałych jeńców przekonało go, że oni też to dostrzegają.

Była dopiero ósma, może dziewiąta wieczór, ale w obozie panował złowieszczy spokój. W ciszy świetnie było słyszeć dźwięk kroków na zakurzonej ziemi i stukanie kłód rzucanych na stos. Dwaj chłopcy noszący drewno na ognisko wyglądali na spiętych i wystraszonych. Kolejny, dźwigający wiadro z wodą, był bliski łez. Grupa dorosłych siedziała w milczeniu przy ogniu, rzucając nerwowe spojrzenia w kierunku drzew. Nikt nic nie mówił. Nikt się nie śmiał ani nie żartował z sąsiada. Na żadnej twarzy nie gościł najsłabszy nawet uśmiech. Wyglądało na to, jakby cała energia i wszystko to, co tworzy więzi między ludźmi – cała esencja życia – zostały dosłownie wysrane z powietrza.

Między drzewami powiał wiaterek i Wells poczuł wstrętne smród rozkładających się szczątków. Powstrzymał mdłości, podobnie jak Clarke i Bellamy. Rozejrzał się i zrobił kilka kroków ku linii drzew. Rzeczywiście, w pobliżu leżał stos gnijących skór, kości i wnętrzności zwierząt, a tłuste, błyszczące muchy obsiadły go grubą warstwą. To było obrzydliwe, ale również niebezpieczne. Nie tylko ze względu na to, że okropna woń mogła przyciągnąć do obozu padlinożerców i drapieżniki: bakterie mnożące się w tym stosie wystarczyłyby, żeby wywołać zatrucie pokarmowe u wszystkich mieszkańców obozu.

– Co, do cholery... – mruknął ochryple Bellamy.

Wells pomyślał, że tamten również patrzy na zwierzęce szczątki, ale gdy odwrócił głowę, okazało się, że jego brat zerka na coś innego, nieco dalej. Grupa złożona wyłącznie z młodych zesłańców ciężko pracowała, stawiając nową chatę. Słyszał ich sapanie, kiedy walczyli, by unieść olbrzymi pień na górną część konstrukcji. Z boku stało kilku dorosłych z pochodniami oświetlającymi plac budowy, co sugerowało, że robota potrwa do późnej nocy.

Wszystko to jednak nie było niczym nadzwyczajnym. Populacja obozu powiększyła się tak znacznie, że budowanie nowych chat w jak najkrótszym czasie miało sens. W tym momencie jednak chmury odsłoniły księżyc, a w jego świetle Wells dostrzegł to, co tak zbulwersowało Bellamy'ego.

Księżyc oświetlił na wpół ukończoną chatę, a przy tej okazji nadgarstki ich przyjaciół z pierwszej setki zaślniły metalicznie.

– No nie... – westchnął Wells ze zdumienia, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Każdy z budowniczych miał grubą metalową bransoletę, ciasno zapiętą wokół nadgarstka.

– To jakieś szaleństwo – powiedziała skonfundowana Clarke, jakby jej naukowy umysł nie był w stanie przyjąć tego, co widzą oczy.

Kiedy w Kolonii zabierano ich z cel Odosobnienia, każdy zesłaniec z pierwszej setki został wyposażony w takie urządzenie. Bransolety te podobno transmitowały dane dotyczące stanu zdrowia skazańców do Kolonii, tak by rada dowiedziała się, czy Ziemia nadaje się do zamieszkania, czy też może promieniowanie powoli wykańcza posiadaczy nadajników. Podczas pierwszych dni na Ziemi większość z nich albo zdjęła swoje bransolety, albo celowo uszkodziła je tak, żeby nie dało się ich już naprawić.

– Myślicie, że Rhodes przywiózł ich więcej? – spytał Wells.

– Jak widać – odparła Clarke. – Ale po co? Przecież nie dysponuje technologią, która pozwalałaby mu odbierać jakiegokolwiek sygnały z bransolet.

– Nie byłbym tego taki pewien. Kto wie, co przywiózł na Ziemię na pokładzie lądownika – stwierdził Bellamy.

– Aha, więc... oni wszyscy znów są więźniami? – zapytała z niedowierzaniem Clarke.

– To tyle na temat naszego „wkładu w sukces ludzkości” i „poświęcenia dla całej rasy” – skomentował Bellamy głosem pełnym goryczy.

Kilka chwil później całą trójkę ustawiono w szereg, szarpiąc i popychając. Za każdym z nich stanął strażnik. Wells zacisnął zęby, gdy w końcu podszedł do nich wicekanclerz Rhodes w asyście strażników, po jednym z każdej strony.

– Witam z powrotem. Mam nadzieję, że podobały się wam te krótkie wakacje.

– Widzę, że kiedy nas nie było, bawiliście się w przebieranki – przerwał mu Bellamy. – Ładną kolekcję bransoletek przywieźliście, nie ma co!

Rhodes przyjrzał się mu z przesadną uwagą. Zesłańcy budujący chatę wstrzymali pracę i gapili się na więźniów z przerażeniem w szeroko otwartych oczach. Molly opuściła dłoń z młotkiem i zrobiła kilka kroków, patrząc na Wellsa. Nawet z tej odległości widział, że całą siłą woli powstrzymywała się od podbiegnięcia ku niemu. Pokręcił nieznacznie głową, ostrzegając, żeby tego nie robiła.

– Owszem – odparł leniwie wicekanclerz. – Mamy jeszcze kilka, ale nie będę ich marnował. Przecież nie ma sensu zakładać ich ludziom, którzy niedługo i tak przestaną się poruszać.

– Naprawdę? – zapytał Bellamy z udawanym zdziwieniem. – A słyszałem, że mój proces ma być przebojem sezonu w obozie?

– Proces? – powtórzył Rhodes. – Obawiam się, że jesteś w błędzie, młody człowieku. Nie będzie żadnego procesu... dla nikogo z was. Ustaliłem już, że cała trójka jest bez najmniejszych wątpliwości winna. Egzekucję zaplanowano na jutro rano. – Przerwał i z teatralną przesadą popatrzył w niebo. – Wygląda na to, że poczekacie na to dłuższą chwilę. Jeżeli któremuś się spieszy, z przyjemnością skróć mu ten czas.

Serce Wellsa zatrzymało się na ułamek sekundy, tak jak u zwierzęcia, które dostrzegło naciągnięty łuk myśliwego. O czym ten facet mówi? Przecież Clarke i Wells tylko uciekli z obozu. Nie zrobili nikomu najmniejszej krzywdy, nie mówiąc już o jakimkolwiek czynie karanym śmiercią! Zanim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, Bellamy wrzasnął:

- Co za bzdury wygadujesz, człowieku? Oni nic nie zrobili. To mnie chciałeś dopaść... i zabić!
- Podzegli do zbrodni i pomogli zbiegowi. Kodeks Gai jasno wypowiada się na ten temat.
- Pieprzyć Kodeks Gai! – wypluł z siebie Bellamy. – Jakbyś nie zauważył, kretynie, jesteśmy na Ziemi!

– Nie widzę powodu, żeby porzucać prawa, dzięki którym ludzkiej rasie udało się przetrwać w dobrobycie tyle wieków, tylko dlatego, że zmieniliśmy miejsce pobytu.

Wells w całym swoim życiu nie czuł do nikogo tak czystej, niczym nieskażonej nienawiści.

– Mój ojciec nigdy by nie poparł tego, co mówisz! Doskonale o tym wiesz!

Rhodes zmrużył oczy.

– Twojego ojca tu nie ma, Wells. A jeśli na lekcjach wiedzy o społeczeństwie głowę zbytnio zaprzętały ci jakieś małe zbrodniarki – tu popatrzył znacząco na Clarke – przypominam, że syn kanclerza przez sam fakt pokrewieństwa nie odgrywa żadnej roli w hierarchii służbowej. Ja tu dowodzę i to ja skazałem was na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok zostanie wykonany o wschodzie słońca.

Wells usłyszał, jak Clarke za jego plecami głośno wciąga powietrze. Nagle poczuł w całym ciele odrętwienie. Czekał, aż nadejdzie kolejna fala gniewu, ale nic podobnego się nie stało. Być może jakaś część jego umysłu spodziewała się takiego rozwoju wydarzeń, a nawet zgadzała się na taki los. Nawet jeśli Rhodes nie miał pojęcia, co Wells zrobił w Kolonii, chłopak wiedział przecież, że to z jego powodu przyjaciele i sąsiedzi umierają teraz powoli z braku tlenu. Dzięki egzekucji nie będzie musiał przynajmniej stawiać czoła wyrzutom sumienia. Każdego wieczoru przed snem nie będą mu stawały przed oczami obrazy statku wypełnionego nieruchomymi, zimnymi ciałami.

– O mój Boże, Bellamy!

Dźwięk głosu Octavii przywrócił Wellsa do rzeczywistości. Właśnie nadbiegała ku nim, a twarz miała brudną i moką od łez. Dwóch strażników zagroziło jej drogę. Próbowwała im się wyrwać, ale bezskutecznie. Bellamy wrzasnął i rzucił się w jej kierunku, lecz strażnik walnął go kolbą karabinu w żebra i przewrócił na ziemię.

– Przestańcie! – łkała głośno Octavia. – Proszę, puśćcie ich!

– Wszystko w porządku, O – wychrypiał Bellamy, próbując złapać oddech. – Nic mi nie jest...

– Nie! Nie pozwolę im zrobić ci krzywdy!

Inni ludzie zaczęli się gromadzić wokół nich. Lila podeszła do Octavii. Wells myślał, że chce odciągnąć od nich dziewczynkę, ale zamiast tego waldenitka objęła Octavię ramieniem i popatrzyła wyzywająco na strażników. Po chwili dołączyli do niej Antonio, Dimitri, a potem Tamsin i inni. Nawet Graham znalazł się między nimi! Wkrótce niemal pięćdziesięcioro ludzi stało półkolem wokół więzienia.

– Cofnąć się, wszyscy! – rozkazał Rhodes, a gdy nikt nie ruszył się z miejsca, dał sygnał strażnikom, którzy ruszyli przeciwko zesłańcom. – Powiedziałem: „Cofnąć się”!

Nikt nie ustąpił, nawet kiedy strażnicy unieśli karabiny. Połowa z nich celowała w więźniów, a druga – w tłum. Młodsze dzieci patrzyły nerwowo na napastników, ale większość zesłańców spoglądała na Wellsa, Bellamy’ego i Clarke, a w ich oczach można było dostrzec mieszankę buntu i czegoś jeszcze. Może nadziei?

Niezależnie od tego, czym to się skończy, powinni zobaczyć, jak przyjmuje porażkę prawdziwy przywódca. Wells czułby się zaszczycony, mogąc się poświęcić, pod warunkiem że nikt inny nie ucierpi. Na pewno nie miał zamiaru umrzeć jak tchórz. Odwrócił się więc z powrotem do Rhodesa,

podniósł wysoko głowę i spojrzął z nienawidzonym mężczyźnie prosto w oczy.

Bellamy stanął ramię w ramię z Wellsem. Zaciśnięte usta oznaczały, że myśli o tym samym co brat. Clarke przysunęła się do Bellamy'ego i teraz cała trójka patrzyła wyzywająco na wicekanclerza. Wells odsunął przed oczu obraz ich skrwawionych ciał leżących na ziemi. Pozostała dwójka zerknęła na niego, a Bellamy napiął mięśnie. Widać było, jak jego ciało przygotowuje się do skoku. Wyglądał jak wcielenie determinacji i siły. Wells nigdy nie widział brata w takim stanie. Oczy Clarke pałały gniewem i zapalczywością.

– Dobra, ruszać się! – rzucił jeden ze strażników.

Ktoś z tyłu założył Wellsowi opaskę na oczy, po czym chwycił go za ramię i zaczął odciągać na bok.

– Dokąd mnie zabieracie? – warknął chłopak, zapierając się nogami o ziemię.

Z opaską przesłaniającą wzrok musiał polegać na tym, co słyszy, ale rozlegające się w pobliżu stękanie i szuranie nie mówiło mu nic o losie pozostałej dwójki więźniów.

Opierał się strażnikom, lecz gdy pociągnęli go brutalnie po ziemi, nie mógł nic poradzić. Zaciśnął zęby, walcząc z wszechogarniającą paniką. Przynajmniej ostatnim obrazem, który widział, były twarze Clarke i Bellamy'ego. To musiało mu wystarczyć na najbliższych kilka godzin. Wiedział, że powinien je zapamiętać jako ostatni widok w życiu.

Opaskę zdejmą mu z oczu, kiedy już będzie leżał z głową roztrzaskaną pociskiem.

ROZDZIAŁ 26

Bellamy

Z zasłoniętymi oczami Bellamy nie wiedział, czy Rhodes zaczekał z egzekucją do świtu. Nie potrafił rozpoznać, czy słońce już wzeszło, chociaż wyczuwał wilgoć rosy osiadającej na trawie, co oznaczało że na zewnątrz wciąż jeszcze jest ciemno. Najwyraźniej nie miał szans doczekać następnego wschodu słońca. Kiedy niebo zacznie różowieć, będzie już martwy, podobnie jak dwójka jego przyjaciół.

Spędził koszmarną noc, nasłuchując głosu Clarke, którą zamknięto gdzie indziej. Nie był pewien, co byłoby gorsze: słuchać krzyków bólu lub rozpaczliwego płaczu dziewczyny czy też leżeć w ciszy i zastanawiać się, czy już ją stracono.

Cisza okazała się nie do wytrzymania. Głowę Bellamy'ego wypełniały potworne wizje: Clarke łkająca przed śmiercią z żalu, że nigdy już nie zobaczy rodziców. Karabinowa salwa przeszywająca poranne powietrze jak nóż i rozrywająca na strzępy serce Bellamy'ego...

Dwóch strażników poprowadziło go – jak zakładał – ku centrum polany, postawiło pod drzewem i przywiązało doń, z rękami skutymi za plecami. Jakiś cichy, perwersyjny głosik w jego głowie zachichotał. A więc tak to się miało skończyć? Po wszystkich perypetiach, z których wychodził cało, po złamaniu tylu reguł? Powinien był przewidzieć, że czeka go tak dramatyczna śmierć – publiczna egzekucja przez rozstrzelanie na planecie pełnej niebezpieczeństw. Los zadbał, aby Bellamy'emu nie nudziło się w życiu. Żałował tylko, że Octavia będzie na to patrzeć. Ciężko mu się zrobiło na duszy na myśl, że odtąd siostra będzie musiała radzić sobie bez niego, chociaż podczas ostatnich kilku tygodni dowiodła swej odwagi. Głównie chodziło jednak o to, że będzie zmuszona przyglądać się jego śmierci. Bellamy słyszał strażników chodzących po obozie i wyganiających wszystkich – dorosłych i dzieci – z chat, by zapewnić odpowiednią publiczność wydarzeniu, które Rhodes prawdopodobnie uważał za najbardziej doniosłą chwilę na Ziemi od trzystu lat. Wicekanclerz najwyraźniej miał nadzieję przywrócić wreszcie porządek na dzikiej, nieujarzmionej planecie.

To było potworne. Nikt, włącznie z siostrą Bellamy'ego, nie powinien oglądać takiej egzekucji. Chłopak miał tylko nadzieję, że do samego końca uda mu się zachować godność i sprawić, by Octavia była z niego dumna. W ten sposób chciał jej pokazać, jak powinna żyć po jego śmierci.

Bellamy żałował, że nie może wyciągnąć ręki i złapać dłoni Clarke. Dlaczego jeszcze jej nie przyprowadzili? Czy coś się stało? A może przywiązano ją do innego drzewa i teraz szarpie się przerażona w więzach? Nie mógł uwierzyć, że Rhodes chce stracić również tę piękną, inteligentną dziewczynę. Było nie do pomyślenia, że Clarke, tak pełna życia, w której zielonych oczach lśnił zachwyt za każdym razem, kiedy spostrzegła nową roślinę, która potrafiła nie spać przez wiele nocy, jeśli jej pacjenci wymagali opieki, zostanie wyrzucona na śmietnik życia jak zepsuta część maszyny.

– Clarke! – krzyknął, nie potrafiąc się już dłużej powstrzymać. – Gdzie jesteś?

W odpowiedzi usłyszał tylko niespokojne szepty z tłumu.

– Clarke!!! – wrzasnął raz jeszcze, a jego głos odbił się echem po polanie.

Wszystko to na marne, jeżeli dziewczyna już...

– Panie Blake, proszę się uspokoić – rozkazał zimno Rhodes, tak jakby Bellamy był rozemocjonowanym dzieckiem, a nie skazańcem, którego tylko minuty dzieliły od śmierci. – Zdecydowałem się okazać łaskę pańskim przyjaciółom. Ani oficer Jaha, ani panna Griffin nie zostaną dzisiaj straceni.

Bellamy'emu zaświtał promyk nadziei. Odetchnął głębiej, po raz pierwszy od opuszczenia chaty.

– Chcę dowodu – rzucił ochryple. – Pokaż mi ich!

Wicekanclerz musiał dać znak strażnikom, bo po chwili ktoś zdjął opaskę Bellamy'emu.

Zamrugał, gdy świat ponownie pojawił mu się przed oczami. Jakies dziesięć metrów przed nim w szeregu stali strażnicy. Za nimi zgromadzono wszystkich mieszkańców obozu, z Wellsem, Clarke i Octavią na czele. A więc naprawdę żyją! Ulżyło mu do tego stopnia, że zwiśł bezwładnie w więzach, nie zwracając uwagi na sznury, wpijające się w ciało. Teraz liczyło się tylko to, że jego przyjaciele i krewni żyją. Nie dbał o to, co się z nim stanie, jeśli oni byli bezpieczni.

Wells i Clarke wciąż mieli skrępowane ręce, ale Octavia szarpała się z przytrzymującymi ją strażnikami.

– Bellamy! – wrzasnęła piskliwie.

Popatrzył na nią i pokręcił głową. „Nie”, przekazał jej w milczeniu, ze smutnym uśmiechem na twarzy. Teraz nic już nie można zrobić. Patrzyła na niego wzrokiem pełnym paniki, a w jej wielkich błękitnych oczach kręciły się łzy.

„Kocham cię – powiedział bezgłośnie, samym tylko ruchem ust. – Wszystko będzie dobrze”.

Octavia zdołała się uśmiechnąć między kolejnymi szlochami i wyjąkać:

– Kocham cię... Kocham...

Zaraz potem załamała się i odwróciła twarz od brata. Graham powiedział coś do strażnika, a ten puścił dziewczynkę, pozwalając przejąć ją tamtemu. Nawet z tej odległości było widać, że Graham stara się być delikatny. Objął Octavię ramieniem, tak jakby chciał zasłonić jej przerażający spektakl.

– Strażnicy, przygotować się do strzału na rozkaz! – huknął Rhodes.

Bellamy odwrócił się ku Clarke. Inaczej niż jego siostra, nie chciała się odwrócić. Patrzyła na niego tak intensywnie, że przez chwilę poczuł, jakby cały świat poza nimi odpływał gdzieś w dal. Zostali tylko on i ona, tak jak podczas pierwszego pocałunku albo magicznej nocy w lesie, gdy Bellamy'emu wydawało się, że Ziemia jest dużo bliżej niebios niż Kolonia.

Niemal słyszał, jak Clarke mówi: „Patrz na mnie. Patrz tylko na mnie, a wszystko będzie w porządku”.

Pot ściekał mu z czoła, ale nie oderwał od niej wzroku nawet wtedy, gdy strażnicy przeładowali broń, a jego serce zaczęło bić tak mocno, jakby miało pęknąć, jeszcze zanim trafi je pierwszy pocisk.

„Patrz na mnie”.

Uniósł głowę wyżej i zacisnął pięści, wciągając gwałtownie powietrze. W każdej chwili oczekiwał salwy plutonu egzekucyjnego. Spróbował spowolnić czas. Zaczął oddychać głębiej i siłą woli ustabilizował puls. Wciągnął woń obozu i lasu: zimny popiół, mokra gleba, suche liście i to powietrze! – rześki, czysty zapach powietrza, którym właśnie oddychał. Dostał szansę życia na Ziemi, ale jego szczęście właśnie się wyczerpało.

„Patrz na mnie”.

Na polanie rozbrzmiało raptownie kilka głośnych wystrzałów. Bellamy zdał sobie sprawę z kilku rzeczy naraz: nic go nie bolało, nie poczuł uderzenia pocisku, a w dodatku dźwięk dobiegał z tyłu, nie z przodu. To nie strzelali ludzie Rhodesa, ale ktoś strzelał do nich!

W tym momencie zobaczył, kto to. Z lasu wyroiła się grupa agresywnych Ziemian, zalewając obóz, wymachując pałkami i strzelając do kolonistów z karabinów. Zapanował chaos. Nikt już nie zwracał uwagi na Bellamy'ego i nic nie powstrzymywało go przed ucieczką – poza parą nowoczesnych kajdanek, którymi go skuto. Rozejrzał się pośpiesznie wokoło z nadzieją, że znajdzie jakieś wyjście, i rzeczywiście: Burnett, prawa ręka Rhodesa, leżał martwy nieopodal. Bellamy nie zwykł marnować okazji, a skoro i tak nie mógł nijak pomóc tamtemu... Klęknął i odwrócił się tyłem do zwłok, by przeszukać na ślepo kieszenie adiutanta.

– Clarke, Wells, mam klucze! – wrzasnął.

Przybiegli do niego i ustawili się tak, żeby mógł otworzyć ich okowy. Kiedy już wszyscy mieli wolne ręce, ruszyli biegiem do magazynu broni.

Uzbroiwszy się najlepiej, jak potrafili – Bellamy w łuk i strzały, Wells w topór, a Clarke we włócznię – ustawili się w trójkąt, plecami do siebie, i włączyli się do walki. To była brutalna, brudna bitwa. Wokół nich koloniści i zesłańcy z pierwszej setki walczyli ramię w ramię. Bellamy brał na cel kolejnych napastników, naciągał cięciwę i strzelał raz za razem. Z ponurą satysfakcją obserwował, jak jego strzały nieomyślnie odnajdują ofiary i Ziemianie jeden po drugim z krzykiem padają na krańcach polany. Ramiona zaczęły go boleć z wysiłku, ale strzelał dalej, napędzany rozpaczliwą, pierwotną energią.

– Jak tam?! – rzucił do Wellsa, usiłując przekrzyczeć bitewny zgiełk.

– Świetnie – stęknął tamten, potężnym ciosem trafiając jednego z Ziemian w głowę. Rozległ się przy tym przyprawiający o mdłości trzask. – A u ciebie?

Zanim jednak Bellamy zdołał odpowiedzieć, inny napastnik rzucił się na niego z szaleństwem w oczach. Z głośnym rechotem zamachnął się toporem, celując prosto w głowę. Bellamy ledwie uskoczył w bok, ale i tak poczuł powiew, gdy ostrze przelatywało tuż koło jego policzka. Ziemianin zawył z rozczarowania. Bellamy przysiadł w pozycji obronnej, balansując na stopach, gotów na drugą rundę. Przeciwnik ponownie wzniosł topór i chwiejnie postąpił dwa kroki naprzód. Bellamy z rozdętymi nozdrzami i żyłami pełnymi adrenaliny zmusił się, by pozostać nieruchomo. „Czekaj – mówił sobie. – Zaczekaj jeszcze momencik...” Kiedy tamten podszedł tak blisko, że Bellamy mógł poczuć smród jego potu, a topór znów zaczął opadać, młody zesłaniec rzucił się na ziemię i uniknął ciosu. Ziemianin ryknął z wściekłości.

Bellamy znów zaczekał, pozwalając, by napastnik się zmęczył. Człowiek z toporem ponownie się zbliżył, a wtedy Bellamy skulił się, napiął mięśnie i z całej siły kopnął go z boku w kolano. Trzasnęła kość i mężczyzna upadł na ziemię jak postrzelony.

Nagle chłopak poczuł, jakby na jego ramionach wylądował półtonowy ciężar. Z trudem się wyprostował, a tymczasem na jego gardle zacisnęły się czyjeś mocarne dłonie. Spróbował łapczywie zaczerpnąć powietrza, ale bez rezultatu. Sięgnął do tyłu, żeby ściągnąć z siebie napastnika. Złapał go za czuprynę i pociągnął najmocniej, jak potrafił, wrywając mu garść włosów. Tamten poluzował nieco chwyt. Z walącym sercem i bólem zgniecionego gardła Bellamy skorzystał z szansy: pochylił się do przodu i przerzucił Ziemianina nad głowę. Napastnik wylądował przed nim z głuchym łoskotem. Chłopak cofnął się, płynnym ruchem sięgnął po łuk, dobył strzały i założył ją na cięciwę.

Kiedy tamten wstał z oczami płonącymi wściekłością i gotowy do ponownego ataku, wypuścił strzałę prosto w jego pierś.

Nie czekając na efekt, odwrócił się i rozejrzał, żeby sprawdzić, czy Clarke i Wells dają sobie radę. W ferworze walki ich trójka się rozdzieliła. Znienacka ktoś uderzył go w ramię tak, że Bellamy się zachwiał. Próbując odzyskać równowagę, zrobił krok do tyłu, a wówczas jego stopa trafiła na coś miękkiego. Na kogoś. Obrócił się, napinając łuk, i błyskawicznie wycelował w tym kierunku.

To był wicekanclerz Rhodes.

Żywy i przytomny, ale poważnie ranny w głowę. Jego twarz i koszula całe były we krwi. Skulony z bólu, dławił się i kaszłał. Nie mógł mówić, lecz gdy spojrzał w górę i skrzyżował wzrok z Bellamym, w jego oczach widniała niema, żalosna prośba. Ten człowiek walczył jak tchórz, a teraz przegrał jak tchórz.

Bellamy odprężył się. Odepchnął stopą bark wicekanclerza, przewracając go na wznak, a potem postawił stopę na jego piersi, przyciskając go do ziemi. Dobrze było zobaczyć Rhodesa niczym szkodnika w pułapce.

Miał teraz wybór: wykończyć mężczyznę celnym trafieniem w serce albo pozwolić łajdakowi zdechnąć na polu bitwy. Rany wyglądały na tyle poważnie, że ta druga możliwość wydawała się całkiem prawdopodobna. Rhodes nie zasługiwał na lepszą śmierć. Bellamy poczuł potężną satysfakcję, ale zdał sobie sprawę, że oprócz niej narasta w nim jeszcze inne uczucie. Rzadko miał z nim do czynienia, ale rozpoznał je od razu: to była litość. Przez chwilę patrzył na brudną, zakrwawioną twarz wicekanclerza, który złożył dłonie w błagalnym geście. Bellamym targwały sprzeczne emocje: pragnienie zemsty, ale i głębokie przeświadczenie, że nie chce już nigdy oglądać, jak ktoś umiera. Jego pamięć pełna była wspomnień, których nigdy nie zdoła wymazać, choćby chciał. Rhodes nie zasługiwał na to, by znaleźć się wśród nich.

Westchnął i zdjął strzałę z cięciwy. Nie mógł tego zrobić. Nie potrafił ani zastrzelić pokonanego wroga, ani odwrócić się do niego plecami i zostawić na pewną śmierć. Miał cholerną nadzieję, że nie pożałuje tej decyzji. Pochylił się i wyciągnął dłoń do wicekanclerza, który gapił się na nią, jakby niepewny, czy czasem Bellamy z nim nie igra.

– Chodźmy, zanim zmienię zdanie – warknął chłopak.

Rhodes wyciągnął trzęsącą się rękę, a Bellamy chwycił ją i podniósł rannego, po czym powlókł go w głąb obozu.

ROZDZIAŁ 27

Wells

W bitewnym chaosie Wells szybko stracił Bellamy'ego z oczu. Stracił również rachubę pokonanych Ziemian. Od wymachiwania toporem na dłoniach zrobiły mu się pęcherze, a mięśnie bolały go od wysiłku. Przez chwilę stał sam na środku polany i łapał oddech, bo jakimś cudem akurat nikt nie próbował go atakować ani łapać. Wszędzie wokół ludzie walczyli na śmierć i życie. Inni leżeli na ziemi, ranni lub martwi. Wells nie potrafił ocenić, kto brał górę w bitwie, wrody Ziemianie czy jego towarzysze, ale obawiał się, że jednak nieprzyjaciel. Wyglądało na to, że koloniści i zesłańcy ponoszą porażkę. Musiał znaleźć jakiś lepszy punkt obserwacyjny, by zorientować się w sytuacji.

Nikt nie zauważył, kiedy przemykał ku brzegowi polany pośród walczących, przeskakując nad ciałami i porzuconą bronią. Zagłębił się na kilka metrów w las i łukiem wrócił w kierunku obozu, tam gdzie trudniej go było dostrzec napastnikom, a on sam miał lepsze pole widzenia. Biegąc przez gęste zarośla, słyszał krzyki i jęki rannych.

Wells dotarł do budynku więzienia, szybko wspiął się po ścianie na dach i zaczął lustrować pole bitwy. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi. Jeszcze kilkanaście minut wcześniej bitwa wydawała mu się rzezią bez ładu i składu, lecz teraz przekonał się, że Ziemianie zaplanowali ten atak z chirurgiczną precyzją. Zdołali zniszczyć niemal wszystkie ważne obiekty, w tym magazyny z żywnością i zapasami amunicji. Sypialnie, jadalnia i więzienie pozostały natomiast nietknięte. A przecież nie mogliby tak trafnie wybrać celów, gdyby nie wiedzieli, do czego służą poszczególne budynki. Musieli znać ich przeznaczenie przed atakiem.

Gorączkowo zastanawiał się, jak to możliwe. Szpieczy? Owszem, jednak koloniści rutynowo przeczesywali lasy wokół obozu i nikogo jeszcze nie złapali. A przecież właśnie w tej chwili mała grupka Ziemian szturmowała centrum obozu z wysoko uniesionymi lufami zdobycznych karabinów. Wells zachłysnął się z przerażenia, gdy zobaczył, kto ich prowadzi: Kendall!

Nie miała już na sobie stroju kolonistki. Wells w jednej chwili zrozumiał, że właśnie potwierdziły się jego najgorsze przypuszczenia. Kendall nie została jeńcem Ziemian – sama była Ziemianką!

Teraz wszystkie fragmenty układanki wskoczyły na swoje miejsca. Jej wymuszony akcent, ponoć z „Feniksa”, niespójność opowiadanych przez nią historii i upór, z jakim trzymała się zawsze blisko Wellsa. Przez cały czas była szpiegiem Ziemian w obozie kolonistów!

Wells mógł teraz pluć sobie w brodę, że wcześniej nie zadziałał, opierając się na przeczuciach. Instynktownie zdawał sobie sprawę z tego, że coś z tą dziewczyną było nie tak, ale nic z tym nie zrobił. Wycofał się, kiedy Rhodes mu kazał... a ona tylko na to czekała. Kednall doskonale wiedziała, że przybycie nowych lądowników i nowych ludzi – tym razem dorosłych – osłabi

społeczność zesłańców. I właśnie z tego skorzystała

Okazał się kompletnie bezużyteczny jako przywódca. Co właściwie sobie myślał? Czy udawał, że ma charyzmę, dzięki której porwie innych i jednocześnie zapewni im bezpieczeństwo? Bez względu na to, co zrobił czy też gdzie się udał, jego ludzie cierpieli.

Usłyszał ciche szuranie w chacie pod sobą. „Ziemiańskie dotarli do więzienia, a ja jestem sam z tej strony obozu”, pomyślał. Dźwignął topór na ramię i wziął się w garść. Może nie był przywódcą, na jakiego zasługiwali jego ludzie, ale wciąż jeszcze mógł zabić dla nich kilku wrogów.

Zaczekał, aż wyjdą na zewnątrz, tak by móc zaatakować ich z góry. Skulił się i trwał w bezruchu, aby nie zdradzić swojej obecności najcichszym dźwiękiem.

Z drzwi więzienia tuż pod nim wyskoczyły dwie małe postacie, chłopczyk i dziewczynka. Wells rozpoznał chłopca: to był Leo, jeden z dzieciaków, którymi zajmowała się Octavia. Co tu robił sam, bez dorosłych? Dlaczego Rhodes nie przydzielił nikogo do opieki nad osieroconymi dziećmi, gdy kazał zawlec Octavię na miejsce egzekucji, by zmusić ją do oglądania śmierci brata?

Oboje drżeli, a po policzkach ciekły im łzy.

– Hej! – powiedział Wells donośnym szeptem. Ich głowy podskoczyły w kierunku źródła dźwięku, a Leo pisnął ze strachu. Wells uspokoił ich: – W porządku, to tylko ja. Uważajcie, schodzę.

Zeskoczył na ziemię obok nich.

– Siedzieliście tutaj sami? – zapytał.

Dziewczynka pokręciła przecząco głową. Odwrócił się: z więzienia wyszło jeszcze sześćoro dzieci, trochę starszych. Wśród nich Molly i inni młodzi zesłańcy z pierwszej setki. Twarze mieli brudne i zakrwawione, a ramiona – zwieszane nisko ze zmęczenia. Stali w milczeniu, patrząc na niego wyczekująco. Kolejna grupka wyszła spośród drzew, gdzie się chowali, a po nich następni, aż stała przed nim niemal cała pierwsza setka.

Wells spojrział w ich twarze. Zwyczajne nastolatki, które jeszcze kilka tygodni temu siedziały w celach Odosobnienia za jakieś wydumane wykroczenia.

Odebrano ich rodzinom, uwięziono i – jak sądzili – zapomniano o nich. Teraz przebywali na planecie, daleko od wszystkich, których znali i kochali. Ich bliscy zapewne już nie żyli. Zesłańcy mieli tylko siebie.

Rhodes nie rozumiał, co oznaczało poczucie wspólnoty. Nie był w stanie docenić tego, co stworzyli młodzi ludzie w trakcie swojego krótkiego pobytu na Ziemi: wybudowanych przez nich fundamentów lepszej przyszłości. Tak, byli niedoskonalimi – młody Jaha wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny – ale wiedzieli, czego trzeba, by zmienić planetę w prawdziwy dom. Może to jednak nie był najlepszy moment, by Wells zrezygnował? Może powinien zaakceptować popełnione błędy i działać dalej, pamiętając o lekcji udzielonej mu przez życie? Nigdy nie zdoła zrehabilitować ludziom tego, co zrobił w Kolonii, ani zadośćuczynić Maksowi i Sashy za cierpienie, jakie stało się przez niego ich udziałem, ale to nie znaczy, że powinien sobie odpuścić.

Powoli w jego głowie uformował się plan. Wiele godzin spędzonych z Maksem w Mount Weather na dyskusjach nad planem bitwy przypomniało mu wszystko, czego nauczył się na zajęciach z taktyki. Wymyślili wtedy dobry plan – zaskoczyć napastników od tyłu i wykorzystać ich położenie. Okoliczności były jednak niesprzyjające, ponieważ Rhodes miał przewagę dzięki zakładnikom przetrzymywanym w obozie. No cóż, tym razem jednak nie było żadnych zakładników. Wells wiedział, co muszą zrobić, tyle że nie potrafił zrobić tego sam.

Przystąpił do działania z nową energią. Setka zesłańców poradziła sobie z tyłoma

przeciwnościami losu, wykonała tak wielką pracę, dlatego on nie może pozwolić Kendall i jej złowrogim ziomkom zniweczyć tego w jednej bitwie. Nie ma takiej możliwości!

– Słuchajcie! – krzyknął.

Dziesiątki oczu zwróciły się w jego stronę, a we wszystkich zobaczył to samo: rozpaczliwe pragnienie, by ktoś wreszcie wydał rozkaz.

– Wiem, że jesteście zmęczeni, a do tego jeszcze przerażeni – zaczął. – Wiem, że wrogów jest więcej niż nas. Mają więcej broni, ale my mamy siebie nawzajem i nie pozwolimy im wygrać!

Na tyłach tłumu pojawił się Bellamy. Wyglądał na wykończonego, ale Wells cieszył się, że jego brat nie odniósł poważniejszych obrażeń. Skinęli sobie głowami na powitanie, po czym mówca kontynuował:

– Zaatakowali nas z północy i spychają nas ku linii drzew. Właśnie tak. – Wykonał gest ręką. – Teraz są zajęci ludźmi Rhodesa. Ty – wskazał jednego ze starszych chłopaków – zostaniesz tu i będziesz strzegł dzieci. Reszta rozproszy się w lesie i obejdzie obóz, żeby uderzyć na nich od północy, z tyłu. Kto idzie ze mną?

Przez sekundę wpatrywali się w niego. Wells nie był pewien, czy właściwie odczytał ich intencje. Potem jednak w górę wystrzeliła jedna ręka, po niej następna i jeszcze dziesięć. Zesłańcy prostowali plecy, unosili dumnie głowy i odzyskiwali pewność siebie. Bellamy stał z tyłu, uśmiechając się posępnie.

– Zrobimy to! Uda nam się! – wykrzyknął ktoś z tłumu, a pozostali zaczęli wiwatować.

Wells po raz pierwszy od śmierci Sashy nie czuł paniki na myśl o ciąży na nim odpowiedzialności. Wręcz przeciwnie, był w znakomitym nastroju.

– Dobra! Na mój znak: trzy, dwa, jeden!

Z początku zdawało się, że plan zadziałał: atak młodych zesłańców zaskoczył Ziemian, spychając ich ku ludziom Rhodesa, którzy ze swojej strony skutecznie opierali się napastnikom. Wells szybko stracił jednak kontrolę nad wydarzeniami, walcząc o życie. Napadło go dwóch wrogów naraz, a każdy z nich dzierżył włócznię. Wells zamarkował toporem zamach w prawo. Zareagowali tak, jakby rzeczywiście to zrobił, a on okręcił się wkoło i uderzył w lewo, łamiąc włócznię jednego z napastników na pół. Drugi ruszył naprzód. Wells walnął ostrzem topora drzewce jego broni, najmocniej jak potrafił. Dzida rozleciała się na kawałki, a rozbrojeni Ziemianie uciekli w popłochu.

Młody Jaha uśmiechnął się z satysfakcją. Podczas szkolenia oficerskiego w Kolonii pilnie ćwiczył na zajęciach z walki w warunkach ziemskich, a teraz korzystał z efektów tamtego wysiłku. Kiedy na moment zagłębił się we wspomnieniach z tamtych czasów, nagle poczuł, jak na jego gardle zaciska się czyjeś ramię.

Spróbował uderzyć przeciwnika łokciem, ale nie miał dość miejsca, by odpowiednio się zamachnąć. Ramię mężczyzny zacisnęło się, odcinając Wellsowi dopływ powietrza. Nie mógł go również wypuścić – miał całkowicie zablokowaną tchawicę. Odczuwał palący ból w płucach i zakręciło mu się w głowie.

„Nie!”, pomyślał, a właściwie chciał wrzasnąć to na całe gardło, ale nie był w stanie wydobyć z siebie ani jednego dźwięku. Nie tak to miało być. Nie tak wyobrażał sobie własną śmierć.

Ramię napastnika zacisnęło się jeszcze mocniej. Wells zobaczył przed oczami najpierw jasne błyski, potem czarne plamy, a w końcu wszystko zaczęło się rozmywać.

Nagle nacisk zmalął, a Wells upadł na ziemię, ciężko dysząc. Przez dłuższą chwilę mógł tylko łapczywie wciągać powietrze do płuc, które zdążyły się od niego odzwyczać. Podniósł się na kolana

i rozejrzał. Obok niego leżał wielki Ziemianin, z dłonią zaciśniętą na strzale sterczącej mu z ramienia.

Wells spojrział w kierunku, z którego musiała nadlecieć. Kilka metrów dalej stał Bellamy, dzierżąc w dłoni łuk. Z błyskiem w oku skinął głową Wellsowi, który uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi.

– Dzięki! – wrzasnął ochryple.

– Nie ma za co! – odkrzyknął Bellamy.

Wells odwrócił się w kierunku obozu i poczuł, że ogarnia go panika. Z miejsca, gdzie stał, nie dostrzegając nikogo z młodych zesłańców, którzy jeszcze przed chwilą walczyli w pobliżu. Rzucił pod nosem soczyste przekleństwo i zmobilizował resztki energii, a potem ruszył z powrotem na polanę, podczas gdy Bellamy ubezpieczał tyły.

Zatrzymał się gwałtownie, widząc, że bitwa przybrała korzystny obrót. Koloniści wraz z członkami pierwszej setki, którzy jeszcze trzymali się na nogach, stali razem, oddychając ciężko po walce. Kilku pozostałych przy życiu strażników złapało chyba kogoś ważnego – wysokiego Ziemianina, rannego w nogę. Trzymali go teraz na muszce. Paru innych kolonistów prowadziło ożywione rozmowy z grupką Ziemian, najwyraźniej negocjując warunki kapitulacji, podczas gdy pozostali napastnicy składali broń i powoli wycofywali się z obozu.

Wells nie wierzył własnym oczom. Jego plan zadziałał! Ziemianie rzeczywiście się poddali! Wypełniony nową energią, pobiegł wraz z Bellamym tam, gdzie stali jego współtowarzysze. Wielu z nich było rannych, a większość – kompletnie wyczerpana, ale zwycięstwo dodało im skrzydeł. Razem wzniesli gromki okrzyk triumfu, który zdawał się docierać do nieba.

– Dobra robota! – zawołał Bellamy, przekrzykując entuzjastyczny gwar tłumu.

– Ty też nieźle walczyłeś... jak na waldenitę! – odwrzasnął Wells z uśmiechem.

Kilku zesłańców zaczęło radośnie tańczyć wokół polany, ściskając wszystkich po drodze i wiwatując, ale w pewnym momencie przerwał im czyjś zaniepokojony głos.

– Wrócili! – krzyknął ktoś ostrzegawczo.

Wells i Bellamy odwrócili się błyskawicznie i zobaczyli, jak prosto z lasu wchodzi do obozu grupa nieznanym... Unieśli więc broń i stanęli w szyku obronnym. Gdy jednak baczniej przyjrzeni się przybyszom, doszli do wniosku, że to chyba nie wrogowie. Wells ogarnął spojrzeniem ich stroje, postawę i zaskoczone miny. To nie byli Ziemianie. A może to... inni koloniści?

Grupa zatrzymała się na skraju polany. Jedna z kobiet wystąpiła naprzód. Oddychała ciężko, najwyraźniej zmęczona do granic możliwości.

– W końcu was znaleźliśmy... – powiedziała słabym głosem.

Wells wiedział, że skądś ją zna. Po chwili namysłu przypomniał sobie: w Kolonii pracowała w administracji jego ojca, w biurze na początku korytarza. Musieli przylecieć na pokładzie innego łądownika, jednego z tych, które – jak się domyślał – musiały zejść z kursu.

– Czy macie coś do jedzenia? Cokolwiek? – zapytała.

Wells nie zauważył, jak wychudli są nowo przybyli.

– Wszystko w porządku! – ogłosił. – Oni są z Kolonii. Niech ktoś przyniesie im jedzenie i wodę!

Kilka osób z pierwszej setki pośpieszyło spełnić polecenie. Wells podszedł do kobiety, czując na sobie spojrzenia pozostałych, i spytał:

– Skąd jesteście?

– Nasz statek wylądował wiele kilometrów stąd, po drugiej stronie jeziora. Spędziliśmy tam jakiś czas, żeby zorientować się w terenie i wyleczyć kontuzje, a potem ruszyliśmy do was, kierując się na

dym z ogniska. Droga zajęła nam kilka dni.

– Ilu was jest?

– Straciliśmy paru ludzi, ale z miejsca lądowania wyruszyło sto piętnaście osób.

Wells spojrzał na coraz większą grupę zbierającą się za jej plecami. Kolejni ludzie wyłaniali się z lasu i dołączali do tłumu.

– Czy to wasz lądownik opuścił Kolonię jako ostatni?

Kobieta potwierdziła.

Poczuł, że jego usta same formułują pytanie, ale nie był pewien, czy ma odwagę je zadać. Nie wiedział też, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– Mój ojciec... – zaczął.

Twarz kobiety złagodniała. Doskonale wiedziała, kim jest Wells i o kogo pyta.

– Tak mi przykro... – oznajmiła.

Słowa te, mimo że wypowiedziane współczującym tonem, walnęły go jak obuchem. Widząc to, kobieta zawahała się, niepewna, ile potrafi znieść jej rozmówca.

– Kiedy startowaliśmy, wciąż był w śpiączce. Nie ma już więcej lądowników, zapasy tlenu są na wyczerpaniu, a statek... No cóż, statek... zaczynał się rozpadać. Po naszym odlocie zostało im pięć, najwyżej sześć godzin.

Wells poczuł, że w gardle wzbiera mu krzyk rozpacz, ale powstrzymał go. Gdyby pozwolił sobie, by kompletnie ogarnęło go poczucie straty, chyba by się załamał... A i tak cały się trząsł. Wyobraźnia podsuwała mu obraz powoli duszącego się ojca, aż sam zaczął łapać powietrze tak, jakby ramię Ziemianina wciąż jeszcze obejmowało jego szyję.

Zatoczył się, stracił równowagę, lecz poczuł, że ktoś z boku go podtrzymał. Był to Bellamy.

– Wells, chłopie – powiedział. – Bardzo mi przykro.

Jego twarz wyrażała współczucie, ale też coś więcej... Cierpienie?

Wells kiwnął głową. Pogrążając się w żalu, zapomniał, że Bellamy również utracił ojca, i to zanim zdążył go poznać. W gruncie rzeczy każdy kolonista na tej planecie kogoś stracił. Rodzina, sąsiedzi i przyjaciele pozostawieni na orbicie zginęli, zasnęli na wieki w olbrzymich statkach, krążących wokół Ziemi. Kolonia stała się gigantycznym grobowcem.

– Szkoda, że nie mogłeś go lepiej poznać – powiedział Wells, siłąc się na spokojny ton.

Chociaż od dawna próbował przygotować się na najgorsze, nie był w stanie zaakceptować tego, że już nigdy nie zobaczy ojca wychodzącego z lądownika, z radością i zaskoczeniem oglądającego cudowne ziemskie pejzaże i słuchającego o osiągnięciach syna. Kanclerz nigdy nie dołączy do Wellsa przy ognisku, nie usłyszy wesolej paplaniny i nie powie synowi, jaki jest z niego dumny.

– Też żałuję – odparł Bellamy, a po chwili dodał z tajemniczym uśmiechem: – Ale wiesz co? Czasem czuję się tak, jakbym go naprawdę poznał.

– O czym ty mówisz? – zapytał zaintrygowany Wells.

Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ich ojciec mógł spotkać się z Bellamym i spędzić z nim trochę czasu.

– Z tego, co słyszałem, był niewiarygodnie inteligentny, ciężko pracował i poświęcał wszystkie siły, by pomagać innym... Zupełnie jak ktoś inny, kogo świetnie znam.

Wells gapił się na niego przez chwilę, aż wreszcie westchnął.

– Jeżeli masz na myśli mnie, to raczej kiepski przykład. W niczym nie przypominam ojca.

– No proszę, a Clarke ma na ten temat całkiem inne zdanie. Powiedziała, że odziedziczyłeś po

ojcu wszystkie jego najlepsze cechy: siłę i godność, a do tego jeszcze życzliwość i poczucie humoru po matce. – Tu Bellamy przerwał na chwilę i zastanowił się. – Co prawda nigdy nie słyszałem, żebyś powiedział coś zabawnego, ale pomyślałem sobie, że w tym względzie uwierzę Clarke na słowo.

Ku własnemu zaskoczeniu Wells uśmiechnął się, ale po chwili jego brat przemówił znów, tym razem już poważnie.

– Słuchaj, wiem, że znosiłeś cierpienia, których ja sobie nawet nie wyobrażam. Nikt nie powinien przechodzić przez coś takiego. Ale nie jesteś sam, pamiętaj. Za bohatera uważa cię setka ludzi, a może i więcej... Wszystko jedno, potem się policzy. Chodzi mi o to, że masz nie tylko przyjaciół, lecz także rodzinę. Zupełnie serio – jestem z ciebie dumny.

Bellamy miał rację. Ból po stracie Sashy, ojca i wielu przyjaciół, którzy zginęli dzisiaj na polu bitwy, nigdy nie minie, lecz teraz to Ziemia stanowiła prawdziwy dom ich wszystkich. Tutaj było jego miejsce. Smutek w sercu Wellsa zaczął nieco ustępować, kiedy brat wziął go w objęcia i serdecznie uściskał.

Teraz jego rodzina mieszkała na Ziemi.

ROZDZIAŁ 28

Bellamy

Zatrzymał się przed drzwiami chaty szpitalnej. Ponoć wicekanclerz Rhodes chciał z nim porozmawiać, ale Bellamy nie był w nastroju do pogaduszek. Wyczerpanie wczorajszą bitwą i jej makabrycznymi następstwami dawało o sobie znać. Razem z Wellsem pochowali poległych Ziemiaków, a potem zaczęli zbierać zakrwawioną broń porzuconą przez napastników. Ceremonię pogrzebową kolonistów i zesłańców, którzy zginęli w walce, zaplanowano na ten sam dzień, tylko nieco później. Dzięki Bogu Octavia była cała i zdrowa, ale nie wszyscy z pierwszej setki mieli tyle szczęścia.

Mimo ataku i przerażających strat morale kolonistów było i tak wyższe niż dwa dni wcześniej, gdy Clarke, Bellamy'ego i Wellsa przyprowadzono do obozu pod strażą. Ludzie znów się śmiali, a nowi przybysze prosili tych z pierwszej setki o pomoc i radę, nie obawiając się już gniewu Rhodesa.

Bellamy miał ochotę odwrócić się na pięcie i poszukać Octavii, która organizowała grę w chowanego dla młodszych dzieci. Po wszystkim, co przeszli, trudno mu było spuścić ją z oczu chociaż na chwilę. Ciekawość jednak przeważyła i wszedł do środka.

Chata była pełna rannych kolonistów i zesłańców, ale umiejętności medyczne Clarke i jej podejście do pacjentów sprawiły, że panujący wewnątrz nastrój znacznie odbiegał od poważnej i surowej atmosfery szpitala. Na szczęście wyglądało na to, że większość podopiecznych panny Griffin wkrótce wyzdrowieje.

Bellamy przeszedł w głąb chaty, do przestrzeni oddzielonej od reszty białą płachtą, przybitą do sufitu i zwisającą aż do podłogi jak teatralna kurtyna, by zapewnić wicekanclerzowi odrobinę prywatności. Rozważał w myślach różne scenariusze tej rozmowy, planując z wyprzedzeniem swoje ewentualne reakcje. Jeżeli tamten miałby czelność grozić jemu albo Octavii... Trudno przewidzieć, do czego Bellamy będzie musiał się posunąć, bez względu na to, czy ranny i bezradny Rhodes znajduje się w szpitalnym łóżku, czy nie.

Skinął wartownikowi, stojącemu przed zasłoną, a potem wszedł za nią i spojrzał na mężczyznę leżącego na pryczy.

Wicekanclerz wyglądał żałośnie. Nie chodziło tylko o skulone ciało zdradzające wyczerpanie czy też o bandażę pokrywającą większą część jego ramion i torsu. Uwagę zwracał wyraz jego twarzy. Mężczyzna sprawiał wrażenie nie tylko pokonanego, ale całkowicie załamanego.

Rhodes uniósł się z wysiłkiem na łokciu. Bellamy przez ułamek sekundy rozważał, czyby mu nie pomóc, ale zrezygnował z tego pomysłu. Zrobił już dość dla tej kreatury.

– Cześć, Bellamy.

– Jak pan się czuje? – zapytał chłopak.

Zrobił to bardziej z przyzwyczajenia niż z rzeczywistej troski o samopoczucie rannego. Tak się

przecież mówi podczas odwiedzin u faceta zawiniętego w bandażę.

– Clarke i doktor Lahiri twierdzą, że wygrzebię się z tego.

– Świetnie – odparł Bellamy, przestępując z nogi na nogę.

Sytuacja była idiotyczna. Co on tu, do cholery, robi?

– Poprosiłem cię o wizytę, ponieważ chciałem ci podziękować.

– Och, nie ma sprawy – powiedział chłopak i wzruszył ramionami.

Ocalił Rhodesa dla spokoju własnego sumienia, a nie dlatego, że uważał, by ten żądny władzy szaleniec zasługiwał na życie. Poza tym nie bawiły go długie, szczere rozmowy.

Tamten zamilkł i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pustą przestrzeń tuż nad ramieniem Bellamy'ego.

– Niechętnie przyjmowałem do wiadomości, że więźniowie, których tu wysłaliśmy – także ty – wiedzą o życiu na Ziemi więcej niż ja. Wszak planowałem tę podróż przez wiele lat, a wy – tu wicekanclerz zmierzył go twardym wzrokiem – byliście tylko bandą młodocianych przestępców. Skoro nie mieliście dość rozumu, by unikać kłopotów na orbicie, dlaczego miałbym zakładać, że będziecie dość mądrzy, aby przeżyć tutaj?

Bellamy wzdrygnął się i zacisnął dłonie w pięści, ale poza tym starał się zachować kamienną twarz. Słyszał w głowie głosy Clarke i Wellsa, nakazujące mu spokój bez względu na to, co powie Rhodes.

– A przecież okazaliście się dość inteligentni – ciągnął tamten. – Nie tylko przeżyliście na Ziemi, ale nawet stworzyliście tu kwitnącą społeczność. Zauważyłem, że niełatwo tu przetrwać. – Zerknął na swoje rany. – Żeby jednak naprawdę żyć, cóż, to wymaga czegoś więcej niż inteligencji. To wymaga potężnej siły woli.

Bellamy patrzył na wicekanclerza, nie wierząc własnym uszom. Czy Rhodes właśnie pochwalił jego i pozostałych zesłańców z pierwszej setki? Być może wicekanclerza walnięto w głowę mocniej, niż sądziła Clarke.

Ach, przecież Rhodes czekał teraz na jego odpowiedź!

– Cieszę się, że tak pan to widzi – odparł powoli.

W myślach błagał, by Clarke wkroczyła na scenę i przerwała tę niezręczną sytuację. Ona albo ktoś inny. Ktokolwiek. Nie chciał już dłużej przebywać z wicekanclerzem sam na sam.

– W takim razie niniejszym ułaskawiam cię, puszczając w niepamięć zbrodnię porwania i nieumyślnego zabójstwa kanclerza Jahy.

Chłopak bardzo się starał, by nie okazać Rhodesowi pogardy, więc powiedział tylko:

– Dziękuję.

Spodziewał się, że wicekanclerz zrobi coś podobnego w zamian za uratowanie mu życia. Tymczasem tamten, zupełnie jakby czytał Bellamy'emu w myślach, kontynuował:

– To nie wszystko. Mieliście rację: Kodeks Gai nie ma zastosowania na Ziemi. Potrzebujemy nowego, lepszego systemu. Ze skutkiem natychmiastowym powołuję nową radę. Dziś wieczorem zasugeruję kilka nominacji. Może... – Przerwał, krzywiąc się z bólu. – Może zechciałbyś rozważyć kandydowanie do rady?

Bellamy zamrugał kilka razy, próbując przyswoić sobie słowa wicekanclerza. Jeśli słuch go nie mylił i przypadkiem nie zjadł przed tą wizytą jakiejś halucynogennej jagódki, Rhodes, najbardziej zdeprawowany przywódca, jakiego znała Kolonia, właśnie go ułaskawił, a co więcej, zasugerował mu rozpoczęcie kariery politycznej.

Nie wytrzymał i roześmiał się w głos.

– Mówi pan poważnie?!

– Jak najpoważniej.

Bellamy nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł o tym opowiedzieć siostrze, tak by oboje mogli się z tego pośmiać. No chyba że Octavia nie uzna tego za zabawne. Może nawet chciałaby, żeby został członkiem rady? Cholera, w ciągu ostatnich kilku tygodni działy się już dziwniejsze rzeczy. Dlaczego więc nie miałyby spróbować porządzić przez chwilę kolonistami? Był jednak ktoś, z kim chciał to omówić, zanim podejmie decyzję.

Uśmiechnął się, skinął wicekanclerzowi głową i poszedł szukać Clarke.

ROZDZIAŁ 29

Glass

Każdy mięsień w ciele palił ją żywym ogniem. Na ramionach miała otarcia od uprzęży. Jej łydki i uda trzęsły się z wyczerpania i w każdej chwili mogły odmówić posłuszeństwa.

Gdy dostrzegła róg drewnianego budynku wystającego spośród drzew, rozplakała się z ulgą. A jednak udało im się wrócić do obozu! Podczas podróży z opuszczonego domku Luke dwa razy zaczynał się rzucać na saniach. Musiała się wtedy zatrzymać, by go napoić i upewnić się, że przetrwa dalszą podróż, za każdym razem wstrzymując oddech ze strachu.

Pokuśtykała między drzewami i wtoczyła się na polanę. Sytuacja przedstawiała się tak, jak się tego obawiała: dźwięki strzałów i słupy dymu znaczące od rana niebo, musiały pochodzić z tego miejsca. Cały obóz wyglądał jak pobojowisko: połamane włócznie, łuski od nabojów, poszarpane ubrania i kałuże krwi w zagłębieniach gruntu. Niektóre z chat były całkowicie zniszczone, na innych widać było ślady podpalenia. Wokół kłębili się oszołomieni koloniści, ale nie zauważyła żadnej znajomej twarzy. Zdawało się jej, że wróciła do całkiem innego miejsca. W pewnym momencie wręcz ogarnął ją strach. Co się stało z jej przyjaciółmi? Gdzie jest Wells?

Nagle usłyszała znajomy głos i niemal podskoczyła z radości.

– Glass! – zawołała Clarke z drzwi szpitalnej chaty – Wróciłaś? Och, nie, to chyba nie Luke?

Lekarka podbiegła do nich. Wells wychylił się za nią z chaty i również ruszył ku nim szybkim krokiem. Glass zrzuciła uprząż, a Clarke uklękła i zaczęła badać Luke'a.

– Cześć, Glass! – wykrzyknął Wells, witając się z nią serdecznym uściskiem. – Świetnie, że jesteś. Dobrze się czujesz?

Dziewczyna przytaknęła, ale w tym momencie wszystko to, co przeżyła – przerażenie, samotność i wyczerpanie – dało o sobie znać ze zdwojoną siłą. Teraz, gdy oboje byli już bezpieczni, pozwoliła, by zalały ją uczucia, przed którymi broniła się od kilku dni. Łzy zakreśliły się jej w oczach, a potem pociekły po policzkach. Wells znów ją objął i przytulił, żeby mogła się swobodnie wypłakać.

– Co mu się stało? – zapytał po chwili.

Glass pociągnęła nosem i wytarła twarz wierzchem dłoni.

– Zamieszkaliśmy w opuszczonym domku, daleko w lesie. Wydawał nam się bezpieczny, ale potem tamci... nas napadli. Ziemianie. – Tu oczy na nowo wypełniły się łzami. – Nie ci od Sashy, ale tamci inni – dodała pośpiesznie.

Na twarzy Wellsa pojawił się na moment grymas bólu, lecz Glass wiedziała, że to nie pora, by wypytywać go, co się stało.

– Luke wyszedł z domku, żeby ich odstraszyć i wtedy trafili go włócznią. Robiłam, co mogłam, ale nie wiedziałam, jak zaszyć ranę, a kiedy go tu ciągnęłam, zaatakowali nas znowu.

Wells zaklął pod nosem.

– Glass, tak mi przykro, że musiałaś radzić sobie z tym wszystkim sama.

– Już dobrze. W końcu udało nam się wrócić... i żyjemy, prawda? – wyjąkała i zdołała się uśmiechnąć przez łzy.

– Wnieśmy Luke’a do środka – rzuciła stanowczym tonem Clarke.

Razem z Wellsem szybko, choć delikatnie podnieśli sanie z rannym i pośpieszyli do chaty szpitalnej. Weszli do zatłoczonego pomieszczenia. Glass nie mogła uwierzyć, ilu rannych się w nim mieści.

– Co tu się stało? – zapytała zaskoczona.

– To samo co u was – wyjaśnił ponuro Wells. – Tylko na większą skalę.

Glass uniosła brwi. W głowie kłębiły jej się miliony pytań. Wells świetnie się orientował, co chciałyby wiedzieć w pierwszej kolejności.

– Możesz się nie martwić. Wszystko się wyprostowało. Rhodes już nie trzyma nas żelazną ręką. Dzisiaj wieczorem będziemy wybierać nową radę.

Wysoki, siwowłosy mężczyzna, którego Glass swego czasu widywała na „Feniksie”, podszedł do nich, utykając. Skinął jej głową, a potem zaczął po cichu naradzać się z Clarke. Nie słyszała, o czym mówią, ale widziała ich poważne miny podczas badania nogi Luke’a, jego pulsu i oddechu. W końcu młoda lekarka napełniła strzykawkę płynem z małej fiołki i wstrzyknęła coś w ramię rannego. Najpierw oczyściła rozcięcie w jego nodze, a gdy skończyła, zaczęła szyc. Wzdrygnął się przez sen, ale nie obudził.

Glass stała obok, bezsilnie zaciskając dłonie. Tak skupiła się na dociągnięciu Luke’a do obozu, że w ogóle nie myślała o tym, co będzie po powrocie – i co mogą u niego zdiagnozować lekarze. W końcu podeszli do niej oboje. Szukała w ich twarzach odpowiedzi, ale z enigmatycznych min nie dało się niczego odczytać.

– Glass, to jest doktor Lahiri – zaczęła Clarke. – Szkoliłam się pod jego kierunkiem w Kolonii. Jest świetnym lekarzem.

– Miło mi cię poznać, Glass – powiedział Lahiri i wyciągnął dłoń, którą nieuważnie uścisnęła.

Targały nią sprzeczne emocje: z jednej strony chciała usłyszeć, w jakim stanie znajduje się Luke, lecz z drugiej – obawiała się złych wieści. Przełknęła ślinę i postanowiła, że zachowa spokój bez względu na to, co powiedzą.

– Macie wielkie szczęście – odezwał się doktor Lahiri z uśmiechem, i wreszcie mogła odetchnąć z ulgą. – Chłopak wyzdrowieje. Wiedz, że gdybyś nie dostarczyła go tu tak szybko, straciłby nogę... albo nawet gorzej. – Położył uspokajająco dłoń na jej ramieniu. – Ocaliłaś go, Glass. Powinnaś być z siebie bardzo dumna!

– Wszystko będzie dobrze – dodała Clarke i mocno ją objęła. – Zaaplikowaliśmy mu dużą dawkę antybiotyku i będziemy go pilnować. To silny facet... i szczęściarz, że ma taką dziewczynę.

– A ja myślę, że raczej odwrotnie – wydusiła z siebie Glass przez łzy.

– Chcesz przy nim usiąść? – zapytała tamta. – Przyślemy ci kogoś z jedzeniem.

Glass skinęła głową i opadła na pryczę koło Luke’a. Skuliła się przy nim, położyła mu rękę na piersi i czuła pod palcami bicie jego serca. Wsłuchiwała się w oddech, teraz bardziej regularny.

Przez kilka dni spędzonych wspólnie w leśnym domku myślała, że Luke jest jedynym człowiekiem na świecie, którego potrzebuje. Uwielbiała ich małe schronienie, życie z dala od innych ludzi. Nikt nie zwracał im tam głowy i spędzali całe dni tylko we własnym towarzystwie. Teraz jednak, kiedy

tak niewiele brakowało, by go straciła, a przy tym okazało się, jak wiele sama potrafi znieść, czuła się inaczej. Otoczona przez tych, którzy ciężko pracowali i troszczyli się o innych, Glass zrozumiała, że potrzebują razem z Lukiem czegoś więcej niż tylko samych siebie – potrzebują społeczności składającej się z życzliwych i pomocnych ludzi. Tutaj był ich dom.

ROZDZIAŁ 30

Clarke

Clarke, Bellamy i Wells wędrowali w milczeniu, słuchając tylko szelestu suchych liści pod stopami i szumu wiatru w gałęziach drzew. Jesienny las mienił się intensywną żółcią, ciepłym pomarańczem i głęboką czerwienią. Gdyby dziewczyna nie musiała patrzeć pod nogi, nie odrywałaby wzroku od tej feerii barw. Promienie słońca przebijały się między konarami, rzucając na całą trójkę złoty blask. Powietrze było dużo chłodniejsze niż kilka dni wcześniej, a jego woń bogatsza o nowe, korzenne nuty.

Clarke zadrżała, żałując, że nie ma na sobie drugiej kurtki. Magazynowali futra wszystkich zwierząt upolowanych przez Bellamy'ego i innych myśliwych, ale ich kolekcja była wciąż jeszcze zbyt uboga. Dużo czasu minie, zanim będą mieli dość futer dla wszystkich.

Bellamy objął ją bez słowa ramieniem i kontynuowali wędrówkę przez las. Gdy tylko Max przysłał im wiadomość, że następnego dnia odbędzie się pogrzeb Sashy, wyruszyli w drogę do Mount Weather.

Wells szedł parę kroków przed nimi, a Clarke doskonale rozumiała, że tak powinno być. W całym chaosie i podnieceniu, jakie stały się udziałem ich wszystkich w ciągu poprzednich kilku dni, Wells nie miał czasu, żeby przeżyć żałobę we właściwy sposób. Teraz był wdzięczny przyjaciołom, że dali mu szansę pobyć sam na sam z własnymi myślami. Clarke współczuła mu z całego serca, widząc, jak chłopak przechyla głowę i przepatruje korony mijanych drzew, jakby spodziewał się, że Sasha zeskoczy z jednego z nich. A może podziwiał jasne kolory jesiennych liści, próbując jednocześnie zaakceptować to, że nigdy już nie będzie mógł porozmawiać o nich z Sashą, a potem patrzeć, jak opadają na jej ciemne włosy? Kiedy się kogoś traci, najtrudniej jest znaleźć właściwe miejsce dla myśli i uczuć, które dotąd dzieliło się z tą osobą. Gdy Clarke sądziła, że jej rodzice nie żyją, były chwile, kiedy myślała, że serce jej pięknie, próbując pomieścić je wszystkie.

Zbliżali się do Mount Weather. Clarke podbiegła parę kroków, by dołączyć do Wellsa. Chwyciła jego dłoń. Nie przychodziły jej do głowy żadne słowa, które mogłyby ulżyć mu w cierpieniu. Chciała tylko, by pamiętał, że nie musi iść tą drogą sam – ma przyjaciół, którzy chętnie mu potowarzą.

Dotarli do miasteczka Ziemiań tuż przed zmierzchem. Max otworzył drzwi, gdy tylko do nich zapukali, jakby wiedział, że to oni. W jego domu panował niespotykany porządek, na widok którego ścisnęły im się serca. Wszystkie części maszyn i na wpół ukończone urządzenia, zwykle leżące na stole, teraz uprzątnięto i zastąpiono niezliczonymi talerzami i miskami z jedzeniem.

– Proszę, częstujcie się – zachęcił gospodarz.

Żadne z nich nie czuło się głodne, ale usiedli i opowiedzieli mu o tym, co zaszło, od kiedy opuścili Mount Weather. Max już przed ich przybyciem wiedział o ataku na obóz, ale nie słyszał

jeszcze nowiny, że wicekanclerz ogłosił wybory do nowej rady.

– A więc jesteś teraz radnym? – zapytał Bellamy’ego, uśmiechając się po raz pierwszy tego wieczoru.

Chłopak przytaknął, rumieniąc się z zakłopotania i dumy.

– Tak. Wierz mi, byłem równie zaskoczony jak ty, kiedy mnie wybrano, ale cóż – daję ludziom to, czego chcą!

– Wells też został wybrany – dodała Clarke. – Właściwie to jako pierwszy nowy radny, jeszcze przed Bellamym.

Popatrzyła z uśmiechem na obu braci. Bellamy odpowiedział jej tym samym... ale Wells – nie.

– To wspaniała wiadomość – powiedział Max, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Wasi ludzie mają szczęście, że mogli wybrać tak zdolnego młodego przywódcę. Jestem pewien, że ojciec byłby z ciebie dumny, Wells. Wszyscy tak się czujemy!

– Dziękuję – odparł Wells, po raz pierwszy patrząc Maksowi w oczy.

Kiedy pomagali zmywać, gospodarz nakreślił im plan następnego dnia:

– Mamy w zwyczaju chować naszych zmarłych o wschodzie słońca. Wierzymy, że świt jest czasem odnowy. Koniec i początek wszystkiego są nierozłączne, tak jak chwila tuż przed pierwszym brzaskiem i tuż po nim.

– To piękny zwyczaj – skomentowała cicho Clarke.

– Po kataklizmie nasi przodkowie musieli nagle przyzwyczać się do myśli, że po ciemności nie zawsze nadchodzi światło... że pewnego dnia słońce naprawdę nie wstanie. Nasza tradycja wywodzi się z tamtych czasów. W ten sposób wyrażamy wdzięczność za kolejny wschód słońca.

– Założę się, że Sashy się to podobało – powiedział Wells z uśmiechem, chociaż w jego oczach nadal czaił się smutek.

„Coś w jego twarzy się zmieniło”, pomyślała Clarke, studiując ją w migoczącym świetle świecy. Rysy twarzy chłopaka stwardniały, wyglądał teraz na starszego i mądrzejszego.

– Max, czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym spędził noc w domku na drzewie? – zapytał.

– Absolutnie nic, ale pamiętaj, że o tej porze roku będzie tam dość zimno.

– Dam sobie radę. W takim razie widzimy się rano.

– Odprowadzę cię – powiedziała Clarke, wstając z miejsca. – Chciałabym jeszcze raz spróbować użyć radia w Mount Weather, jeśli można.

Max skinął głową.

– Ależ oczywiście – przyzwolił.

Bellamy został w chacie, by dotrzymać towarzystwa gospodarzowi, a Clarke i Wells wyszli w ciemność.

– Pewien jesteś, że będziesz się tam dobrze czuł? Sam przez całą noc? – zapytała, kiedy zbliżali się już do drzewa z domkiem.

Wells rzucił jej spojrzenie, którego nie umiała odczytać. Mieszały się w nim smutek i rozbawienie.

– Nie będę tam sam – odparł cicho. – Wierz mi.

Clarke nie pytała o nic więcej. Ścisnęła jego ramię, pocałowała go w policzek i zostawiła sam na sam ze wspomnieniami.

Szybko dotarła do Mount Weather i zniknęła w czeluściach bunkra. Odnalazła drogę do miejsca, które tak dobrze знаła, a potem zaczęła nastawiać gałki i przełączniki. Jej palce pracowały instynktownie. Ustawiała sprawdzone kombinacje, zaczynając od tej, która zadziałała w dniu, gdy

usłyszała głos matki. Tak mocno pragnęła usłyszeć go jeszcze raz, że odczuwała niemal fizyczny ból.

Minęła godzina, ale w eterze nic się nie działo. Clarke chwilami nie była pewna, czy syki i trzaski pochodzą z głośników, czy też produkuje je jej wyobraźnia. Od pochylania się nad konsolą zaczynały dokuczać jej plecy, a w głowie narastał pulsujący ból. Zaraz pewnie przyjdzie po nią Bellamy.

Wstała i przeciągnęła się, unosząc ręce nad głowę, potem przechyliła się w bok, a wreszcie rozluźniła nadgarstki, strzepując dłonie. Wiedziała, że powinna powylać wszystkie urządzenia, ale... „Jeszcze raz. Tylko jeden, ostatni raz”, powiedziała sobie w myślach. Usiadła z powrotem i zaczęła nastawiać pokręta.

Tak się skoncentrowała na subtelnych zmianach szumu dochodzącego z głośników, że nie słyszała odgłosu kroków z korytarza, dopóki nie zabrzmiały tuż za drzwiami pomieszczenia z radiostacją. Były szybkie i ciężkie. „Oj, chyba jest później, niż myślałam!”

Przekręciła się na krześle i spojrzała na drzwi.

– Bellamy? – zawołała. – Max? Czy to wy?

Odpowiedziało jej tylko milczenie, tak jakby ten, kto szedł korytarzem, zatrzymał się na chwilę. Wstała z krzesła i poczuła, że włosy na karku jej się zjeżyły. Bellamy na pewno nie bawiłby się z nią w ten sposób po tym wszystkim, co ostatnio przeszli. A może to wrócili niebezpieczni Ziemianie?

Dwie postacie, jedna za drugą, weszły do pokoju. Zanim Clarke zorientowała się, co jest grane, objęły ją dwie pary ramion, a ona wybuchnęła płaczem – ze szczęścia.

To nie był Bellamy.

To byli jej rodzice.

Następnego ranka Wells, Clarke i Bellamy stali w szeregu na nadrzecznej skarpie, dygocząc z zimna. Powoli z ciemności wyłaniały się kolejne rzędy wystających z ziemi kamieni z wrytymi nazwiskami, których jednak w tym świetle nie dało się odczytać. Max stał nad pustym grobem, w milczeniu spoglądając do środka. Ciało Sashy spoczywało w pobliżu, ciasno owinięte w całun koloru ziemi, w której wkrótce spocznie.

Clarke przegadała całą noc z rodzicami, oczywiście jeżeli „przegadać” było odpowiednim słowem na opisanie opowieści, szlochów i śmiechów, jakie tryskały nieprzerwanym strumieniem przez wiele godzin. Jej rodzice byli o wiele chudsi, niż ich zapamiętała, a broda ojca poprzetykana była siwizną, ale poza tym niewiele się zmienili od czasu rozstania.

Kiedy pani Griffin w końcu zdołała powstrzymać płacz, zasypała córkę niezliczonymi pytaniami o wszystko, co działo się podczas procesu Clarke, jej pobytu w Odosobnieniu, a potem podróży na Ziemię. Ojciec – wprost przeciwnie, nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Siedział tylko z uśmiechem i wpatrywał się w córkę, trzymając ją za rękę tak, jakby się obawiał, że w każdej chwili może zniknąć jak sen.

Opowiedziała im o tym, jak wywleczono ją z celi, o awaryjnym lądowaniu na Ziemi, o Thalii, Wellsie, Bellamym i Sashy, a z każdym słowem czuła się lżej. Przez ponad rok poza rzeczywistymi wspomnieniami w jej głowie pojawiały się najgorsze wyobrażenia, jak rodzice zareagują na to wszystko. Teraz, z każdym uśmiechem ojca lub okrzykiem przerażenia matki, wyobrażeń tych ubywało, a jej głowa robiła się lżejsza. Clarke bardzo chciała posłuchać, jak oni dawali sobie radę na Ziemi, lecz gdy matce skończyły się pytania, zaczynało już świtać.

Zdecydowali, że będzie lepiej, jeśli rodzice zostaną w Mount Weather, zamiast zjawiać się niespodziewanie na pogrzebie Sashy i zakłócać – choćby nawet mimowolnie – tę uroczystość. Poza

tym pamiętać o zdradzie kolonistów z pierwszej wyprawy była jeszcze zbyt świeża, chociaż akurat Griffinowie utrzymywali z Ziemianami jak najlepsze stosunki.

Stojąc pomiędzy Wellsem i Bellamym, Clarke czuła przedziwną mieszankę radości i żalu. Tak to już było na tej Ziemi – zbyt wiele rzeczy zdarzyło się naraz, żeby człowiek mógł odczuwać emocje pojedynczo.

Odwróciła głowę i spojrzała na Wellsa, zastanawiając się, czy jego odczucia są podobne, czy też pogrążył się w smutku bez reszty.

Słońce wychynęło spoza linii horyzontu, posyłając w niebo niczym zwiadowców pierwsze pomarańczowe i różowe promienie. Max rozpoczął ceremonię pogrzebu swojego jedyne dziecko. Ochryplym głosem, od którego Clarke ścisnęło się serce, podzielił się z zebranymi swoimi wspomnieniami o Sashy. Niektóre z nich wywołały u zebranych Ziemian uśmiešky, podczas gdy inne sprawiły, że w oczach zalśniły im łzy.

Otarłszy oczy, Max zaprosił gestem Wellsa i zapytał, czy chłopak również chciałby coś powiedzieć. Młody zesłaniec puścił dłoń Clarke i wystąpił naprzód.

– Związek z innym człowiekiem nie jest podporządkowany ograniczeniom geografii ani nawet przestrzeni kosmicznej – przemówił. Clarke widziała, że drży, mimo to jego głos był mocny i czysty. – Sasha i ja dorastaliśmy w dwóch różnych światach, a każde z nas zastanawiało się, jak wygląda ten drugi, i marzyło o cudach, jakie tam się znajdują. Patrzyłem na Ziemię z wysoka, myśląc o ludziach, którym być może udało się tu przeżyć. Nie mogłem wiedzieć, czy kiedykolwiek postawimy stopę na tej planecie ani czy zdarzy się to jeszcze za mojego życia. Sasha natomiast patrzyła w górę – wskazała gwiazdy błędne na niebie – zadając sobie pytanie, czy ktoś tam jest. Czy ktokolwiek przetrwał podróż w kosmos? Czy ludzie zdołali tam przeżyć przez setki lat? Obojgu nam wydawało się, że te zagadki pozostaną nierozwikłane. Tymczasem milion spraw złożyło się w ten sposób, że się spotkaliśmy – i oboje poznaliśmy odpowiedzi. Odnaleźliśmy siebie, choć tylko na chwilę... – Wells przerwał, zaczerpnął powietrza i powoli wypuścił je z płuc. – Sasha była odpowiedzią na wszystkie moje pytania.

Clarke zadrżała, lecz tym razem już nie z zimna. Wells ujął to w najlepszy możliwy sposób. Wszystko, co przeżyli na Ziemi, było tak nieprawdopodobne i nadzwyczajne, a mimo to tych kilka tygodni wydało się jej bardziej realnych niż lata życia w Kolonii. Z olbrzymią trudnością przypominała sobie teraz, jak wyglądały poranki bez rześkiego powietrza, rosy na trawie i ptasich treli. Nie rozumiała już, jak można pracować przez wiele godzin w świetle jarzeniówek w centrum medycznym, a zamiast tego zalecała pacjentom kąpiele słoneczne, do których przystosowały ich ciała lata ewolucji.

Spróbowała wyobrazić sobie, jak wyglądałaby jej przyszłość, gdyby nie wydarzyło się to wszystko: gdyby nie powiedziała Wellsowi o eksperymentach swoich rodziców, a on nie podzielił się tą informacją z ojcem. Gdyby nie została Odosobniona, a Wells nie popsułby śluzu, gdyby setka zesłańców nigdy nie przyleciała na Ziemię... i tu wyobraźnia ją zawiodła. Nie była w stanie wymyślić nic innego niż to, co rzeczywiście się wydarzyło. To było teraz jej życie.

Patrzyła, jak kilku przyjaciół Sashy podnosi jej ciało i delikatnie opuszcza je do grobu. Clarke w myślach pożegnała dziewczynę, która pomogła im zadomowić się na Ziemi i przywróciła Wellsa do życia, kiedy utkwiał w mroku. „Wydobrzeje”, powiedziała sobie Clarke, patrząc, jak chłopak dołącza do Ziemian i rzuca garść ziemi na zasypywaną właśnie mogiłę. Po tym wszystkim, co przeżyli, okazał się silniejszy, niż się spodziewała. W sumie wszyscy się tacy stali.

Bellamy wziął ją za rękę, pochylił się ku niej i szepnął:

– Może powinniśmy teraz iść do twoich rodziców?

– Nie uważasz, że trochę za wcześnie na spotkanie się z moimi rodzicami? – zakpiła. – Przecież jeszcze nie chodzimy ze sobą nawet miesiąca.

– Miesiąc na Ziemi to tak jak dziesięć lat w kosmosie, nie sądzisz?

Clarke przytaknęła.

– Masz rację. W takim razie oznacza to, że nie powinnam się na ciebie wściekać, jeżeli będziesz chciał ze mną zerwać po kilku miesiącach, ponieważ będziemy się czuli jak małżeństwo z kilkudziesięcioletnim stażem.

Bellamy objął ją ramieniem i przytulił.

– Clarke Griffin, chcę spędzić z tobą całe eony!

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Miło mi to słyszeć, bo teraz już nie wrócimy do Kolonii. Zostajemy tu na dobre!

Kiedy wypowiedziała te słowa, ogarnął ją dziwny spokój, łagodząc ból wywołany wydarzeniami ostatnich dni. Tak właśnie było: po trzech stuleciach prób powrotu na ojczystą planetę ludzkości udało się tego dokonać. Wreszcie wrócili do domu.

PODZIĘKOWANIA

Jestem niezmiernie wdzięczna całemu szalenie utalentowanemu zespołowi Alloy Entertainment. Josh, twój zmysł twórczy jest jeszcze celniejszy niż twoje uderzenia na polu golfowym. Oglądanie twojego umysłu w akcji sprawiło mi ogromną przyjemność. Saro, twoja inteligencja i życzliwość tworzą środowisko, w którym pomysły fabularne dosłownie rozkwitają, nie mówiąc już o tym, że w twoim towarzystwie czuję się tak swojsko. Les, dziękuję, że uwierzyłeś w ten projekt i użyłeś swojej magii, by nabrał on realnych kształtów, a potem odniósł tak wielki sukces.

Wielkie, kosmiczne wręcz uściski dla Heather David, za kreatywność i upór. Sprawily one, że przeżyłam jeden z najlepszych dni w życiu. Dziękuję też Romy Golan i Liz Dresner za to, że potrafiły zamienić plątaninę napisanych przeze mnie słów w zachwycającą książkę.

Niech mi wolno będzie wyrazić najgłębszy podziw dla Joelle Hobeiki, która olśniewa mnie talentem, umiejętnością formułowania opowieści i czynienia każdego mojego żartu naprawdę śmiesznym. To samo dotyczy Annie Stone, najmądrzejszej i najbardziej inspirującej redaktorki, jaką mógłby sobie wymarzyć pisarz.

Składam milionowe dzięki prześwietnemu zespołowi Little, Brown za ich ciężką pracę, inwencję i wiedzę wydawniczą. Specjalne podziękowania podążają do mojej ukochanej redaktorki Pam Gruber, która od początku miała jasną wizję całej serii i wskazywała kierunek nam wszystkim, a także do Hallie Patterson – mojej fantastycznej wydawczynie.

Miałam ogromne szczęście, że dane mi było pracować z profesjonalistami z wydawnictwa Hodder & Stoughton, którzy zrobili na mnie ogromne wrażenie swoim oddaniem i entuzjazmem dla całej serii *Misja 100*. Jestem wdzięczna szczególnie Kate Howard, Emily Kitchin i Becce Mundy za to, że stworzyły drugi dom dla mnie (i setki nastoletnich kosmicznych wyrzutków) po drugiej stronie Wielkiej Wody.

Jak zawsze dziękuję także moim cudownym, radosnym i zawsze mnie wspierającym przyjaciołom. Stawiam drinka każdemu obecnemu w Puck Fair, Red Bar, Jack the Horse, Henry Public, Café Luxxe, Father's Office, U Freuda i we wszystkich innych miejscach, gdzie przysypiałam podczas kolejnych stadiów pisania. Specjalny medal za zaszczytną służbę należy się Gavinowi Brownowi, który wychodził z siebie, by ta historia była spójna i interesująca.

Wiele zawdzięczam również Jennifer Shottz – jej zdolności i wyobraźnia w wielkim stopniu wpłynęły na kształt tych powieści.

Dziękuję też mojej rodzinie, zwłaszcza moim zadziwiającym, inspirującym i nieskończenie pomocnym rodzicom, Samowi i Marcii, którzy zrobili ze mnie pisarkę. Wasze wysiłki doczekały się wreszcie finału!

Na końcu dziękuję wyjątkowo serdecznie moim Czytelnikom. To dzięki Waszemu entuzjazmowi czuję się jak najszczęśliwsza dziewczyna na Ziemi. #Bellarke na zawsze!



fot. Michael Bisberg

KASS MORGAN

studiowała na Brown University, a następnie zdobyła tytuł magistra na Oksfordzie. Mieszka obecnie w Nowym Jorku, gdzie pisze książki i pracuje jako redaktor.

Krytycy o *Misji 100*

„Mroczna i intrygująca mieszanka *Władcy much*, *W otchłani* i *Igrzysk śmierci*”. **Booklist**

„Morgan połączyła elementy popkultury i polityki tak, by powstała trzymająca w napięciu całość”. **School Library Journal**

„Fani *Igrzysk śmierci* pokochają fabułę tego cyklu, osadzoną w świecie po wojnie jądrowej”. **The Sun**

„Jest to powieść naprawdę dobra. Z serialową adaptacją łączą ją wzbudzający sympatię bohaterowie oraz intrygujący klimat, który sprawia, że nie można się od niej oderwać”. **Adam Siennica, naEKRANIE.pl**

LUDZKOŚĆ POWRACA DO DOMU

Kilka tygodni po lądowaniu na Ziemi młodzi koloniści zdołali założyć obóz i zaprowadzić porządek w dzikim środowisku. Delikatna równowaga ulega jednak zakłóceniu, kiedy na Ziemię docierają nowe lądowniki.

Ci, którzy się do nich dostali, mogą mówić o szczęściu, ponieważ w Kolonii właśnie kończy się tlen, ale szczęście Glass po wylądowaniu na Ziemi wydaje się dobiegać kresu. Clarke prowadzi wyprawę ratunkową na miejsce lądowania, lecz jej myśli ciągle krążą wokół rodziców, którzy być może jednak żyją. Tymczasem Wells walczy, by pozostać przywódcą, a Bellamy musi zdecydować, czy uciec od odpowiedzialności za przestępstwa, czy też stawić czoło problemom.

Dla setki zesańców nadszedł czas, by zjednoczyć siły i walczyć o wolność odnalezioną na Ziemi. Alternatywą będzie utrata wszystkiego, co dla nich cenne – w tym również ukochanych osób.

Trzecia część ekscytującego cyklu powieściowego, który zainspirował twórców amerykańskiego serialu *The 100*

Poprzednie
części cyklu:



Patronat
na **EKRANIE.PL**

www.bukowylas.pl

Wyłączny
dystrybutor

